

Mary Nichols

*Dama kier*

Anula43 + pona

## Rozdział pierwszy

*Początek 1817*

Charlotte odprowadzała wzrokiem ostatnich żałobników, którzy wsiadali do powozów i odjeżdżali. Niewielu ich było, gdyż lord Hobart zmarł w bardzo zaawansowanym wieku i przeżył większość swych rówieśników. W ostatnich latach stał się odludkiem, prawie nikogo nie gościł u siebie, a sam nigdy nie opuszczał granic Easterley Manor, rozciągających się między niewielką wioską Parsons End a latarnią morską na wysokim klifie.

- To smutny dzień, milady.

Głos pastora wyrwał ją z zamyślenia, w jakim pograżyła się, patrząc na przesiąknięty wodą ogród i ostatni powóz, który zniknął właśnie za zakrętem.

- To prawda. Będzie mi go brakowało.

- Co pani teraz zrobi? - Wielebny Peter Fuller był mężczyzną wysokim i równie chudym, jak wielu jego przymierających głodem parafian. Charlotte podejrzewała, że oddawał biedakom większość własnej strawy i często rezygnował z dziesięciny, jeśli któregoś z farmerów dotknęło nieszczęście.

Był prawdziwym chrześcijaninem. Wspólnie, ramię w ramię, starali się ulżyć doli wieśniaków i zapewnić ich dzieciom choćby minimum edukacji.

- Nie rozumiem?

- Pani teść, milady, był już bardzo starym człowiekiem, więc musiała pani zastanawiać się, co się stanie po jego śmierci. Miał drugiego syna, który zapewne wkrótce przyjedzie, by objąć schedę po ojcu.

- Przebywa w Indiach, dokąd wygnał go ojciec. Myślę, że doskonale pan o tym wie, pastorze. W tej wiosce nie sposób zachować tajemnicy. - Cecil Hobart, młodszy syn lorda, był przysłowiową czarną owcą w rodzinie. W bardzo wczesnej młodości wpadł w szpony hazardu i ojciec niejednokrotnie wygarbował mu z tego powodu skórę, ale spłacał jego długi, sięgające tysięcy gwinei. W końcu uznał, że dość tego i wysłał go do Indii, gdzie syn marnotrawny miał zarabiać na utrzymanie, pracując w West India Company. W tym czasie żył jeszcze jego starszy, przyrodni brat, mąż Charlotte, i nic nie zapowiadało problemów z sukcesją majątku i tytułu, niestety w 1809 roku Grenville zginął w Portugalii i Charlotte została wdową z dwiema córkami. Nie było więc żadnego męskiego potomka poza Cecilem.

Nawet po śmierci Grenville'a lord Hobart nie wezwał młodszego syna z wygnania, a Charlotte z córkami nadal mieszkała w jego domu, sprawnie zarządzając gospodarstwem. Przez ostatnie dwa lata zastępowała teściowi nie tylko córkę i gospodynię, ale i pielęgniarkę.

-Wróci, jak tylko się dowie, że został nowym lordem Hobartem - ciągnął wielebny. - A jeżeli się nie zmienił... - Zamilkł, zastanawiając się, ile może powiedzieć. Cecil Hobart miał taką reputację, że pastor obawiałby się o każdą kobie-

tę mieszkającą z nim pod jednym dachem. Nie wiedział, ile właściwie lat miała Charlotte, przypuszczał jednak, że musiała być przed trzydziestką. Niewątpliwie należała do wyjątkowo atrakcyjnych kobiet, a w dodatku cechowała ją skłonność do przypisywania wszystkim ludziom dobrych intencji, nawet wbrew oczywistym dowodom. Człowiekowi bez skrupułów nietrudno będzie zamydlić jej oczy.

Charlotte zwróciła ku niemu twarz. W jej zielononiebieskich oczach malował się głęboki żal po stracie człowieka, który był dla niej drugim ojcem i którego szczerze kochała. Zdawała sobie sprawę, że jej spokojne, uporządkowane życie musi ulec zmianie, ale nie chciała o tym myśleć w chwili, gdy przepełniał ją ból, nie pozostawiając miejsca na nic poza codziennymi obowiązkami i opieką nad dziećmi. Chciała je za wszelką cenę chronić.

- Napisałam do Cecila kilka tygodni temu, kiedy zrozumiałam, że zbliża się koniec - powiedziała. - Wbrew deklaracjom jego lordowskiej mości widziałam, że chciałby przed śmiercią zobaczyć syna. Niestety, nie udało się. Niewykluczone jednak, że Cecil jest już w drodze. Do jego przyjazdu muszę dbać tu o wszystko. Może będzie sobie życzył, bym nadal pełniła te same obowiązki co do tej pory.

- A jeśli nie? Nie ma pani żadnej rodziny, do której mogłaby się pani zwrócić?

- Żadnej, nie licząc lorda Falconera, stryja mojej matki, ale nigdy nawet go nie widziałam. Odziedziczył tytuł po śmierci swego brata, a mojego dziadka. Poróżnił się z moją mamą, kiedy postanowiła wyjść za tatę i oświadczył, że nie chce mieć z nią więcej do czynienia. - Na ustach Charlotte pojawił się przelotny uśmiech. - Jego ponure zapowiedzi, że mama gorzko pożałuje małżeństwa z „jakimś tam irlandzkim marynarzem”, okazały się

całkowicie bezpodstawne, bo rodzice byli ze sobą bardzo szczęśliwi. Potem tata zginął pod Trafalgarem, a w niecały rok później mama przeziębła się i umarła. Stryjeczny dziadek Joseph nie przysłał nawet listu z kondolencjami, czyli zerwanie naprawdę było ostateczne. Potem wyszłam za sir Grenville'a... - Pograżyła się we wspomnieniach. Jak straszliwie czuła się opuszczona przed ośmioma laty, gdy zginął jej mąż! Kolejną stratę, która spadła na nią tak niedługo po śmierci rodziców, zdołała przetrwać tylko dzięki wsparciu lorda Hobarta. A teraz i jego zabrakło. .. Nigdy nie czuła się tak osamotniona.

- Rozumiem, milady, namawiam jednak usilnie, by napisała pani do krewnego. Może czas złagodził jego gniew po zerwaniu z pani matką, a niewykluczone, że będzie pani potrzebowała jego pomocy.

Uśmiechnęła się ze znużeniem.

- Dziękuję za troskę, wielebny, ale nie będę się płaszczyć przed człowiekiem, który zapewne nie wie nawet o moim istnieniu. Zresztą nie chcę opuszczać Parsons End. Mam tu pewne zobowiązania. Nie mogę zostawić domu i służby bez nadzoru, a wiejskich dzieci bez nauki.

Charlotte założyła we wsi szkołę, żeby zająć czymś myśli po śmierci Grenville'a, ale to, co na początku było jedynie lekarstwem na rozpacz, stało się prawdziwą namiętnością. Pragnęła na własne oczy zobaczyć, jak edukacja odmienia los biednych dzieci.

- Może i tak - odparł pastor Fuller z pobłażliwym uśmiechem - ale to nie powód, by zostać w Easterley Manor, gdyby życie tutaj stało się nie do zniesienia.

- Nie mam żadnych podstaw do takich podejrzeń, a dla Fanny i Lizzie śmierć dziadka była okropnym wstrząsem. Nie chcę ich pozbawiać jedyne go domu, jaki znają.

Pastor uznał, że powiedział swoje i nic więcej nie może już zrobić. Pozostawało tylko mieć na oku lady Hobart. Pożegnał się i szybkim krokiem ruszył aleją dojazdową. Poły płaszcz łąpotały za nim na wietrze. Charlotte odprowadzała go wzrokiem, dopóki nie zniknął jej z oczu, po czym weszła do domu.

Był to stary dwór o nieforemnych pokojach, nierównych podłogach i ciężkich, staroświeckich meblach, które od pokoleń stały na tych samych miejscach. Część pomieszczeń, na przykład buduar i salonik lady Hobart, unowocześniono i umeblowano jasnymi, modnymi meblami, choć większość pamiętała wojnę domową. Jednak Charlotte kochała wszystkie pokoje, i te stare, i te nowoczesne. Kochała ogromne kominki, przepastne kredensy i komody, wysokie okna w głębokich wykuszach, z których roztaczał się widok na wspaniale utrzymane ogrody, graniczące z sosnowymi lasami, a z drugiej strony z klifem opadającym stromo do Morza Północnego. Nie chciała stąd wyjeżdżać.

Przez ostatnie dwa lata stary lord nie opuszczał już swego pokoju, a jednak bez niego ten dom wydawał się dziwnie pusty. Lord Hobart był wspaniałym i wzbudzającym miłość człowiekiem, szczególnie kochanym przez Charlotte i dziewczynki, ale służba również darzyła go podziwem i szacunkiem. Był panem wymagającym, ale sprawiedliwym, a ponieważ Charlotte cieszyła się jego pełnym zaufaniem i wsparciem, służący słuchali jej poleceń, jakby wydawał je sam pan. Charlotte nie sądziła, by ich szacunek miał się teraz zmniejszyć, przynajmniej do czasu przyjazdu nowego pana i przejęcia przez niego rządów. Nie wiedziała, co będzie później. W rozmowie z wielebnym nie usłyszała niczego, o czym by już wcześniej sama nie pomyślała.

Cecil Hobart był synem z drugiego małżeństwa zmarłego lorda, o kilka lat młodszym od Grenville'a. Charlotte przez cały okres swojego małżeństwa spotkała go tylko raz czy dwa, bo bracia nie żyli ze sobą najlepiej. Cecil mieszkał przeważnie w *wynajętych* apartamentach w Londynie, a do Easterley Manor wpadał tylko wtedy, gdy potrzebował pieniędzy. Podczas jego ostatniej wizyty nawet przez grube drzwi słyszała jego gniewne słowa. Po tej rozmowie lord Hobart wygnał młodszego syna nie tylko z domu, ale i z kraju.

- Zaciągnął dziesięć tysięcy długu - wyjaśnił jej później Grenville. - Ojciec odgrażał się, że każe mu wypić piwo, którego nawarzył, ale, oczywiście, tego nie zrobił. Spłacił wierzycieli i wyznaczył w rozsądnej wysokości roczną rentę, pod warunkiem wszakże, że Cecil pozostanie w Indiach.

- Do końca życia? - zapytała.

- Tak, chyba że Cecil zdoła udowodnić, iż jego charakter uległ zmianie. Na razie jednak nie widać oznak poprawy.

- A po śmierci twojego ojca... jego lordowskiej mości?

- Wtedy, moja droga, decyzja będzie należała do mnie. A ja zastosuję się do woli ojca.

Grenville nie mógł wtedy wiedzieć, że w 1809 roku wyruszy na feralną misję do Hiszpanii i zginie u boku generała Moore'a w Corunnie. Charlotte, matka dwóch córek: trzyletniej Elizabeth i czternastomiesięcznej Frances, błagała go, by nie jechał. Jako jedyny męski spadkobierca ojca nie był zobowiązany do uczestnictwa w wojnie, ale Grenville miał silnie rozwinięte poczucie obowiązku, a poza tym kusiła go przygoda. Wydawało mu się, że jest niezniszczalny.

- Generał Moore potrzebuje doświadczonych oficerów - mówił. - Hiszpanie to dzielni ludzie, ale niezdiscyplinowani i bez naszej pomocy nie zdołają powstrzymać

Napoleona. Nie mogę odmówić. Nie martw się, szybko wrócimy do domu.

Nie zdołała zmienić jego decyzji. Wyjechał pełen nadziei i entuzjazmu, by już nigdy nie wrócić. Lord Hobart bardzo ciężko przeżył śmierć swego syna i spadkobiercy, od tego czasu zaczął podupadać na zdrowiu.

Dziewczynki usłyszały, że gość wyszedł, więc wybiegły z kuchni, w której kucharka próbowała je pocieszać śliwkami w syropie. Podbiegły do matki i objęły ją w pasie.

- Chodźcie, dziewczynki. Zjecie podwieczerek w pokoju dziecięcym - powiedziała. - Na gorze jest spokojniej, a służbie łatwiej będzie posprzątać po gościach, kiedy nie będziecie się plątać pod nogami. Przed snem pobawimy się w zgadywanki.

- Już nigdy nie zobaczymy dziadka? - z rozpaczą zapytała Fanny. - Nigdy?

Charlotte popatrzyła na córeczkę, zastanawiając się, co odpowiedzieć. Kategorie „nigdy” mogło zabrzmieć zbyt mocno i zwiększyć tylko smutek małej. Milczała, więc odpowiedzi udzieliła za nią Lizzie:

- Jasne, że nie. Został zakopany w ziemi, ale panna Quinn twierdzi, że nie zostanie tam na zawsze, tylko pójdzie do nieba i spotkamy się z nim, kiedy i my tam pójdziemy. - Wydała głębokie westchnienie. - Ale powiedziała, że to dopiero za bardzo, bardzo wiele lat, kiedy i my zrobimy się stare.

Charlotte uściskała swoje kochane dziewczynki, jedyne, co jej zostało po Grenville'u. Na mocy ślubnego kontraktu otrzymywała niewielką dożywotnią rentę, którą niemal w całości przeznaczała na potrzeby biednych z pobliskiej wioski, ponieważ jej wydatki pokrywał w całości lord Hobart. Jeśli nowy lord Hobart wymówi jej dom, jeśli przestanie łożyć na ich utrzymanie, to znajdzie się z córkami w nie lada tarapatach.



Lord Hobart nie przewidział, że może stracić spadkobiercę. Jego ostatnia wola została sporządzona przed śmiercią Grenville'a, gdy Cecil był w niełasce. Dom oraz należące do niego ziemie miały przypaść starszemu synowi, natomiast młodszy, zdaniem jego lordowskiej mości, otrzymał już wszystko, co mu się należało, gdy zostały uregulowane długi hazardowe i ustanowiona renta. Starszy pan był znacznie bardziej zainteresowany wnukami - tymi już narodzonymi i tymi, które dopiero miały przyjść na świat - więc wszelkie wolne środki wpłacał na ustanowiony dla nich fundusz powierniczy, którym mieli zarządzać wyznaczeni opiekunowie. Był to bardzo nietypowy legat. Charlotte nie miała pewności, czy tego typu zapis w testamencie był zgodny z prawem, nie zamierzała jednak go obalać. Fundusz zapewniał posagi jej córkom i nic poza tym jej nie interesowało. Niestety Grenville zmarł przed swym przyrodnim bratem i Easterley Manor stał się własnością Cecila.

Matka i córki weszły po rzeźbionych, dębowych schodach, które prowadziły od wykładanej kamiennymi płytami podłogi holu na pierwsze piętro, a potem innymi schodami wspięły się jeszcze wyżej. Na drugim piętrze znajdowały się pokoje dziecinne oraz klasa szkolna, w której panna Joan Quinn uczyła swe pupilki. Czekąca już tam na nie, pod maską surowości i stanowczości ukrywając głębokie uczucie do dziewczynek.

- Wszyscy już wyjechali, milady? - zapytała.

- Tak, Quinny - odparła Charlotte - już po wszystkim. Musimy dołożyć wszelkich starań, by nasze życie wróciło do normy.

- Oczywiście. Przyniesiono już podwieczorek. Zje pani z nami?

- Tak. I obiecałam dzieciom zabawę przed snem. A jutro będziemy robiły to co w każdy czwartek.

Usiadły przy stole, na którym leżał chleb z masłem, muffinki i pierniczki oraz słaba herbata do popicia. Przez ostatnich pięć dni Charlotte nie była w stanie niczego przełknąć i dopiero teraz poczuła, jak bardzo zgłodniała. Ten prosty posiłek był jej bardzo potrzebny. Popijała herbatę, przyglądając się córce. Były załamane utratą dziadka, który zawsze potrafił znaleźć z nimi wspólny język, wymyślał dla nich pasjonujące, ale i rozwijające umysłowo zabawy, uczył je nazw polnych kwiatów, które rosły w parku i w lasach, zabierał je na plażę, gdzie szukali wyrzuconych przez morze skarbów, pokazywał im na mapie trasy swych wypraw wojennych. Był niegdyś znakomitym żołnierzem, podobnie jak później ich ojciec.

Lizzie odziedziczyła po ojcu kruczoczarne włosy i brązowe oczy, tak bardzo podobne do oczu Grenville'a, że Charlotte była niekiedy wręcz wstrząśnięta, rozpoznając we wzroku córki tę samą inteligencję i dumę, a także tę samą determinację, by nie dać się nikomu wyprzedzić, co cechowało zmarłego męża. Fanny była łagodniejsza i pulchniejsza od siostry, miała jaśniejsze włosy i bardziej rumianą buzię. Była wrażliwsza, więc trudniej przychodziło jej pogodzić się z tym, że nie zostanie już dziadka drzemającego w swoim pokoju.

- Myśli pani, że nowy lord Hobart tu przyjedzie? - zapytała panna Quinn. Była niegdyś guwernantką Charlotte, potem została jej pokojówką, a obecnie pełniła obie te funkcje.

- Nowy lord Hobart? - zainteresowała się Lizzie. - Co to znaczy? Kim on jest?

Panna Quinn spojrzała na Charlotte bez słowa.

- To wasz wujek Cecil - wyjaśniła Charlotte. - Spodziewam się, że wkrótce pojawi się, by zająć miejsce dziadka...

- Nie! - krzyknęła Lizzie. - Nie chcę! Nie zgadzam się, żeby ktoś zajął miejsce dziadka!

- A jednak wujek przyjedzie, bo teraz dom i cała posiadłość należą do niego, a my musimy się postarać, by dobrze się tu czuć.

- Ja nie! Ja go będę nienawidzić.

- Dlaczego? Przecież to nie jego wina, że dziadek umarł. - Charlotte zastanowiła się, czy aby na pewno powiedziała dziecku prawdę. Ból spowodowany postępowaniem młodszego syna z pewnością przyczynił się do stopniowego pogarszania się stanu zdrowia lorda Hobarta. Oczywiście śmierć Grenville'a była dla niego najstraszliwszym ciosem, niemniej jednak rozstanie z młodszym synem z pewnością nie dawało mu spokoju, choć był zbyt uparty, by jako pierwszy wyciągnąć rękę do zgody. Charlotte wiedziała o tym, choć teść bardzo rzadko wspominał o Cecilu. Gdyby wyrodney syn wrócił na łono rodziny, wziął się do pracy i zajął należne mu miejsce w społeczeństwie, mógł złagodzić ból po stracie Grenville'a. Może Cecil zmienił się, może był gotów wziąć na siebie odpowiedzialność...

Charlotte przez godzinę bawiła się z córkami w zgadywanki, by odwrócić ich myśli od przykrych tematów. Kiedy dziewczynki położyły się do łóżek, zeszała na dół, żeby stawić czoło rzeczywistości. Znowu naszły ją wątpliwości, jak będzie wyglądało jej przyszłe życie, czy szwagier pozwoli jej z dziećmi zostać w tym domu. A nawet gdyby się na to zgodził, to i tak powinna znaleźć jakieś źródło utrzymania, by być od niego niezależna. Musiała zapewnić bezpieczeństwo swoim dzieciom.

W sali gry u White'a gwar był większy niż zwykle. Przy jednym ze stolików siedziało czterech mężczyzn, którzy

niec nadużyli alkoholu i stali się zbyt hałaśliwi. Wicehrabia Stacey Darton siedział w pewnym oddaleniu i zastanawiał się, kiedy dojdzie między nimi do bójki. Jeden z graczy wydał mu się znajomy, ale choć wyteżał pamięć, nie mógł sobie przypomnieć, skąd go zna. Był to krępy mężczyzna o twarzy opalanej na brąz, ciemniejszej nawet od twarzy Staceya, który pomimo upływu trzech lat nie pozbył się jeszcze skutków działania hiszpańskiego słońca. Człowiek ten był ubrany w czarny frak i szare pantalony do pół łydki, które wyszły z mody co najmniej dwa lata temu. Miał obwisły krawat i zmierzwione włosy. Nie wyglądał na dżentelmena, choć musiał należeć do wyższych sfer, skoro zostały wpuszczony do klubu.

Jego znacznie lepiej ubrani towarzysze byli bez wątplenia wydrwigroszami, którzy przyszli oskubać jakiegoś naiwniaka z prowincji. Każdy z nich miał przy łokciu stertę monet i papierów dłużnych. Niechlujny gracz rzucił karty na stół.

- Już po mnie, panowie. Rozumiem, że przyjmiecie kolejny wkseł?

- Następny wkseł płatny po nekrologu, Cecilu? - zapytał jeden z graczy. Był wysoki i tak chudy, że jego okolona rzadkimi, ciemnymi włosami twarz przypominała trupa główkę. - Skąd wiesz, że kiedyś się odkujesz i będziesz mógł spłacić zobowiązania?

Cecil wybuchnął śmiechem.

- Bo ten czas już nadszedł, Roly, mój przyjacielu. Dzisiaj mój szacowny rodzic został pogrzebany.

- Mój Boże! A nie powinienes być na pogrzebie?

- Dlaczego? Nie chciał mnie widzieć za życia, więc czemu ja miałbym sobie zawracać nim głowę, kiedy umarł?

- To wreszcie dorwiesz się do spadku, co? - zapytał drugi,

przyglądając się Cecilowi spod krzaczastych brwi. Był niższy i tęższy od swego kompana i miał śniadą cerę.

- Tak, ale nie rozpowiadaj o tym na prawo i lewo, Gus, bo nie zdołam umknąć przed wierzycielami. Oczywiście nie dotyczy to tu obecnych.

- A więc wkrótce wyruszasz na prowincję, żeby podreperować swoje finanse, tak?

- Naturalnie. Muszę przejąć dobra rodzinne, choć nie mam pojęcia, w jakim są stanie. Dochodziły mnie słuchy, że ojciec w ostatnich latach miał nie po kolei w głowie i pewnie nie wiedział, co robi. - Znowu wybuchnął śmiechem. - Wszystko było w rękach mojej bratowej.

-Jaka ona jest?

- Całkiem ładniutka, a przynajmniej była ładniutka parę lat temu, kiedy ją widziałem. Potem urodziła dwójkę dzieciaków, na moje szczęście dziewczynki. Szybko się jej pozbędę. - Zachichotał. - Chyba że dojdę do wniosku, iż warto ją zatrzymać. Nigdy nic nie wiadomo...

- A jeśli ponownie wyszła za męża?

- To wygonię ją wraz z mężulkiem. Niepotrzebne mi żadne pijawki.

- Myślę, przyjacielu, że przydałaby ci się obstawa - powiedział jeden z graczy. - Może pojechalibyśmy z tobą?

Stacey uśmiechnął się. Wiedział doskonale, że nie tyle chcieli mu zapewnić ochronę, ile zamierzali przypilnować swoich pieniędzy, które był im winien. Jednak wzruszył ramionami, jakby było mu wszystko jedno.

- Proszę bardzo, ale uprzedzam, że posiadłość znajduje się na wybrzeżu Suffolku, gdzie diabeł mówi dobranoc.

- Wniesiemy tam trochę życia.

Stacey ciągle zachodził w głowę, skąd zna typa imieniem

Cecil, gdy nagle usłyszał głośno wypowiedziane własne nazwisko. Odwrócił się i spostrzegł stojącego nad nim ogromnego, niedźwiedziowatego mężczyznę, który z szerokim uśmiechem zakrzyknął:

- Stacey Darton, co za miła niespodzianka!

Przywitali się serdecznie. Stacey poznał Gerarda Tophama w Hiszpanii, odbyli razem całą kampanię, łącznie z końcowym epizodem pod Waterloo, i na polu walki zrodziła się między nimi prawdziwa przyjaźń.

- Topham, stary druhu, nie miałem pojęcia, że jesteś w Londynie.

- A ja myślałem, że siedzisz na wsi z rodziną. W przeciwnym razie zawiadomiłbym cię o swym przyjeździe.

- Musiałem trochę odetchnąć.

Gerard opadł na krzesło obok Staceya.

- Wróciłeś dopiero pół roku temu, a już szukasz wytchnienia? - Roześmiał się. - Nie odpowiada ci życie w cywilu?

- Życie bez munduru nie jest takie złe, tylko trochę nudne. Natomiast rodzina... Ojciec zrzędzi jak stara baba, a córka... - Urwał gwałtownie. - Nieważne. Mów, co u ciebie.

Gerard nalał sobie wina.

- Ja także nie mogłem przywyknąć do cywila, więc zaferowałem swoje usługi Ministerstwu Spraw Wewnętrznych...

- Wstąpiłeś do milicji? Po Hiszpanii to pewna deklasacja, nie sądzisz?

- Właściwie to nie milicja. Wstąpiłem do Ochrony Wybrzeża.

Przemyt ustał prawie całkowicie po zniesieniu przez Pitta opłat akcyzowych na przywóz herbaty, odżył jednak w okresie wojen napoleońskich. Zmienił się tylko przedmiot kontrabandy: w jedną stronę przemycano francuskich jeńców wojen-

nych, a w drugą szpiegów. Później, gdy zachwiała się francuska gospodarka, angielskie gwiniee zaczęły rosnać w cenie, znacznie ponad swą wartość nominalną. I jeśli wierzyć czytanim przez Stacey gazetem, ich cena nadal rosła. Aby temu przeciwdziałać, powołano Ochronę Wybrzeża.

- Łapiesz szmuglerów! To pewnie stałeś się bardzo niepopularny. Większość ludzi akceptuje przemytników, a jeszcze bardziej przemycane przez nich dobra.

- Możliwe, ale prawdziwi przemytnicy różnią się bardzo od romantycznego wizerunku, pielęgnowanego przez statecznych obywateli siedzących w swych wygodnych domach. To nie są ludzie, którzy dostarczają im luksusowych towarów, nie czyniąc nikomu krzywdy. Wielu z nich to zdemobilizowani żołnierze, znakomicie obeznani z bronią, materiałami wybuchowymi i taktyką wojenną, które poznali, służąc krajowi, a teraz wykorzystują tę wiedzę dla własnych korzyści. Są bardzo niebezpieczni, potrafią posunąć się nawet do morderstwa, a straty, jakie wyrządzają naszej gospodarce, są ogromne. Aresztowanie szmuglerów to prawdziwe wyzwanie, a ja nigdy nie umiałem się mu oprzeć. Przyjechałem do Londynu, żeby złożyć raport w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych, a rano ruszam w objazd po wybrzeżu, żeby zebrać wszelkie możliwe informacje. Jeśli chcesz, możesz się ze mną wybrać.

Stacey przypomniał sobie jednak o ciężących na nim obowiązkach, więc niechętnie odrzucił pokusę.

- Niestety, nie mogę. Muszę wracać do domu.

- Żeby słuchać zarządzenia?

- Taki mój los.

- Na jaki temat?

- Powtórno małżeństwa. Ojciec uważa, że już zbyt długo jestem wdowcem, a moja córka potrzebuje matki. Poza tym

staruszek przed śmiercią chciałby doczekać się wnuka, który zapewniłby przedłużenie rodu. Wcale to jednak nie oznacza, że mój ojciec niedomaga. Wręcz przeciwnie, jest zdrow i pełen wigoru, czasem aż nazbyt... A jeśli chodzi o córkę, to została kompletnie rozpuszczona przez dziadków. Powinienem wziąć ją w karby.

- A nie masz na to specjalnej ochoty?

- Jesteśmy sobie obcy. Traktuje mnie z uprzejmym dystansem, jak gościa, który zasiedział się zbyt długo. To zresztą zrozumiałe, bo niemal przez całe jej życie służyłem w wojsku i widywałem ją bardzo rzadko. Moja nieboszczka żona była przy nadziei, gdy wysłano mnie do Indii. Nie pojechała ze mną właśnie ze względu na swój stan, bardzo się bała tamtejszego klimatu. Została więc w Anglii, niestety zmarła, rodząc Julię...

Gerard wiedział o tym, nie zdawał sobie natomiast sprawy, z jakimi problemami musiał się zmierzyć jego przyjaciel po powrocie do domu.

- Przykro mi, stary. Przyjechałeś więc do Londynu szukać żony?

- Nie, choć ojciec bardzo by sobie tego życzył. Zresztą sezon jeszcze się nie rozpoczął, choć prawdę powiedziawszy, nie zamierzam uderzać w konkury do choćby najpiękniejszych debiutantek. Są dla mnie za młode i za głupie. Jeśli ożenię się ponownie, to z kobietą w moim wieku, no, może trochę młodszą, jeśli mam mieć dziedzica, ale przede wszystkim musi być inteligentna i rozsądna, nie wspominając już o tym, że powinna wpaść mi w oko, a ja jej. Mało prawdopodobne, bym spotkał kogoś takiego w londyńskich salonach. To w ogóle nie będzie proste zadanie, bo wraz ze mną ta kobieta musiałaby przyjąć również moją rozpuszczoną córkę.



- No nie! Chyba nie jest aż tak okropna?

- Wiele bym dał, by móc przyznać, że przesadziłem, ale to naprawdę rozbrykana dziewczyna, która całymi dniami galopuje po polach na swym czarnym wierzchowcu, strzela, łowi ryby i poluje, zupełnie jak jakiś młodziak. Szkoda, że nie jest chłopcem, bo z syna o takich inklinacjach mógłbym być dumny. A w niej, pomimo trzynastu lat, nie ma nawet cienia kobiecości.

- To się zmieni, jeśli zapewnisz jej towarzystwo panienek w jej wieku. Wyślij ją do szkoły.

- Też o tym myślałem, ale nigdzie nie chcą jej przyjąć, czy też raczej Julia nie chce być przyjęta. Kiedy zabieram ją, by poznała jakąś pensję dla panienek z towarzystwa, zachowuje się tak okropnie, że nauczyciele odrzucają ją bez zastanowienia. Od ojca również nie mogę spodziewać się pomocy. Jest zachwycony wszystkim, co ona robi, i chce ją mieć zawsze przy sobie... Ale z pewnością nie masz ochoty wysłuchiwać opowieści o moich rodzinnych problemach. Chodźmy na obiad. Pogadamy o starych, dobrych czasach albo o przemysłach, byle nie o żonach i dzieciach. Bo ty chyba nie dałeś sobie założyć jarzma na szyję?

- Nie, i jeśli twoje doświadczenia są typowe, to bardzo się z tego cieszę. - Gerard obejrzał się, bo podchmieleni gracze hałaśliwie odsunęli krzesła, by wstać od stolika. - White najwyraźniej schodzi na psy, skoro wpuszcza się tu takich ludzi. Znasz ich?

- Ten śniady z blizną na policzku wydaje mi się znajomy, ale nie potrafię go zidentyfikować. Kiedy wszedłeś, właśnie opowiadał, że otrzymał spadek. Jeśli odziedziczył tytuł i majątek ziemski, to nic dziwnego, że został wpuszczony do klubu. - Odprowadził wzrokiem zataczających się mężczyzn. - Mówił,

że ostatnio dobrami zarządzała jego bratowa i że wkrótce wybiera się do Suffolku, by je jej odebrać. Żał mi tej kobiety, kimkolwiek jest.

Na tym zakończyli temat i zamówili obiad. Cieszyli się wspólnie spędzonym wieczorem, wspominając pobyt w Hiszpanii i Portugalii, a także piekło Waterloo, rozprawiając o strasliwym stanie gospodarki, o nędzy i niepokojach na prowincji, o ekstrawagancji regenta, chyba najbardziej niepopularnego władcy w dziejach Anglii. Potem przeszli do przemytników i innych opryszków, którzy po wojnie strasznie się rozplenili. Uznali, że wielu z nich stało się przestępcami na skutek nędzy i głodu, i zaczęli rozważać, co zrobić, by uzdrowić sytuację w kraju. Zanim się rozstali, zdołali już zaprowadzić ład na świecie, a Stacey miał znacznie lepszy nastrój, choć żaden z jego problemów nie został rozwiązany, ba, nie znalazł się nawet na drodze do rozwiązania.

Ojciec Staceya miał dom w Londynie przy Duke Street i tam też wicehrabia dotarł spacerkiem o drugiej nad ranem z mocnym postanowieniem, że musi wreszcie coś zrobić z Julią, choć przyznawał bez oporów, że nie ma pojęcia o wychowywaniu dzieci, szczególnie zaś dziewczynek stojących u progu kobiecości. Gdyby Anne-Marie nie umarła...

Przypomniał sobie trwające osiemnaście miesięcy małżeństwo. Przez tych osiemnaście miesięcy gorzko żałował, że dał się rodzicom namówić na ten związek.

- Ona będzie cudowną żoną - wmawiali mu. - Ma odpowiednie koneksje, dobry posag i jest piękna.

To wszystko prawda, nie powiedziano mu jednak, a on sam był zbyt młody, by zauważyć, że Anne-Marie ledwie wyrosła ze szkolnego mundurka i ma pusto w głowie. Chciała za nie-

go wyjść ze względu na to, co mógł jej zaoferować: pozycję towarzyską (a zależało jej na tym, by zwracano się do niej: miłady) oraz suknie i klejnoty, mnóstwo sukien i coraz to nowe puzderka z biżuterią. Nie miała pojęcia o obowiązkach żony, a gdy tylko zaszła w ciążę, nie chciała już mieć z mężem nic wspólnego i przez całe dni wyłącznie objadała się słodyczami. Nic więc dziwnego, że Stacey kupił patent oficerski i wyjechał do Indii, gdzie służył pod rozkazami sir Arthura Wellesleya. Po powrocie nie zabawił w domu zbyt długo i znów podążył za swym dowódcą, tym razem do Hiszpanii, by dzielić wraz z nim porażki i zwycięstwa. Sir Arthur został obsypany honorami, otrzymał tytuł wicehrabiego, potem markiza, wreszcie księcia Wellingtona. Został również otoczony powszechnym uwielbieniem. Stacey natomiast wrócił do domu, w którym czekały go tylko problemy z dorastającą córką.

Czy Anne-Marie dojrzałyby, gdyby dane jej było żyć? Czy ich małżeństwo by okrzepło? Bardzo w to wątpił. Zostawiła mu jednak po sobie Julię, za którą był odpowiedzialny. On, a nie jego ojciec. Nie powinien był zostawiać córki na tak długo, że stali się sobie obcy. Nie sądził jednak, by nowa żona mogła rozwiązać ten problem. Julia musiałaby zaakceptować dwoje obcych ludzi, a skoro nie przepadała za nim, bardzo możliwe, że znienawidziłaby macochę. Stacey postanowił wracać do domu następnego dnia i spróbować wziąć córkę w karby.

Chłód i deszcz, które ostatnio tak dawały się we znaki, ustąpiły wreszcie w nocy, a rano nawet wyrzało słońce, jednak w powietrzu wciąż wisiła wilgoć, a na ulicach stały głębokie kałuże. Stacey spędził poranek u Dżentelmena Jacksona na Bond Street, doskonaląc swe umiejętności bokserskie, po

południu natomiast wybrał się do tatarsalu, bo zastanawiał się nad kupnem klaczy dla swego ogiera Ivora. Do domu wrócił o szóstej, przebrał się w strój podróży, samotnie spożył posiłek i dorożką pojechał do Spread Eagle na Gracechurch Street, by złapać dylizans zdążający do Norwich. W pierwszej chwili zaskoczył go widok trzech spotkanych poprzedniego dnia w klubie graczy, którzy również zamierzali podróżować tym dylizansem. Zaraz jednak przypomniał sobie, że mężczyzna imieniem Cecil wspominał wczoraj o Suffolku, gdzie miał leżeć odziedziczony przezeń majątek, zmierzali więc w tym samym kierunku.

Panowie nie byli tak hałaśliwi jak poprzedniego wieczoru. Prawdę mówiąc, mieli szare twarze i czerwone obwódki wokół mętnych oczu. Stacey podziękował opatrności, że nie byli w nastroju do rozmowy, i wcisnął się w kąć powozu, pogrążając się w zadumie. Gdy jednak wyjechali z miasta, zagadnął go mężczyzna o imieniu Cecil:

- My się chyba znamy?

Stacey nie zareagował, jednak natręt dotknął jego kolana i powtórzył pytanie. Zionął przesyconym brandy oddechem, jednak w nowym garniturze wyglądał w miarę przyzwoicie.

- Słucham?

- Powiedziałem, że chyba się już spotkaliśmy.

- Doprawdy?

- Tak sądzę. Hobart. Lord Hobart z Easterley Manor.

- Chylę czoła - odparł Stacey bez entuzjazmu. Czuł awersję do tego człowieka. Nie chodziło wyłącznie o wygląd, bo na to nie ma się wpływu, ale o zachowanie, o ordynarne, wręcz chamskie maniery. A pogardliwy sposób, w jaki wyrażał się o bratowej, był niegodny dżentelmena. Stacey nie znał tej kobiety, ale, jakakolwiek by była, z pewnością nie zasługiwała na

tak uwłaczające uwagi, szczególnie jeśli dbała o odziedziczony przez niego majątek.

- A pańskie nazwisko? - zapytał Cecil.

- Moje nazwisko nie powinno pana interesować.

- Musi mnie interesować, skoro jesteśmy znajomymi. -

Nagle uderzył się dłonią w czoło i ryknął śmiechem. - No tak, Malcomby! Jest pan synem hrabiego. Wdziąłem, że znam pańską fizys!

Stacey jęknął w duchu. Wyglądało na to, że ten człowiek rzeczywiście wiedział, kim był.

- Stacey Darton - mruknął.

- Wicehrabia. No, no. Po tylu latach...

- Obawiam się, że nie przypominam sobie...

- Oczywiście, że nie. Byłem zaledwie gołowąsem, a pan kapitanem huzarów. W moich oczach był pan wspaniałą osobistością. Sam byłem gotów sięgnąć po miecz w obronie króla i ojczyzny, niestety interesy wzywały mnie do Indii. Nadal pan nie pamięta, gdzie się spotkaliśmy?

- Niestety nie. - Staceya zaczęła ciekawić ta sprawa.

- To było na pogrzebie mojej matki, Madeleine Stacey, kuzynki pańskiego ojca. Otrzymał pan imię po niej.

- Kuzynka? Ach tak... - Madeleine była córką ciotki jego ojca. Akurat przyjechał na krótko z Indii, pojechał więc z ojcem na pogrzeb zacnej kuzynki. A ten nieokrzesany prostak to jej syn!

- Czyli jesteśmy spokrewnieni, prawda? - Cecil wyciągnął do niego rękę. - Jak się miewasz, kuzynie.

Stacey, który nigdy nie uchybił zasadom dobrego wychowania, uściśnął jego rękę, po czym był zmuszony podać ją również osłupiałym ze zdumienia kompanom Cecila.

- Pozwól, że ci przedstawię moich przyjaciół - oświadczył

Cecil. - To pan Augustus Spike. - Wskazał siedzącego obok siebie mężczyznę z krzaczastymi brwiami. - A ten rzezimieszek to sir Roland Bentwater. Zmierzamy do Parsons End, żeby upomnieć się o mój spadek. - Najwyraźniej nie zauważył Stacey poprzedniego wieczoru u White'a. - Mój drogi ojczulek niedawno wyzionął ducha, ale, choć posłał po mnie, niestety nie zdążyłem zobaczyć go przed śmiercią.

- Bardzo ci współczuję - odparł Stacey uprzejmie.
- A ty dokąd jedziesz?
- Do domu, do Malcomby Hall.
- Po raz pierwszy od zakończenia wojny?
- Nie, wróciłem pół roku temu.
- A jak się miewa twoja piękna żona?
- Zmarła wiele lat temu.
- Bardzo mi przykro. A hrabia i hrabina?
- Oboje mają się dobrze.
- To znakomicie. Zastanawiam się, dlaczego podróżujesz dyliżansem, skoro w Malcomby Hall z pewnością są powozy i konie na zmianę.

Teraz bardzo tego żałował. Ojciec pozwoliłby mu wziąć powóz, ponieważ jednak matka ustawicznie z niego korzystała, Stacey nie chciał jej pozbawiać środka transportu. W majątku były jeszcze gig i faeton, ale nie nadawały się na dłuższe trasy, a przy tak niesprzyjającej aurze rodzice również nie mogli nimi jeździć. Dyliżans wydawał się najrozsądniejszym rozwiązaniem, zanosilo się jednak na to, że będzie zmuszony spędzić kilka najbliższych godzin w towarzystwie odrażającego kuzyna.

Oszczędzona mu została odpowiedź, bo dyliżans wtoczył się właśnie na dziedziniec zajazdu, w którym miała nastąpić pierwsza wymiana koni. Staceyowi nie chciało się wchodzić

do gospody, żeby coś zjeść, więc został w powozie. Pół godziny później ruszyli w dalszą drogę, a ponieważ dosiadło się więcej pasażerów, Stacey musiał tylko od czasu do czasu rzucać od niechcenia jakąś uwagę. Rozmowa stawała się coraz bardziej chaotyczna, część pasażerów zaczęła drzemać. Stacey udał, że poszedł w ich ślady.

Około trzeciej nad ranem dyliżans wreszcie wtoczył się z hurkotem na dziedziniec zajazdu Pod Wielkim Białym Koniem w Ipswich.

- Tutaj się rozstaniemy, kuzynie - powiedział Cecil. - Nie ma stałego połączenia z Parsons End, więc musimy coś sami zorganizować. Nie będziemy się jednak śpieszyć, być może znajdziemy jakąś małą, przytulną gospodę, w której można nieźle zagrać.

Pojazd wtoczył się na podwórze i natychmiast przystąpiono do wymiany koni. Cecil Hobart i jego przyjaciele wygramolili się na zewnątrz. Przed zamknięciem drzwi Cecil zwrócił się jeszcze do Staceya:

- Przekaż hrabiemu i hrabinie moje ukłony, dobrze? Musisz ich przywieźć z wizytą do Easterley Manor, kiedy tam zamieszkać.

- Unikają już dalszych podróży.

- Naprawdę? Podobno mój ojciec przez ostatnie lata również nie opuszczał domu. Nikt jednak nie stoi na przeszkodzie twojej wizycie, prawda? Krewni nie powinni tracić ze sobą kontaktu. Daj mi tylko dwa czy trzy dni, żebym zdążył się zdomowić.

Stacey uprzejmie skłonił głowę. Świadomość, że ten człowiek okazał się jego krewnym, była mu zdecydowanie przykra, więc nie zamierzał nie tylko go odwiedzać, ale nawet zaprzę-

tać sobie nim głowy. Ludzie zawsze twierdzili, że go znają lub nawet że są z nim spokrewnieni, a to ze względu na jego tytuł i znaczny majątek. Tylko w wojsku, wśród takich ludzi jak kapitan Gerard Topham, nie przejmowano się jego bogactwem i arystokratycznym pochodzeniem, natomiast szanowano za to, że własną krwią i wojennym talentem zdobył rangę majora. Sam też cenił to sobie znacznie wyżej.

Wreszcie dotarł do Norwich i zatrzymał się w zajeździe, w którym czekał na niego jego wierzchowiec, i w siodle odbył ostatni odcinek podróży.

Słońce grzało go w plecy, a ptaki śpiewały radośnie, jakby chciały go poinformować, że zima odeszła, ustępując miejsca wiosnie. Poprawił mu się humor. Może zastanie Julię w lepszym nastroju, może zacznie go słuchać i przestanie trzymać na dystans. Był rozczarowany, gdy już po paru minutach wjechał w wielką, żelazną bramę Malcomby Hall.

Postanowił pojechać na skróty, pomiędzy drzewami, zamiast krętą drogą dojazdową do domu, gdy nagle jego uwagę zwrócił wierzchowiec Julii, Ebony, uwiązany obok innego konia na niewielkiej polance. Zatrzymał się. Zaczął się zastanawiać, gdzie się podziewa Julia i do kogo należy drugi koń, gdy nagle od strony jeziora dobiegł go śmiech córki. Zsiadł z siodła i ruszył cicho w kierunku, z którego dobiegał śmiech. Na skraju drzew przy brzegu jeziora stanął porażony widokiem, jaki miał przed oczami.

Pomimo chłodu Julia kapała się w jeziorze, naga jak ją Pan Bóg stworzył. Długie włosy opadły swobodnie na ramiona. Co gorsza, był z nią młody chłopak, również całkiem goły! Śmiali się, ochlapując się wodą jak małe dzieci, ale nie byli już dziećmi. Julia miała wprawdzie dopiero trzynaście lat, ale ciało młodej kobiety. Przez parę sekund stał oniemiały, po



czym wydał głośny, przeciągły ryk. Panna Darton i jej kompan w panice zaczęli gramolić się na brzeg, gdzie leżały ich ubrania.

- Julio, zostań na miejscu! - krzyknął Stacey. - A ty, kimkolwiek jesteś, ubierz się i chodź tutaj.

Chłopak pośpiesznie wciągnął spodnie, koszulę i surdut, po czym, zamiast podejść do Staceya, dał nura między drzewa. Julia natomiast, odwrócona do ojca plecami, wciągała przez głowę koszulkę.

- Jak już będziesz przyzwoicie ubrana, spotkamy się przy koniach - stwierdził z furją Stacey.

Dołączyła do niego po dwóch minutach. W jej błękitnych oczach płonął bunt.

- Nie rozumiem, o co tyle zamieszania - oświadczyła, wskazując na siodło. - Nie robiliśmy nic złego.

Stacey nie ufał własnemu głosowi, więc bez słowa dosiadł wierzchowca, pochwycił wodze córki i ruszyli do domu. Ta obelga rozzłościła Julię. Kilkakrotnie mocno szarpnęła wodze, by wyrwać je z ręki ojca, ale bez skutku. Rozsiadła się więc w siodle i resztę drogi przebyła w gniewnym milczeniu.

- Idź do swojego pokoju - polecił Stacey, gdy byli już blisko rezydencji. - Ubierz się porządnie, a jak już będziesz mogła pokazać się ludziom na oczy, zejdź do biblioteki. Chcę z tobą porozmawiać.

Po jej odejściu oddał konie pod opiekę stajennego i wolnym krokiem ruszył ku domowi. Nie miał pojęcia, jak się zachować w takiej sytuacji. W drodze do biblioteki przechodził obok bawialni i przez uchylone drzwi dostrzegł siedzących po obu stronach kominka rodziców. Matka haftowała, a ojciec czytał gazetę. Wyglądali na tak zadowolonych, że znowu odżyła w nim wściekłość.

- A więc to tak zajmowaliście się moją córką pod moją nieobecność - wycedził, piorunując ich wzrokiem. - Wy tu sobie czytacie i zajmujecie się robótkami, podczas gdy ona zachowuje się jak ulicznica. Bardzo wam dziękuję, pewnie już nic z niej nie będzie.

- A co zrobiła tym razem, kochanie? - zainteresowała się matka.

- Zgadnij, co zobaczyłem, wracając konno przez las. Moją córkę, twoją ukochaną wnsię, pływającą w jeziorze...

- Ojej, jest tak zimno... - zmartwiła się lady Malcomby. - Przeziębii się na śmierć. Mam nadzieję, że posłałeś ją do Susan, żeby się rozgrzała.

- Gdyby była chłopcem, sam bym ją rozgrzał. Przetrzepałbym jej portki tak, że przez tydzień nie usiadłaby na tyłku! - warknął.

- Och, daj spokój - próbował łagodzić ojciec. - Robisz wokół tego za dużo hałasu.

- Nie słyszeliście jeszcze najgorszego. Była goła jak ją Pan Bóg stworzył...

- Goła! - krzyknęła milady, wypuszczając z rąk robótkę. - Chcesz powiedzieć, że nie miała na sobie ubrania?

- Nawet koszulki. W dodatku nie kąpała się sama. Był z nią jakiś kmiotek. Chichotali i ochlapywali się wodą...

- Czy on również... Och, Boże, czy i on...?

- Jak święty turecki! Może powiecie mi teraz z łaski swojej, co mam z tym fantem zrobić? Bo ja nie wiem. Obawiam się, że jak na nią spojrzę, to jej przyleję.

- To nic nie da - oświadczył ojciec. - Julia to jeszcze dziecko, z pewnością uważa, że nie zrobiła nic złego, a przesadną reakcją możesz ją sprowokować do większej samowoli.

- Ona nie jest już dzieckiem! - krzyknął. - To prawie ko-

bieta. Gdybyś zobaczył ją wychodzącą z wody, nie miałbyś co do tego wątpliwości. Kiedy do ciebie dotrze, że dzieci dorastają i choćbyś najbardziej tego pragnął, nie pozostają przez całe życie maleństwami? Niczego nie zauważyłeś?

- Prawdę mówiąc, nie - przyznał ojciec z niesłabnącym samozadowoleniem. - Ale pewnie masz rację.

- Więc co mam zrobić?

- Zamknij ją na parę godzin w pokoju. To zazwyczaj odnosi pożądany skutek.

Stacey roześmiał się gorzko.

- Naprawdę wierzysz, że zamykanie na klucz może ją zmienić na lepsze? Załóżę się, że Julia jest w stanie zejść na dół po bluszczu z taką samą łatwością jak ja kiedyś.

- Robiłeś to? - zapytała matka z rozbawieniem. - Nie miałam o tym pojęcia.

- Kim był ten chłopak? - zainteresował się hrabia.

- A jakie to ma znaczenie? Przecież moja córka jest zbyt młoda, by ją wydać za mąż. On po prostu niech zniknie, natomiast martwię się o nią. Trzeba ją stąd wywieźć i nauczyć manier godnych młodej damy. Chyba na tym świecie znajdzie się ktoś, kto potrafi sobie z nią poradzić?

Ruszył do biblioteki, bo Julia schodziła właśnie ze schodów. Wyglądała bardzo spokojnie i niewinnie w bladuróżowej muślinowej sukience w groszki z ciemnoróżową szarfą i taką samą wstążką we włosach. Szła z wysoko podniesioną głową, a za nią podążała Susan Handy, tęga kobieta w średnim wieku, która niegdyś była niańką i guwernantką Staceya, a obecnie opiekowała się jego córką. Niewątpliwie przyszła z Julią na wypadek, gdyby ojciec chciał zrealizować swe groźby i sprawić łanie jej ukochanej podopiecznej.

Stacey uśmiechnął się ponuro. Panna Handy zdecydowa-

nie nie nadawała się na opiekunkę Julii, była zbyt pobłażliwa, a poza tym przy swej tuszy łatwo dostawała zadyszki i nie mogła dogonić uciekającej dziewczynki. Powinien był coś w tej sprawie zrobić, kiedy przyjechał do domu dwa lata temu, ale nie miał sumienia jej odprawić, bo dokąd miała pójść?

- Proszę zaczekać na Julię na górze, panno Handy - powiedział chłodno.

- Nie będzie pan dla niej zbyt surowy, paniczu Stacey? Ona na pewno żałuje, że była niegrzeczna, i w przyszłości będzie dobrą dziewczynką.

- Zobaczmy - odparł chłodno i wpuścił córkę przed sobą do biblioteki. Płonący w nim przed chwilą gniew ustąpił miejsca lodowatemu spokojowi.

- Tato... - zaczęła Julia.

- Nie odzywaj się, dopóki ci na to nie zezwolę! Jestem na ciebie wściekły i gdybym kiedykolwiek dostał tego chłopaka w swoje ręce...

- To nie jego wina. Zobaczyłam, jak się kąpał w jeziorze, i nie mogłam się oprzeć...

- Dosyć tego! - ryknął Stacey. - Mów prawdę, czy on cię dotknął? Czy zachował się w jakikolwiek sposób...? - Nie potrafił oblec swego pytania w słowa.

- Oczywiście, że nie! - odparła wyniośle. - Nawet mu się nie śniło, by wyciągnąć rękę po wnuczkę hrabiego.

Odetchnął z ulgą.

- Dzięki Bogu i za to. Wyjedziesz do szkoły, nawet gdybym musiał przemierzyć cały kraj wzdłuż i wszerz, by znaleźć taką, która cię przyjmie. To nieodwołalna decyzja.

Za nic nie chciała się rozpłakać. Zauważył jej heroiczne wysiłki, by powstrzymać napływające do oczu łzy, widział, jak

mruka powiekami, przełyka ślinę i dumnie unosi głowę. Podziwiał ją za to, ale nie zmiękł.

- Pozostaniesz w swoim pokoju do odwołania, panna Handy znajdzie ci jakieś zajęcie. Na przykład książkę o manierach godnych młodej damy, jeśli w tym domu znajdzie się coś takiego.

- Tak, milordzie.

Powiedziała do niego „milordzie”, jakby byli dalekimi znajomymi, a nie ojcem i córką. To go dotknęło, ale bez komentarza odesłał ją na górę. Kusiło go, by pobiec za nią, mocno przytulić i zapewnić, że wszystko będzie dobrze i że ją rozumie, ale nie mógł tego zrobić, bo była zbyt podobna do matki. Należało znaleźć szkołę prowadzoną przez rozsądną kobietę, która potrafi wychować pannę Darton na damę, nie łamiąc jej przy tym charakteru. Tylko gdzie znaleźć taką pensję?

## Rozdział drugi

Stacey po raz pierwszy zobaczył Charlotte, gdy bawiła się z dziećmi na plaży. Biegała w kółko, pozwalając się złapać, potem znów uciekała i szeroko rozkładała ramiona, w które dzieci rzucały się, piszcząc z uciechy. Ściągnął wodze i zatrzymał się, by popatrzeć. Ojciec powiedział mu o pewnej szkole w Ipswich, która mogłaby przyjąć Julię. Stacey postanowił pojechać tam konno traktem prowadzącym wzdłuż wybrzeża, żeby nie tłuc się znowu dyliżansem. Uznał, że w samotności będzie mógł spokojnie wszystko przemyśleć. W dodatku zyskiwał trochę więcej czasu. Nie da się ukryć, że chciał odwlec tę chwilę, bo nie był do końca pewien słuszności decyzji, by rzucić wychowanie Julii na barki innych ludzi. Czy nie była to z jego strony ucieczka od odpowiedzialności? Na razie córka była bezpieczna w Malcomby Hall, bo ojciec obiecał nie spuszczać jej z oczu.

Jechał stępą ścieżką prowadzącą szczytem klifu, gdy nagle z zamyślenia wyrwał go radosny śmiech dzieci. Tyle w nim było szczęścia! Podjechał na skraj urwiska i spojrzął w dół. Ile było tych dzieci? Dziesięcioro? Tuzin? Z pewnością nie wszystkie należały do tej kobiety. Ile mogła mieć lat? Z tej od-

ległości trudno powiedzieć, ale na pewno nie tyle, by zdażyła urodzić taką gromadkę. Zresztą dzieci nie były do siebie podobne, ciemno- i jasnowłose, niektóre miały na sobie ciepłe ubranie, inne jakieś nędzne łachmany. Tylko kobieta miała na nogach obuwie, dzieci biegały na bosaka, a rząd małych bučików stał wzdłuż stromej ścieżki prowadzącej z wysokiego klifu na plażę. Opiekunka była ubrana w prostą czarną suknię i pelerynę. Może była w żałobie? Ale czy kobieta w żałobie mogła się śmiać tak radośnie?

Charlotte zatrzymała się nagle, zbyt zdyszana, by bawić się dalej. Dzieci natychmiast skupiły się wokół niej, mówiąc coś z podnieceniem. Właśnie wówczas spojrzała w górę i go dostrzegła. Siedział na dużym, siwym ogierze, w stroju podróżnym i obszernej pelerynie. Uchylił cylinder i skłonił się. Poczowała się nieswojo, więc zaczęła poganiać dzieci, by zabrały znalezione na plaży muszle i wodorosty, a sama rozwiązała wstążki czepka, który zsunął jej się na plecy, i włożyła go porządnie na głowę. Potem poprowadziła dzieci ścieżką pod górę, w jego stronę. Nie poruszył się. W pierwszej chwili pomyślała, że to Cecil, który przyjechał objąć schedę po ojcu, ale gdy podeszła bliżej, poznała, że to nie on. Ten mężczyzna był nieznanym, i to w dodatku uderzająco przystojnym nieznanym. Ponownie uchylił kapelusza, spod którego błysnęły brązowe, rozbawione oczy.

- Dzień dobry, madame.
- Dzień dobry, sir.
- Ma pani wyjątkowo liczną rodzinę. - Jaka jest piękna, pomyślał. O nieskazitelnie czystej cerze i oczach w dziwnym, ni to niebieskim, ni to zielonym kolorze, które patrzy prosto w twarz. Uśmiechnęła się.

- Prawda? Niestety, nie wszystkie dzieci są moje. Tylko te

dwie... - Przyciągnęła do siebie Lizzie i Fanny. - Reszta to moi uczniowie.

- A, jest pani nauczycielką!

Już otworzyła usta, by sprostować nieporozumienie, ale zrezygnowała. Dzisiaj rzeczywiście była nauczycielką, a gdyby Cecil okazał się nieczułym egoistą i wymówił jej dom, nie pozostanie jej nic innego, jak zaangażować się do jakiejś szkoły. Postanowiła wystąpić w tej roli przed nieznanym.

Uwielbiała uczyć wiejskie dzieciaki. Były niezwykle pojętne i chętne do nauki. Ich rodzice początkowo niechętnie odnosili się do tego pomysłu i pytali, po co ich dzieciom edukacja. Skoro oni sami obywali się bez niej z powodzeniem, to ich córki i synowie również mogą. Charlotte i wielbny Fuller namówili ich do wyrażenia zgody, by dzieci uczęszczały do szkoły w czasie, gdy nie ma dla nich pracy na farmie. Mali wieśniacy zbierali z pól kamienie, pasali krowy, pilnowali owiec, pomagali w ogrodzie, i te zajęcia zawsze miały pierwszeństwo. Opiekowali się też młodszym rodzeństwem i zabierali je często na lekcje, które odbywały się każdego popołudnia w nieużywanej wozowni przy plebanii. Dzieci zgłębiały tajniki liczenia, pisania i czytania. Charlotte uczyła również podstaw historii i geografii, a czasem prowadziła je na plażę i opowiadała o przyrodzie. Lizzie i Fanny też w tym uczestniczyły. Lord Hobart, zanim choroba posunęła się tak daleko, że nie wiedział już, co się wokół niego dzieje, protestował przeciwko kontaktom swoich wnuczek z dziećmi z pospólstwa, ale Charlotte tłumaczyła mu, że to może im wyjść na dobre.

Początkowo mali wieśniacy trzymali się z dala od jej córek, a Lizzie i Fanny z kolei, ciepło ubrane i w porządnym bucickach na nogach, szybko zdały sobie sprawę ze swej wyższej pozycji i zaczęły trochę zadzierać nosa, ale w końcu wszystko



się ułożyło. Zdziwiające, a może i niezdziwiające, ilu rzeczy mogły nauczyć swoich rówieśników z wioski i jak wiele przy tym uczyły się same. Choć nie zawsze ta wiedza była pożądana!

Tego dnia Charlotte miała głowę tak zaprzątniętą śmiercią teścia i niepewną przyszłością, że nie mogła skupić się na prowadzeniu lekcji, zabrała więc dzieci na plażę, żeby obserwować życie w głębokich kałużach pozostałych po przypływie. Był to pierwszy ładny dzień tego roku. Porywiste wiatry i rzęsiście ulewy po pogrzebie lorda Hobarta ustały i zaczęło się wypogadzać. Łagodne fale wdzierały się na piaszczystą plażę, zostawiając w zagłębieniach niewielkie baseny, w których pulsowało mikroskopijne życie. Na plaży było tak przyjemnie, a dzieci wręcz tryskały energią, że zaczęli bawić się w berka. Charlotte miała w sobie tyle samo energii co dzieci i zachowywała się niemal jak dziecko. Czepek zsunął jej się z głowy, a szpilki powypadały z włosów, które nie były jasne, ale również nie kasztanowe. Zdaniem Charlotte miały nieokreśloną barwę, ale Staceyowi wydały się zachwycające.

Krępowołała ją, że wyniosły mężczyzna ze szczytu był świadkiem jej niepoważnego zachowania. Za późno już było na powrót do manier pani ze dworu. Uśmiechnęła się.

- Tak, sir, jestem nauczycielką. Dzisiaj zrobiliśmy przerwę w normalnych lekcjach, by nauczyć się czegoś o morzu, przypływach i odpływach, a także o mikroskopijnych organizmach, które żyją w kałużach na plaży.

- Rozumiem. - I znów ten uśmiech. - Szkoda, że za moich czasów lekcje nie były tak zajmujące.

- Nie lubił pan szkoły? - Uczniowie skupili się wokół niej, jakby chcieli ją chronić, ciekawie przyglądając się przybyszowi. - Włóżcie buty - powiedziała.

Stacey zwrócił uwagę, że posłusznie wykonano jej polecenie, przy czym starsze dzieci pomagały młodszym. Zauważył, że kilkoro w ogóle nie miało obuwia. Doszedł do wniosku, że to zwyczajna wiejska młodź, ale uczona przez niezwykłą nauczycielkę. W takich szkołach ograniczano się zwykle do nauki czytania, a i to nie zawsze, bo nauczyciele byli nierzadko takimi samymi ignorantami jak uczniowie. Ale ta była inna. Schludna i elegancka, nawet w tej prostej, czarnej sukni, przy tym mówiła piękną angielszczyzną.

- Nawet ją dość lubiłem - odpowiedział - ale jako zło konieczne.

- Jak pan może określać szkołę jako zło? Z pewnością odebrał pan wykształcenie, o jakim ci malcy nie mogą nawet pomarzyć. - Nie rozumiała, dlaczego przyjmuje wobec niego postawę obronną, ale rozżłościł ją. Siedział na koniu, roztaczał wokół siebie aurę wyższości i zdawał się ją krytykować. - Niewiele ich mogę nauczyć, ale jestem pewna, że wcale nie uważają tego za zło.

- Na pewno nie, skoro wolno im ganiać na bosaka i krzyczeć, ile sił w płucach. Czego mają się przez to nauczyć?

- Choćby tego, jak być szczęśliwym, tego, że życie to nie tylko ciężka praca. Uczą się też właściwych relacji z innymi...

- Sądzi pani, że taka nauka jest potrzebna?

- Tak sądzę.

- A co im jeszcze chce pani przekazać? Czego uczy ich pani w klasie?

Zastanawiała się w duchu, dlaczego ją tak wypytywał. Dlaczego nie odjechał w swoją stronę? Co mógł wiedzieć o biedzie? Miał na sobie uszyte w dobrego materiału i doskonale skrojone ubranie oraz ciepły płaszcz podróżny, siedział na wspaniałym wierzchowcu...

- Uczę ich czytać, pisać, liczyć i choć trochę rozumieć otaczający nas świat.

- A dobrego zachowania? - Nie musiał nawet o to pytać, bo dzieci same ustawiły się parami i wzięły się za ręce, czekając cierpliwie, aż pani da im znak do wymarszu.

- Oczywiście, ale jeśli ma pan na myśli sztuczne zasady, obowiązujące w tak zwanym dobrym towarzystwie, to obawiam się, że na nic by się im nie przydały. A teraz proszę wybaczyć, ale zerwał się chłodny wiatr, a one, w przeciwieństwie do pana, nie mają ciepłych płaszczy. Dzieci, idziemy.

Wzięła na ręce najmniejsze, najwyżej dwuletnie dziecko, drugiemu podała rękę i ruszyła przodem. Dziewczynki, które przedstawiła jako własne córki, nosiły przyzwoite ubrania, choć bez ekstrawagancji. Czy była mężatka? A może czarny strój był symbolem wdowieństwa? Dama, która wpadła w tarapaty? Zaintrygowana go.

Stacey powoli ruszył konno szczytem klifu, rozmyślając o różnych szkołach, o Julii i o przystojnej, inteligentnej kobiecie, która zdołała przywołać go do porządku. Na falach unosiło się kilka łodzi rybackich, a przed nim pojawiła się latarnia morska, która zwróciła jego myśli ku Gerry'emu Tophamowi. Pewnie właśnie takie tereny patrolował jako strażnik wybrzeża. Zazdrościł przyjacielowi niezależności. Nie musiał zawracać sobie głowy rozwydrzoną córką i ojcem, który zanudzał go ciągłym przypominaniem, że powinien znów się ożenić. Niestety, doświadczenia małżeńskie Staceya zniechęcały go do podjęcia kolejnej próby, a jeśli już chodzi o potomstwo, to okazało się raczej przekleństwem niż błogosławieństwem. Czy to jednak prawda? Ta nauczycielka odnosiła się do dzieci łagodnie, a one były grzeczne i posłuszne, bez protestów przerwały zabawę i weszły za nią na górę. Gdyby tylko zdołał

znaleźć kogoś takiego jak ona, by utemperować Julię! Nagle koń się potknął, wyrwując go z zamyślenia. Stacey zeskoczył z siodła, żeby sprawdzić, co się stało, i stwierdził, że Ivor zgubił podkowę.

- A niech to! - Rozejrzał się dokoła w poszukiwaniu ludzkich siedzib, w których mógłby znaleźć kowala, wreszcie zobaczył smugę dymu wijącą się za kępą drzew. Tam więc musiała znajdować się wioska, do której zmierzała kobieta z dziećmi. Z lekkim uśmiechem zawrócił konia. Ciekaw był, czy zdoła ich dogonić, nie udało się jednak, bo oto nagle znalazł się na środku głównej ulicy. Stało przy niej kilka chat, kościół, gospoda, jakieś zabudowania gospodarcze i kuźnia. Na ulicy dostrzegł kilka kobiet, które przyglądały mu się z zainteresowaniem, ale ani śladu nauczycielki i jej podopiecznych. Nie da się ukryć, że był rozczarowany.

Kowal bił potężnym młotem w kawał żelaza, z którego formował nową podkowę dla krzepkiego konia rasy Suffolk punch. Stacey czekał cierpliwie na swoją kolej. Wreszcie stary kowal uporał się z zadaniem i zagadnął:

- Potrzebuje pan moich usług, cudzoziemcze?
- Mój koń zgubił podkowę. Może mu pan zrobić nową?
- Ma pan piękne, silne zwierzę.
- Tak. Ma na imię Ivor. Kupiłem go w Austrii od rosyjskiego arystokraty. Wyniósł mnie bezpiecznie z wielu bitew.
- I przebył pan na nim całą drogę z Austrii? - roześmiał się kowal.
- Nie, tylko z drugiego końca Norwich. Dlaczego pan pyta?
- Bo wszystkie podkowy są bardzo zużyte. Nie ma sensu wymieniać tylko jednej.
- Sam to widzę.
- Muszę zaprowadzić konia na farmę. - Ruchem głowy

wskazał podkutego przed chwilą Suffolk puncha. - To mi zajmie koło godziny.

- Zanim pan wróci, zapadnie zmrok i będzie za późno na podróż. Czy w okolicy jest jakaś gospoda, w której mógłbym zanocować?

- Jest gospoda Pod Psem i Lisem. Dadzą panu tam łóżko. Jeszcze przed śniadaniem odprowadzę panu podkutego konia.

- Nie ma pośpiechu. A jak się nazywa ta wioska?

- Parsons End, sir.

Parsons End. Jaka dziwna nazwa. Chyba już ją kiedyś słyszał. I nagle przypomniał sobie lorda Hobarta. Czy to nie tutaj właśnie zmierzał? Przemknęło mu przez myśl, że mógłby udać się do dworu, bo przecież Cecil go zapraszał, jednak gospoda Pod Psem i Lisem zdecydowanie bardziej mu odpowiadała. Z lordem Hobartem wolał nie mieć nic do czynienia.

Następnego ranka, gdy Charlotte była w ogrodzie, służący powiadomił ją o przyjeździe gości. Ogrodnictwo stanowiło jedną z jej największych pasji, potrafiła godzinami zajmować się kwiatami i dyskutować z ogrodnikiem, Harmanem, gdzie co posadzić i w jaki sposób dbać o poszczególne rośliny. Ubrana w stary, barchanowy płaszcz, miękki, filcowy kapelusz i w grube, bawełniane rękawice mogła kopać, sadzić i grzebać w ziemi, ile dusza zapagnie. Zdecydowanie nie spodziewała się gości.

- Kto przyjechał, Foster?

- Nikt znajomy, milady. Odepchnął mnie i wszedł do salonu, jakby był u siebie...

- Może i tak... - mruknęła pod nosem.

Służący spojrzął na nią ze zdumieniem, ale kontynuował relację, jakby nigdy nic:

- A wraz z nim dwóch kompanów, których nie wpuściłbym przez próg, gdybym mógł ich zatrzymać. Przepraszam, milady.

- Nie przejmuj się, Foster. Chyba wiem, kim jest jeden z nich. Powiedz kucharce, żeby przygotowała dla nich jakiś poczęstunek i daj im znać, że zaraz przyjdę.

Poszedł spełnić jej polecenie, a Charlotte pośpiesznie wróciła do domu tylnym wejściem i wbiegła na górę, żeby się obmyć i przebrać w żałobną suknię z czarnego jedwabiu, nieco bardziej elegancką od tej, którą miała na sobie poprzedniego dnia. Tamta została poplamiona morską wodą, co bardzo zdenerwowało Joan Quinn. Wyszczotkowała włosy i upięła je z tyłu grzebieniami, a potem okryła czepeczkiem z czarnej koronki. Wzięła głęboki oddech i zesłała głównymi schodami do salonu.

Zastała tam trzech mężczyzn, z których dwóch zdążyło się już wyciągnąć na zielonych, brokatowych kanapach i rozglądało się wokół, jakby oceniając wartość wszystkich zgromadzonych tu mebli, obrazów i figurynek, które kolekcjonowała teściowa Charlotte. Trzeci stał przy kominku, opierając stopę na obmurowaniu. W jego postawie wyczuwało się poczucie wyższości. Bez trudu rozpoznała w nim swego szwagra, choć gdy widzieli się poprzednim razem, nie miał jeszcze blizny na warzy i był smukły, teraz zaś tłuszcz rozpychał jego marynarkę i spodnie.

- Cecil? - zapytała.

Skłonił się z drwiną.

- Do usług, droga siostró. Pozwól sobie przedstawić moich przyjaciół, sir Rolanda Bentwatera i pana Augustusa Spike'a.

Dwaj mężczyźni, jeden wysoki i chudy jak tyczka, a drugi tęższy i krępy, podnieśli się z kanap i złożyli jej ukłony, na które odpowiedziała lekkim skinieniem głowy.

- Nie wiedziałam, że dziś przyjedziesz - zwróciła się do

Cecila. - Gdybyś mnie uprzedził, przygotowałabym dom na twoje przyjęcie...

- Nie potrzebuję żadnego przyjęcia. To mój dom, przyjeżdżam i wyjeżdżam, kiedy mam ochotę.

- Oczywiście. Przykro mi, że nie zdążyłeś porozmawiać z ojcem przed jego śmiercią..

- Przykro? A czy jemu było przykro, że mnie wygnął? Chciał przed śmiercią pojednać się ze mną?

- Myślę, że tak.

- Możliwe, ale ja jemu nie wybaczyłem i nigdy bym nie wybaczył, więc pewnie lepiej, że się nie widzieliśmy.

Postanowiła zignorować to oświadczenie.

- Zaraz podadzą wam poczęstunek, a ja w tym czasie każę przygotować twój pokój.

- Pokój ojca. Pokój pana domu.

- Prawdę mówiąc, nie sądziłam, że będziesz chciał zająć tę sypialnię przed odnowieniem, ale decyzja należy do ciebie.

- Będę dziś spał w łóżu ojca. Niech przygotowują pokoje dla moich przyjaciół oraz dla naszych lokajów, którzy przyjadą tu z bagażami przed zapadnięciem zmroku.

- Dobrze. A teraz wybac, pójdę wszystkiego dopilnować. Foster zajmie się wami pod moją nieobecność.

- Foster? Kto to?

- Lokaj. On wam otworzył drzwi.

- A, to ten - stwierdził z pełną niechęcią pogardą. - A co się stało z Jenkinsem?

- Zestarzał się i przeszedł w stan spoczynku. Mieszka w domku na skraju klifu.

- Powinienem spotkać się ze służbą, muszą poznać nowego pana. Będę zobowiązany, jeśli zbierzesz ich w holu za mniej więcej godzinę.

Skloniła głowę na znak, że spełni polecenie, i z godnością opuściła pokój, choć w głębi duszy kipiała ze złości. Nowy lord Hobart potraktował ją jak gospodynię, nie złożył jej kondolencji, nie wyraził żalu z powodu śmierci ojca, ani słowem nie podziękował za troskę o posiadłość, nie zapewnił, że może pozostać w Easterley Manor. Zresztą nawet gdyby zaoferował jej dach nad głową, nie była pewna, czy przyjęłaby jego propozycję, bo poczuła do niego głęboką awersję. Minęła Fostera, niosącego na tacy zastawę do herbaty oraz podążającą za nim pokojówkę z ciastami i słodyczami. Wbiegła na górę, by uprzedzić pannę Quinn, że ma zatrzymać dziewczynki w pokojach dzieciennych, dopóki nie zawiadomi jej, że mogą zejść na dół.

Potem wróciła na parter i poszła do kuchni, gdzie służba plotkowała o nowym panu domu. Przywołała ich do porządku i wydała dyspozycje, by jej osobiste rzeczy zostały zabrane z sypialni na pierwszym piętrze. Przeniosła się do tego pokoju, kiedy lord Hobart był już bardzo chory, chciała być blisko niego, gdyby jej potrzebował. Teraz jednak, gdy sypialnię pana domu zamierzał zająć nowy lord Hobart, nie mogła ani nie chciała pozostać w sąsiedztwie.

- Zajmę gościnną sypialnię na górze, obok pokoju dziewczynek - powiedziała pokojówkom. - W moim dawnym pokoju zamieszka jeden z gości jego lordowskiej mości, dla drugiego przygotujcie następny pokój w tym samym skrzydle. No i pokoje dla lokajów, którzy podobno są już w drodze.

- A jego lordowska mość? - zapytała Betsy, której cisnęły się na usta zjadliwe komentarze wywołane faktem, że milady została zmuszona do ustąpienia miejsca tym okropnym mężczyznom, ale nie miała odwagi wypowiedzieć ich na głos.

- Zajmie sypialnię poprzedniego lorda. Pomogę ci ją przy-



gotować. Potem cała służba ma się zebrać w holu, by powitać nowego pana.

- Wszyscy? - upewniła się kucharka.

- Tak, wszyscy. Tom, zawiadom pracowników zatrudnionych poza domem. Za... - zerknęła na stojący na kominku zegar za trzy kwadranse. Niech zostawią robotę i stawiają się w holu.

Jak na tak wielki dom służba była nieliczna, co zaskoczyło Cecila, który z kieliszkiem wina w dłoni przechadzał się przed nimi stojącymi w rzędzie.

- To wszyscy? - zapytał Charlotte.

- Tak. Lord Hobart był zbyt chory, by przyjmować gości, więc zamknęliśmy połowę domu i nie potrzebowaliśmy licznej służby.

- Życzę sobie, aby te pokoje zostały znowu otwarte. Zamierzam przyjmować. A jeśli chodzi o służbę, zobaczymy, jak ci sobie radzą, zanim zaczniemy się zastanawiać nad przyjęciem innych. - Odprawił ludzi machnięciem dłoni. - Wróćcie do pracy. Obiad o piątej. - Kiedy czmychnęli w pośpiechu, zwrócił się do Charlotte: - Na pewno widziałem już wszystkich? O ile pamiętam, masz dwie córki...

- One nie są służącymi, milordzie, i nie będą przed tobą paradować.

- Ale mieszkają tutaj? Nie wyjechały do szkoły?

- Są jeszcze za małe. Opiekuję się nimi sama, z pomocą panny Quinn, guwernantki.

- Kto płacił jej pensję?

- Lord Hobart.

- Hm... Nie wiem, czy będę to kontynuował. Twoje córki nie mają żadnych praw do majątku, prawda? Wolę zatrudnić kamerdynera z prawdziwego zdarzenia.

- Ależ to twoje bratanice, milordzie, poza nimi nie masz już żadnej rodziny.

- Zamierzam się ożenić.

- Rozumiem.

- Z pewnością - odparł z wrednym uśmiechem.

Charlotte nic na to nie powiedziała. Zakręciło jej się w głowie. Zrozumiała, że jej szwagier był bezdusznym prostakiem i jeśli w ogóle pozwoli jej tu mieszkać, to w charakterze bezpłatnej gospodyni, osoby zaledwie tolerowanej. Panna Quinn zostanie odprawiona, a jej córki poznają całkiem inne życie od tego, do którego przywykły. A co się z nimi stanie, gdy ten straszny człówek się ożeni?

- O czym tak się zadumałaś?

- Nie twoja sprawa - ucięła. - Można wiedzieć, kiedy się żenisz?

- Jak tylko znajdę odpowiednią kandydatkę. - Roześmiał się. - Kobieta, która będzie wiedziała, kto jest tutaj panem i zrobi, co jej każę. - Dostrzegł swych kompanów, którzy przeprowadzili inspekcję swoich pokojów i schodzili powoli po schodach. - Nie wspominaj o tej rozmowie moim przyjaciołom - mruknął, po czym zwrócił się do nich jowialnie: - I jak, wygodnie? Jesteście zadowoleni?

- Na razie ujdzie - stwierdził sir Roland, wodząc dokoła szacującym wzrokiem - ale można umrzeć z nudów.

- Uprzedzałem cię o tym. Zresztą w każdej chwili możesz wrócić do domu.

- Nie sądzę, byśmy mieli tak zaraz wyjeżdżać, zgadzasz się ze mną, Gus?

- Jasne, ale powinienes zapewnić nam rozrywkę, Cecil. Ściągnij tu jakieś towarzystwo.

Charlotte wyczuła, że Cecilowi nie w smak była obecność

tych ludzi. Pewnie sami się wprosili, a on nie mógł im odmówić. Nietrudno było odgadnąć dlaczego. Ciekawe, czy znali postanowienia testamentu lorda Hobarta? Jeśli nie, to czekał ich prawdziwy wstrząs.

- Wszystko w swoim czasie, panowie - powiedział lord. - Tymczasem oprowadzę was po domu. Z pewnością zobaczycie wiele interesujących rzeczy. - Po czym zwrócił się do Charlotte: - Oczekuję, że zasiądziesz z nami do obiadu. Przyrowadź też swoje córki.

- Nie przywykły jadać z gośćmi, milordzie.

- Nie jestem tu gościem. Sama mi przypomniałaś, że to moje bratanice. Chcę je poznać.

- W takim razie poproszę pannę Quinn, by sprowadziła je na dół, gdy podadzą pudding.

Ruszyła w stronę schodów, mijając po drodze obu dżentelmenów. Czuła, że odprowadzają ją wzrokiem, więc dumnie podniosła głowę, choć serce ciążyło jej w piersiach jak kamień. Domu, w którym mieszkała przez ostatnich dwanaście lat, nie mogła już uważać za własny; nie była w nim mile widziana. Weszła na drugie piętro, do pokoju szkolnego, w którym jej córki uczyły się pod okiem panny Quinn.

- Co się stało, mamó? - zapytała Lizzie. - Kim są ci panowie? Charlotte pytająco spojrzała na pannę Quinn.

- Usłyszały stukanie kołatki, milady - wyjaśniła guvernantka. - Ktoś walił tak głośno, że mógłby umarłego obudzić. Dziewczynki wyjrzały przez poręcz schodów i widziały, kto wszedł do domu.

- Jeden z tych panów to wasz wuj Cecil - poinformowała Charlotte. - Pozostali są jego gośćmi.

- Nowy lord Hobart? - dociekała Lizzie.

-Tak.

- Wiedziałam, że go nie polubię - wtrąciła Fanny. - I nie polubiłam. Chciałabym, żeby stąd pojechali.

- To mało prawdopodobne - wyjaśniła Charlotte. - Musimy ułożyć sobie z waszym wujkiem jak najlepsze stosunki. Kto wie, może okaże się czarujący? - Nie wierzyła w to, nie chciała jednak, by jej uprzedzenie miało wpływ na córki. - Nalegał, żebyście zjadły z nami pudding. Proszę, zachowujcie się grzecznie. Fanny, nie okazuj wujowi swojej niechęci i odzywaj się tylko wtedy, gdy będziesz o coś pyтана.

- To wysoce niestosowne, milady - prychnęła panna Quinn. - Ci mężczyźni...

- Wiem, Quinny, ale pamiętaj, że ja również tam będę i dopilnuję, by dziewczynki zostały najwyżej parę minut. Przyprowadź je, kiedy po nie poślę, ale zostań w pobliżu, by zaraz zabrać je z powrotem na górę.

- To mi się nie podoba, milady. Podobnie jak Fanny, nie lubię tych panów. Już sam lord Hobart jest okropny, ale tych dwóch fireyków... Oni mnie przerażają. Widziałam, jak zagłądali do wszystkich pokoiów, jak się śmiali i wygłaszali komentarze, że jest tu parę niezłych sztuk. Słyszałam, jak ten chudy powiedział: „Nieźle się tu obłowimy, Gus, bez wątpienia”. I obaj ryknęli śmiechem. Jak długo mają tu zostać?

- Nie wiem - odparła Charlotte z westchnieniem. Była zbyt strapiona, by skarcić guwernantkę za wygłaszanie własnych opinii.

- Gdyby te kochane dzieciaczki mnie nie potrzebowały, odeszłabym jeszcze dzisiaj... - Urwała raptownie, bo spostrzegła, że Lizzie patrzy na nią z przerażeniem, a Fanny zaczyna szlochać. - Kochane moje! - Przygarnęła dziewczynki. - Och, nigdy was nie opuszczę, przenigdy.

Obiad był koszmarny. Charlotte próbowała prowadzić normalną, uprzejmą konwersację, okazało się to jednak niemożliwe. Wszystko, co mówiła, Spike i Bentwater złośliwie przekręcali i zadawali tak impertynenckie pytania, że musiała odmawiać odpowiedzi, na co Cecil wybuchał śmiechem, choć był to śmiech dość ponury. Chcieli wiedzieć, od jak dawna Hobartowie zajmują Easterley Manor i czy Charlotte zna wartość wszystkich znajdujących się we dworze przedmiotów. Długo rechotali, kiedy powiedziała, że przedstawienie inwentarza ruchomości należy do plenipotenty jego lordowskiej mości.

- Oczekuję go jutro - oświadczył Cecil. - Potem zobaczymy.

Najgorsze nastąpiło, gdy uparł się, by posłała po dziewczynki.

- Chcę je poznać - oznajmił. - W końcu należą do masy spadkowej, prawda?

- Mylisz się, milordzie - powiedziała Charlotte i niechętnie dała Fosterowi znak, by panna Quinn przyprowadziła dziewczynki. - To ja jestem za nie odpowiedzialna.

- A jeszcze dziś rano przypominałaś mi, że mam wobec nich zobowiązania.

- Nie chodziło mi o włączenie ich do inwentarza.

- Chcesz powiedzieć, że nie mam obowiązku łożyć na ich utrzymanie? Bardzo mnie to cieszy. Wyżywienie, ubranie, pensja tej panny... Jak jej tam?

- Panna Quinn.

- Panna Quinn. Od tej chwili to ty jej płacisz.

Charlotte nie zaprotestowała. Nie chciała go o nic prosić, choć nie miała pojęcia, jak sobie poradzi. W tym momencie panna Quinn wprowadziła do pokoju swe podopieczne. Wyglądały ślicznie w białych muślinowych sukienkach, a ich wy-

szczotkowane włosy lśniły. Lizzie miała błękitną szarfę przy sukience i taką samą kokardę we włosach, a Fanny różową. Quinn popchnęła je leciutko i obie dziewczynki wykonały idealne ukłony.

- Bardzo ładniutkie - zaśmiał się Augustus, przyglądając się im badawczo. - Nie sądzisz, Roly, że są ładne?

- Tak, niewątpliwie. Cecil, stary, powinieneś chyba okazać trochę więcej szczodrości względem dzieci zmarłego brata. Włącz je jednak do inwentarza.

Cecil roześmiał się sztucznie.

- Chodźcie tu, dziewczynki. Chcę was lepiej poznać i dokładniej się wam przyjrzeć. No, nie bójcie się. Nie zrobię wam nic złego. Jestem waszym wujkiem Cecilem, wróciłem z zagranicy, żeby się wami zaopiekować.

Dziewczynki podeszły do matki, nie chciały się do niego zbliżyć.

- Są onieśmielone - tłumaczyła Charlotte. - Nie przywykły do obcych.

- Nie jestem żadnym obcym! - wrzasnął Cecil i rąbnął pięścią w stół z taką siłą, że nakrycia zabrzęczały. - Jestem panem tego dworu, dziedzicem Parson s End. Wróciłem z zagranicy do własnego domu. Do własnego domu, słyszcicie?!

- Nie krzycz, milordzie. Przestraszyłeś je.

Ściszył nieco głos, za to zabrzmiała w nim niekłamana groźba:

- Zapamiętaj sobie, żeby nigdy więcej nie traktować mnie jak nieproszonego gościa, który powinien jak najszybciej opuścić ten dom. To ty tu jesteś gościem! Ty, twoje córki i ta... - Skinął na stojącą w progu pannę Quinn, potem zwrócił się do dzieci: - Chciałybyście usiąść z nami przy stole i zjeść kawałek szarlotki?

Gdy dziewczynki, zbyt przerażone, by się odezwać, przecząco pokręciły głowami, Cecil przywołał pannę Quinn ruchem ręki.

- Proszę je stąd zabrać. Wcale nie są tak zabawne, jak mi się początkowo wydawało.

Quinn zniknęła wraz ze swymi podopiecznymi, a w chwilę później Charlotte przeprosiła i wstała od stołu, by panowie mogli raczyć się portem i cygarami we własnym towarzystwie. Poszła do swojego pokoju, usiadła przy oknie i zapatrzyła się przed siebie niewidzącym wzrokiem. Czuła zawroty głowy. Zastanawiała się, czy zdoła wytrzymać ze szwagrem pod jednym dachem, oczywiście zakładając, że nie wyrzuci jej z domu. Był prostakiem, do tego człowiekiem samolubnym i bezlitosnym. Nie podobało jej się również zachowanie jego kompanów, którzy gapili się na nią bezwstydnie, niemal rozbierali ją wzrokiem, a już spojrzenie, jakim obrzucili Lizzie i Fanny, przejęło ją zgrozą. Należało bardzo na nich uważać, a gdyby ich wizyta przeciągała się, wyprowadzić się z domu. I poszukać sobie zajęcia.

Tak bardzo brakowało jej Grenville'a. Szczerze go kochała i długo nosiła po nim żalobę, a ponieważ pod dachem jego ojca żyło jej się spokojnie i bezpiecznie, czuła się kochana i otoczona opieką, więc nigdy nawet nie pomyślała o ponownym zamążpójściu.

- Jestem zadowolona z tego, co mam - mówiła do Quinny. Teraz jednak wszystko się zmieniło. Nie czuła się ani bezpieczna, ani kochana. Doznała nagle przytłaczającego poczucia samotności i lęku. Powtarzała sobie, że to bez sensu, że nie ma się czego obawiać. Pytała się jednak w duchu, jak długo ośmieli się pozostawać pod dachem szwagra? Czy zdoła znaleźć pracę, która nie tylko zapewni jej źródło utrzymania, ale i schronienie dla niej i jej dzieci?

Usiadła przy sekretarzyku i wyjęła mały, aksamitny woreczek. Miała w nim kilka gwinei - za mało, by zapewnić utrzymanie czterem osobom na więcej niż jeden czy dwa dni. Czterem, bo musiała przecież liczyć również pannę Quinn. I bez wątplenia za mało, by zapłacić za przejazd dyliżansem i przynajmniej dwa noclegi w drodze do jej ciotecznego dziadka. Mogła napisać do niego z prośbą o pokrycie kosztów podróży, ale głupia duma nie pozwalała jej się do niego zwrócić. Zresztą gdyby oświadczył, że nie chce mieć z nią nic wspólnego, nie zniosłaby takiego upokorzenia.

Poza tym to tutaj był jej dom, w Parsons End. Pokochała urwiste klify i kapryśne morze, jednego dnia spokojne jak staw, a następnego ze wściekłym rykiem atakujące brzegi. Pokochała sosnowe lasy z dywanami igliwia, które przy każdym kroku chrzęściło pod stopami. I polubiła okolicznych farmerów i rybaków, pracowitych, upartych i odważnych. Ich dzieci nadały jej życiu sens, z radością obserwowała, jak rosły, jak zdobywana dzięki niej wiedza czyniła z nich ludzi światlejszych, marzących o lepszym życiu. Nie chciała przerywać tej działalności, a nastąpiłoby to niechybnie, gdyby straciła środki do życia.

Przypomniał jej się nieznajomy spotkany na klifie. Wziął ją za nauczycielkę, a przecież w przyszłości mogło okazać się to prawdą. Gdyby udało jej się zorganizować szkołę dla panienek z zamożnych rodzin, to i wiejskie dzieci nie zostałyby pozabawione nauki, bo bogaci subsydiowaliby biednych. Ale czy miała odpowiednie kwalifikacje, by przyciągnąć tych bogatych? Brakowało jej wykształconych nauczycielek, odpowiedniego budynku i koneksji. Zważyła w dłoni monety i zaśmiała się z własnej głupoty.

Weszła na górę, by życzyć dziewczynkom dobrej nocy,



i cicho poleciała pannie Quinn, żeby dobrze zamknęła na noc drzwi. Nie musiała tego mówić, bo biedna guwernantka już i tak obawiała się o swoje życie.

- Jutro zastanowimy się nad planami na przyszłość - obiecała Charlotte i poszła do swojego pokoju, w którym również zamknęła się na klucz.

Słyszała dochodzące z dołu pijackie śmiechy, okrzyki, by podano wino i karty do gry, co świadczyło, że Cecil nadal był nałogowym hazardzistą. Długo nie mogła zasnąć. Nad ranem, zataczając się na schodach, trzech dżentelmeni poszli do swych pokoi i wreszcie zapadła cisza. Lord i jego goście z pewnością długo będą odsypiać nocną hulankę.

Wymknęła się z domu bocznymi drzwiami i wraz z dziećmi poszła do wioski. Wychodząc zza węgła, dostrzegła powóz, który zatrzymał się przed frontowym wejściem. Poznała ekipa paż doradcy prawnego rodziny, Johna Hardacre'a, ale nie zawróciła, by go wpuścić. Foster powiadomi skacowanego Cécila o jego przyjeździe.

Przebiegła dziedziniec przed stajniami, by dojść do ogrodu na tyłach domu, a stamtąd do bocznej furtki w okalającym majątek murze, za którym biegła droga do wsi. Z wilgotnych żywopłotów rosa kapała na rozkwitłe pierwiosnki, a drzewa po drugiej stronie łąki, które zaczynały wypuszczać już listki, kołysały się lekko na wietrze. To powinien być czas radości, czas narodzin nowego życia, ale tym razem nawet pierwsze oznaki wiosny nie były w stanie podnieść jej na duchu. Zbyt wiele miała na głowie.

- Milady - powitał ją wielbny Fuller. - Nie spodziewałem się pani tak wcześnie. Zazwyczaj przychodzi pani w południe.

- To prawda, ale muszę z panem porozmawiać, pastorze.

- Więc chodźmy do kościoła, właśnie tam zmierzam.

Posłała dzieci do klasy w wiejskiej szkółce, a sama weszła z pastorem do kościoła.

- Nie wiem, od czego zacząć, wielebny - powiedziała, gdy usiedli na ławce. - W moim życiu nastąpił dramatyczny zwrot...

- Słyszałem, że zjawił się nowy lord Hobart.

- Boże, jak szybko rozchodzą się nowiny! Tak, przybył wczoraj rano i nie zamierza postępować jak jego ojciec, a to oznacza...

- Że nie może już pani uczyć, tak? Wszyscy będziemy tego bardzo żałować.

- Nie, wielebny. To oznacza, że będę musiała uczyć. I pobierać za to pieniądze.

- Zdaje sobie pani sprawę, że wiejskie dzieci nie będą mogły zapłacić.

- Dlatego muszę znaleźć uczniów, którzy zapłacą. I lokal. Wiejskie dzieci zostaną również objęte nauką, ale nieco później, kiedy już puszczę wszystko w ruch... - Zamilkła, przytłoczona stojącym przed nią zadaniem.

- Rozumiem - stwierdził ciepło.

- Nie słyszał pan, pastorze, o jakimś dużym domu do wynajęcia...?

- Na szkołę?

- Tak, ale z częścią mieszkalną dla mnie, moich dzieci i guwernantki.

- Chyba nie została pani wyproszona z Easterley Manor?

- Nie, ale nie mogę tam zostać. Lord Hobart jest kawalerem. To byłoby niestosowne.

- To prawda. A dziadek, o którym pani wspominała? Może on zaferowałby pani dom?

- Nie wiem. Nigdy go nie poznałam, więc skąd mogę wiedzieć, jak by zaregował, gdybym mu nagle wyskoczyła niczym diabeł z pudełka? Zresztą Kocham Parson's End, moje dzieci także, bo tutaj się przecież urodziły. Nie chcę stąd wyjeżdżać.

- W takim razie, milady, rzeczywiście ma pani dylemat.  
- Nagle uśmiechnął się i poklepał jej dłoń. - Może pani zamieszkać na plebanii do czasu znalezienia odpowiedniego domu. Moja żona z pewnością nie będzie miała obiekcji. A jeśli chodzi o budynek na szkołę, to trzeba się porządnie rozejrzeć, bo nie chciałbym, by wyprowadziła się pani gdzieś daleko. Inni na pewno podzielą moje uczucia.

- Dziękuję - szepnęła cicho.

Wstał, a Charlotte uklękła, by ją pobłogosławił. Gdy opuszczali kościół, usłyszała gwar dzieci, gromadzących się na południowe lekcje.

- Poprowadzi pani dzisiaj zajęcia? - zapytał.

- Tak, oczywiście.

- Więc ja w tym czasie pójdę do dworu złożyć uszanowanie nowemu lordowi.

Charlotte uśmiechnęła się z przymusem, zastanawiając się, jakie go czeka przyjęcie.

Dzieciaki ganiały się z hałasem po klasie, ale kiedy weszła, ucichły.

- Wróćcie na swoje miejsca - poprosiła. - Wyjmijcie tabliczki. Lizzie, pomóż Joshowi w dodawaniu, a Fanny zaopiekuje się najmłodszymi. Posłucham, jak czytacie. Po kolei.

Praca z dziećmi nieco ją uspokoiła, choć nie uwolniła od podstawowej troski. Nie mogła skorzystać ze wspaniałomyślnej propozycji pastora i zamieszkać z dziećmi na plebanii. To nie byłoby w porządku wobec jego podstarzałej żony. Char-

lotte nie miała wątpliwości, że potrafiłaby poprowadzić szkołę, pozostawał jednak problem znalezienia na nią środków i zdobycia uczennic. Pieniądze mogła pożyczyć na poczet przyszłych dochodów. Jeśli po powrocie do dworu zostanie jeszcze pana Hardacre'a, spróbuje wy badać go w tej materii.

- Psze pani. - Ktoś pociągnął ją za spódnicę. Spojrzała na wyraźnie zaniepokojonego Danny'ego White'a. - Meg chce wracać do domu. Brzuch ją boli.

Przeniosła wzrok na maleńką siostrzyczkę chłopca, która dopiero raczkowała. Była niewątpliwie za mała, by chodzić do szkoły, ale bez niej nie mógłby przychodzić Danny, a to bystry chłopiec, zasługujący na naukę. Wkrótce będzie mógł dołączyć do nielicznej grupy bardziej zaawansowanych dzieci, które uczył pastor. Meg trzymała się za brzuch i płakała. Charlotte wzięła dziewczynkę na ręce, by ją uspokoić. Miała rozpalone czoło. Co robić? Nie mogła odesłać chorego dziecka samego do domu, nawet ze starszym bratem, ale nie mogła również zostawić dzieci w klasie bez opieki, szczególnie pod nieobecność pastora. Nie pozostało jej nic innego, jak zabrać ze sobą całą grupę.

- Koniec lekcji, moi drodzy. Wszyscy odprowadzimy Meg do domu, dobrze?

Po chwili ruszyli w drogę. Na przodzie szła Charlotte z Meg w ramionach, obok niej kroczył Danny, potem Fanny i Lizzie, a następnie pozostałe dzieci ustawione porządnie parami. Napotkane po drodze wiejskie kobiety witały ich uśmiechami. Doskonale wiedziały, jak wiele dobrego robiła Charlotte nie tylko dla ich dzieci, ale również dla starców i chorych. Nie dość, że przynosiła im jedzenie i ubranie, ale nade wszystko koła rozpacz i ból.

- Dzień dobry, milady - wołały.

Charlotte odpowiadała z uśmiechem, a za nią sznur rozśpiewanych uczniów.

Dzieci zaczęły na ulicy, gdy Charlotte weszła do doktora Cartwrighta z prośbą, by zbadał Meg. Miała pełną świadomość, że rachunek za usługę zostanie przysłany do niej, bo rodzice dziewczynki nie mieli pieniędzy, by zapłacić lekarzowi. Doktor obmacał brzusek małej.

- Co jadłaś? - zapytał.

- Nic.

- Nieprawda. Zjadłaś coś, czego nie powinnaś, prawda?

- To były ziarna - odpowiedział za siostrę Danny. Charlotte nie zauważyła, że wsunął się za nimi do gabinetu. - Mówiłem jej, że nie wolno.

- Ziarna? Jakie ziarna?

- Z worka w stodole farmera Browna.

- Czyli nasiona - powiedział doktor. - To ziarno nie było przeznaczone do jedzenia. Miało być zasiane w ziemi. Chyba jesteś dość duży, by o tym wiedzieć, Danny?

- Oczywiście. To nie moja wina. Połknęła całą garść, zanim zobaczyłem, co zamierza zrobić.

- Zdaje się, że miałaś się nią opiekować? - zapytał poirytowany lekarz.

Danny był na granicy łez.

- Proszę go nie obwiniać, doktorze - poprosiła Charlotte.

- Nikt nie jest w stanie przez cały dzień nie spuszczać dziecka z oka, a Danny sam jest jeszcze dzieckiem. Czy to coś poważnego?

- Nie, nic jej nie będzie. Dam jej lekarstwo, po którym poczuje się lepiej. Jutro będzie zdrowa jak ryba.

Charlotte z ulgą przyglądała się, jak lekarz zatkał Meg nos, a kiedy otworzyła usta, wlał jej do gardła jakąś miksturę o pa-

skudnym smaku. Potem cała grupa udała się w idealnym porządku do chaty, w której mieszkali Meg i Danny. Była to właściwie nędzna szopa, we dworze świnie miały lepsze warunki. I pachniało w chlewiku trochę lepiej niż tutaj, ale Charlotte udawała, że tego nie zauważa, tłumacząc pani White, dlaczego przyprowadziła jej dzieci.

- Przepraszam panią za kłopot - powiedziała strapiiona matka, biorąc córkę w ramiona, a potem zwróciła się do Danny'ego: - Widzisz, co narobiłeś, ty draniu?! Te cholerne książki tak ci namieszały w głowie, że zapominasz o obowiązkach. Już ojciec przetrzepie ci portki, jak tylko wróci do chaty.

Charlotte musiała wystąpić w roli mediatora, bo bała się, że Danny mógłby nie przyjść jutro do szkoły. Uspokoiła trochę rozsierdzoną rodzicielkę i wróciła do grzecznie czekającej na nią gromadki. Wtedy właśnie ponownie zobaczyła nieznanego z klifu. Stał przed kuźnią i obserwował ją z rozważeniem, które tak ją wytrąciło z równowagi przed dwoma dniami.



## Rozdział trzeci

Stacey podszedł do niej niedbałym krokiem i uchylił kapelusza.

- Znowu się spotykamy, madame.

Kiedy kowal zawiadomił, że robota przy jego koniu potrwa trochę dłużej, Stacey uradował się w duchu, miał bowiem nadzieję, że znowu spotka piękną nauczycielkę. Dla zabicia czasu zawędrował nawet do Easterley Manor, ale nie skręcił w drogę dojazdową do dworu. Obszedł spacerem otaczającą posiadłość mur i wszedł na ścieżkę prowadzącą na klif, gdzie poprzedniego dnia spotkał kobietę w czerni. Niestety na plaży byli tylko jacyś mężczyźni, którzy spacerowali brzegiem wody. Wrócił więc do wsi, żeby sprawdzić, czy jego koń jest już gotów. I oto niespodziewanie natknął się na nią. Znowu otaczała ją gromadka rozśpiewanych urwisów. Przypomniała mu się niemiecka bajka o szczurołapie, który, grając na flecie, wyprowadził ze wsi wszystkie dzieci, by zemścić się na rodzicach za to, że nie zapłacili mu za wyplenienie szcurów. Uśmiechnął się na tę myśl.

Charlotte nie wiedziała, dlaczego tak się uśmiechał. Jej twarz zalał rumieniec, a dzieci zaczęły chichotać za jej plecami.

- Dzień dobry, sir. - Szczelniej otuliła się płaszczem, jakby chciała się nim osłonić. Ten gest zwiększył tylko rozbawienie Stacey. - Jestem zdumiona, że jeszcze tu pana widzę. Parson s End nie ma gościom zbyt wiele do zaoferowania.

- Wręcz przeciwnie, uważam swój pobyt za nadzwyczaj udany. - Jego oczy zabłyśły, gdy objął spojrzeniem jej zarumienioną twarz i zamglone, niebieskozielone oczy. Nie była siedemnastoletnią debiutantką, lecz dojrzałą kobietą z dwójkiem dzieci, a jednak zmieszała się okropnie. - Widzę, że nadal prowadzi pani lekcje na dworze.

- Musiałam zanieść do domu jedno z dzieci, które źle się poczuło, a nie mogłam pozostawić reszty bez opieki. - Uśmiechnęła się do niego, by udowodnić, że panuje nad sytuacją. - Gdyby zostały same, mogłyby się nawet pobić, a już na pewno narobiłyby strasznego bałaganu.

- A więc to łobuziaki. A już myślałem, że zostali przez panią tak dobrze wychowani, iż zachowują się odpowiednio niezależnie od tego, czy jest pani przy nich, czy też nie.

- Znowu mnie pan przecenia, sir, a nie zostaliśmy sobie nawet przedstawieni.

- O, widzę, że jednak niezbyt szczerze odżegnywała się pani od reguł obowiązujących w wielkim świecie. Nie wolno rozmawiać z mężczyzną, który nie został pani formalnie przedstawiony. Gdyby ktoś trzeci dokonał prezencji, mógłbym się z panią droczyć do woli i uznałaby to pani za możliwe do zaakceptowania, prawda?

- Niech pan sobie sam odpowie na to pytanie.

- Wnoszę z pani słów, że przydałaby mi się lekcja dobrych manier.

- Skoro tak pan sądzi. - Miała serdecznie dosyć zrozumianych mężczyzn, którzy są przekonani, że mogą ją traktować



z lekceważeniem. Zaczęło się od Cecila Hobarta i jego kolegów, a teraz to samo robi ten wyniosły dżentelmen, którego nazwiska nie znała. Może był jednym z nich, co tłumaczyłoby jego obecność w wiosce. Tak, mógł stanowić forpocztę towarzystwa, którego wezwanie pan Augustus Spike proponował Cecilowi. - Jeśli pan tak miły, proszę się odsunąć i pozwolić nam przejść.

- Z powrotem do szkoły?

- To nie pańska sprawa. - Minęła go, prowadząc za sobą dzieci.

Przez chwilę stał, odprowadzając ich wzrokiem, potem nagle rzucił się w pogoń.

- To mnie interesuje - powiedział, kiedy zrównał się z Charlotte. - Mam poważny problem związany z edukacją.

- W takim razie, panie jak-mu-tam, proszę się skonsultować w tej sprawie z kimś, kto mógłby pana oświecić.

- Chcę, by pani to zrobiła.

- Proszę mnie zostawić w spokoju - syknęła. Dzieci chłoneły każde jej słowo, a Lizzie i Fanny przede wszystkim. - Nie mam panu nic do powiedzenia. Życzę miłego dnia, sir. Proponuję, by opuścił pan Parson s End i poszukał rozrywek w mieście. Na pewno znajdzie pan tam takich, którym spodoba się pańska gra, bo mnie się ona nie podoba.

Siła i kryjąca się w jej słowach niechęć uderzyły go tak mocno, że stanął na środku drogi i pozwolił jej odejść. Co jej takiego zrobił, na litość boską? Wzięła go za bandziora? Owszem, nie odnosił się do niej zbyt uprzejmie, stroił sobie z niej żarty i odmówił podania nazwiska, ale przecież nie chciał jej obrazić. Naprawdę interesowała go edukacja i choć wiedział, że jej szkoła nie byłaby odpowiednia dla Julii, chciał zasięgnąć opinii dotyczącej kształcenia młodych dziewcząt i za-

pytać o dobrą szkołę, która uczy nie tylko przedmiotów, ale i dobrych manier, potrafi wykorzenić złe nawyki, a w dodatku z życzliwością odnosi się do uczennic. Najwyraźniej niewłaściwie się do tego zabrał.

Dlaczego nie przedstawił się jej jak należy? Ta kobieta raczej nie należała do ludzi, których przytłoczyłyby jego pozycja i tytuł. Niezależnie od sytuacji, w jakiej się teraz znajdowała, niewątpliwie była osobą dobrze urodzoną, może nawet z arystokratycznej rodziny, skoro przywiązywała taką wagę do form towarzyskich. Czy już za późno, by naprawić swój błąd? A właściwie dlaczego tak mu na tym zależało? Mógł przecież te same pytania postawić komuś innemu, zgodnie zresztą z jej sugestią. Dlaczego więc miał poczucie, że nie powinien pozwolić jej odejść?

Prowadzony przez Charlotte wąż zniknął mu powoli z oczu, a on, zamiast wrócić do kowala, ruszył za dziećmi. Trzymał się jednak w takiej odległości, by nie być widzianym. Wymyślał sobie w duchu od głupców, ale podążał za nimi.

Zatrzymywali się kolejno przy kilku chatach, a wówczas Stacey krył się między drzewami. Obserwował, jak po kolei odprowadzała wszystkie dzieci do domów, wreszcie została tylko ze swymi córkami. Przyspieszyła kroku i wkrótce skręciła w bramę Easterley Manor. Nie wszedł za nią na teren posiadłości. Stał w zamyśleniu i uderzał się po cholewach szpicrutą, wreszcie odwrócił się na pięcie i wrócił do wsi.

Na zakręcie alei dojazdowej Charlotte minął powóz pana Hardacre'a, który opuszczał dwór. Straciła szansę porozmawiania z prawnikiem, a wszystko przez tego wyniosłego nieznanego, który ją zatrzymał. Zeszła na pobocze i pomachała ręką do adwokata. Miał wyjątkowo ponurą minę. Naj-

wyraźniej spotkanie z lordem Hobartem niezbyt się udało. Już miała ruszyć dalej, gdy pojazd zatrzymał się. Zawróciła więc, a pan Hardacre wychylił się z okna i uniósł kapelusz, odstawiając grzywę siwych włosów.

- Miłego dnia, lady Hobart. Panna Elizabeth! Panna Frances! Ależ panienki urosły!

Dziewczynki grzecznie dygnęły i cierpliwie czekały na poboczu, natomiast Charlotte podszła do powozu.

- Panie Hardacre, cieszę się, że pan zatrzymał powóz. Chcę prosić pana o radę.

- Zrobię dla pani wszystko, co w mojej mocy. Mam zawrócić do dworu?

Zauważyła, że bardzo nie miał na to ochoty.

- Nie, wołałabym, aby jego lordowska mość nie dowiedział się o tej konsultacji.

- Tak, ale zdaje sobie pani sprawę, że lord Hobart jest moim klientem i nie mogę działać przeciw jego interesom.

- To nie ma nic wspólnego z lordem Hobartem, poza tym, że jego przyjazd postawił przede mną pewien problem. - Ostrożnie formułowała zdania, niepewna, ile pan Hardacre wiedział i czego mógł się domyślać, choć miała do niego pełne zaufanie. Od wielu dziesięcioleci służył Hobartom mądrą i uczciwą radą, podobnie jak wcześniej jego ojciec. - Niestety nie mogę przyjechać do Londynu, by zasięgnąć pańskiej opinii.

- Rozumiem. W takim razie zatrzymam się na noc w zajędzie Pod Psem i Lisem i wrócę do Londynu jutro.

- Wołałabym, żeby nie przyjeżdżał pan tutaj. Czy moglibyśmy spotkać się w kościele? To miejsce publiczne, ale w środku tygodnia powinno być tam całkiem pusto.

- Dobrze. Odpowiada pani dziesiąta?

- Jak najbardziej.

Pożegnali się, a po chwili Charlotte wprowadziła dziewczynki do domu bocznym wejściem. Nie chciała wchodzić od frontu, by nie zwracać niczyjej uwagi na swój powrót, ale ta ostrożność nie na wiele się zdała, bo Cecil zauważył ją, gdy zmierzała korytarzem ku bocznym schodom. Dochodziła trzecia po południu, a on nadal miał na sobie poplamiony szlafrok.

- Co ty knujesz, milady? - zapytał. - Dlaczego skradasz się po domu jak złodziej w środku nocy?

- Nie skradam się, a noc dawno już minęła. - Dumnie uniosła głowę. - Jest już popołudnie i właśnie wracam do swojego pokoju po zakończeniu zajęć we wsi. - Popchnęła lekko dziewczynki. - Idźcie na górę i poszukajcie panny Quinn.

Odprowadził je wzrokiem, po czym ponownie zwrócił się do Charlotte. Blizna na policzku stała się wyraźniejsza, w oczach lorda czaiła się podejrzliwość.

- Zajęcia we wsi - powtórzył. - Ciekawe, co to za zajęcia?

- Uczę kilkoro wiejskich dzieci na plebanii. Odwiedzam również chorych i zanoszę im trochę żywności.

- Z mojej spiżarni?

- Tak, ale twoja matka za życia robiła to samo.

- Owszem, była dobrą kobietą, ale jestem pewien, że nie uczyła wieśniaków.

- Może i nie, ale mnie edukacja bardzo leży na sercu. Powinno się pomóc ludziom mniej uprzywilejowanym przez los.

- Ach, więc uważasz się za uprzywilejowaną. To dobrze. Człowiek powinien odczuwać wdzięczność za dobroczynność.

Zdawała sobie sprawę, że chciał ją sprowokować do jakiejś nieprzemysłanej reakcji, więc zachowała milczenie. Najchętniej zostawiłaby go tutaj i poszła swoją drogą, ale korytarz był

tak wąski, że musiałaby się otrzeć o Cecila w przejściu, a na to nie miała najmniejszej ochoty.

- Nie masz nic do powiedzenia? - zapytał.

- A co chciałbyś ode mnie usłyszeć?

- Że zgadzasz się, iż jesteś tutaj tylko i wyłącznie dlatego, że ja, w swej bezmiernej wspaniałomyślności, pozwoliłem ci tu zostać i że odczuwasz stosowną wdzięczność.

- Odczuwam stosowną wdzięczność - powiedziała celowo dwuznacznie, choć nie miała pewności, czy zdołał to wychwytać, bo nie odznaczał się najwyższą inteligencją. Jakim cudem zmarły lord Hobart mógł spłodzić tak całkowicie niepodobnych do siebie synów jak Grenville i ten prostak? Pierwszy z nich był człowiekiem mądrym, honorowym i uprzejmym, natomiast Cecil stanowił jego przeciwieństwo.

- Moja wspaniałomyślność ma jednak swoją cenę - oświadczył.

- Tak sądziłam.

- Do czasu mojego małżeństwa będziesz pełniła rolę gospodyni i utrzymywała służbę w ryzach. W życiu nie widziałem takiej żalosnej zbieraniny. Kto im pozwolił odpowiadać panu, kto im pozwolił wyrażać własne opinie? Wyrzuciłbym zaraz ich wszystkich, gdyby nie to, że spodziewam się gości i nie zdążę nająć nowej służby.

- Gości?

- Tak, zamierzam prowadzić dom otwarty. Rozpocznij już przygotowania. Uporządkuj zamknięte pokoje, kup porządne jedzenie i uzupełnij zapasy w piwniczce.

Przez myśl przemknął jej nagle spotkany we wsi mężczyzna, ale szybko wróciła do rzeczywistości i skupiła się na poleceniach Cecila.

- Dobrze, ale będę potrzebowała na to pieniędzy.

- Pieniądzy? - Cofnął się, udając szok. - Mówisz o pieniąd-  
dach? Nie wiesz, że w towarzystwie nie wspomina się o nich?

Charlotte powstrzymała cisnącą się jej na usta ripostę, że  
jego raczej trudno zaliczyć do towarzystwa.

- Przecież będziemy musieli zapłacić za żywność i wino,  
nie mówiąc już o węglu, świecach i praczkach. Przy gościach  
jest zawsze mnóstwo prania.

- Czyżby mój ojciec nie miał otwartego kredytu?

- Pewnie mógłby mieć, ale zawsze stawiał sobie za punkt  
honoru regulować w porę wszystkie należności.

- Skoro tak, moja droga bratowo, to był kompletnym  
frajerem. Dopóki nie obalę tego niedorzecznego testamen-  
tu, będziesz zaciągać kredyt. Jeśli mój rodzic był rzeczywi-  
ście tak skrupulatny, jak mówisz, to nie powinno być z tym  
problemu.

- Pan Hardacre w pewnością...

- Och, zapomniałem, że masz swój udział w tym kuriozal-  
nym legacie.

- Nie znam dokładnie postanowień testamentu, milor-  
dzie - zapewniła pośpiesznie - ale nie mogę uwierzyć, że lord  
Hobart zostawił cię całkiem bez środków do życia.

- Spodziewał się, że dorobię się w Indii.

- A nie dorobiłeś się?

- Oczywiście, że nie. Na pewno nie na tyle, by wieść życie  
dżentelmena.

- W takim razie powinienes odłożyć prowadzenie domu  
otwartego do czasu, gdy wdrożysz się w prowadzenie Easter-  
ley Manor i zaczniesz czerpać dochody z ziemi.

- Chcesz mi dyktować, co mam robić? Nic dziwnego, że  
służba ośmiela się kwestionować polecenia, skoro pani domu  
daje im taki przykład. Pamiętaj jednak, że już przestałaś być

panią tego domu. - Roześmiał się paskudnie. - A może chciałabyś wziąć na siebie tę rolę?

Wyciągnął rękę, by dotknąć jej policzka, ale Charlotte gwałtownie się odsunęła.

- Nie, nie chciałabym. - Głęboko wciągnęła powietrze i przepchnęła się obok niego, by wejść do kuchni i sprawdzić, jak są realizowane polecenia lorda. Praca posuwała się do przodu, ale bez zwykłej wesołości i gorliwości. Zobaczyła chmurne twarze, usłyszała gniewne pomruki. Widać, że w służbę wkradła się niezgoda. W takim nastroju trudno sumiennie wykonywać zadania, więc próbowała nadać głosowi wesołe brzmienie, wydając nowe polecenia.

- Jak mamy to wszystko wykonać? - burknęła Betsy. Była pulchną, rudą kobietą w średnim wieku, i najbardziej ze wszystkich bezpośrednią. Charlotte domyśliła się, że to właśnie ona posprzeczała się z Cecilem. - Zatrudnimy więcej służby?

- Zapytam jego lordowską mość - obiecała Charlotte.

- Już on jest wystarczająco okropny, ale ci jego kompani... Tfu! - Kucharka rzuciła na stół kawał ciasta i rąbnęła weń pięścią z całej siły. Niewątpliwie ten bochenek chleba będzie dobrze wyrobiony! - W środku nocy zażądali jedzenia! Może spodziewali się, że pojawi się jak za machnięciem czarodziejskiej różdżki! Musiałam wstać z wygrzanego łóżka, prosię pani, a ledwie znowu zdążyłam usnąć, już Betsy przyleciała mnie budzić, żeby szykować śniadanie.

- Przykro mi, pani Evans. Poproszę panów, by byli nieco oględniejsi w żądaniach. Może zgodziliby się, by przed północą spać zostawiała im pani na tacy zimną kolację. - Przyjrzała się im wszystkim. Niektórzy robili wrażenie smutnych, inni zamkniętych w sobie, młodsze pokojówki popłakiwały. -

Wiem, że trudno przywyknąć do nowego pana, ale musimy dołożyć starań, by wszystko poszło gładko.

- Nie mamy pretensji do pani, milady - oznajmiła Betsy. - Wiemy, że pani jest równie ciężko jak nam.

Charlotte uśmiechnęła się. Może pozwalała im na zbyt wiele, może nie powinna godzić się, by swobodnie wyrażali swoje opinie, ale dobrze było wiedzieć, że miała ich poparcie. Jeśli się wyprowadzi, co się z nimi stanie? Czy znajdą inne posady, gdyby musieli stąd odejść? Czy Cecil zapłaci im zaległe gaże, jeśli go opuszcza? Czuła się za nich odpowiedzialna. Może powinna uwzględnić w swoich planach tych wszystkich, którzy chcieliby odejść wraz z nią, nawet gdyby miało jej to przysporzyć dodatkowych kłopotów? Och, żeby tak Cecil doszedł do wniosku, że jednak nie lubi wsi, i wrócił do Londynu! Charlotte wiedziała jednak, że śmierć ojca była dla niego prawdziwym uśmiechem losu. Zapewne nie tylko sir Roland i pan Spike domagali się uregulowania długów. Może nawet jeden z pozostałych wierzycieli już przybył. Dlaczego jednak nie przyszedł wprost do dworu? Dlaczego ukrywał się we wsi?

Poszła na górę, do pokoju szkolnego. Lizzie i Fanny siedziały nad lekcjami, ale, podobnie jak służba, były niespokojne i nie mogły się skoncentrować. Panna Quinn była w nie lepszym stanie. Wciąż zerkała w stronę drzwi, jakby spodziewała się kłopotów. Charlotte uśmiechnęła się, by im dodać otuchy, i powiedziała:

- Będę w swoim pokoju, gdybyście mnie potrzebowały. Zajrzę tu jeszcze, zanim zejdę na obiad.

- Mamo, ale nie będziemy musiały zejść do jadalni, prawda? - zapytała Lizzie.

- Nie, wujek już was zobaczył i wie, że znajdujecie się pod dobrą opieką.



Próbując wszystkich pocieszać, stawała się kłamczuchą. Czy to świadczyło o jej słabości? Poszła do siebie, usiadła przy biurku i zaczęła sporządzać listę. Potem znowu musiała spożyć posiłek w towarzystwie mężczyzn, których poprzedni lord Hobart nie wpuściłby za próg. Gdy sięgnęli po wino, zostawiła ich i wróciła do swojego pokoju. Nie był tak wygodny i dobrze rozplanowany jak ten, który zajmowała poprzednio, ale znajdował się z dala od gościnnych sypialni, natomiast blisko dzieci. Charlotte czuła się zdegradowana do poziomu służącej i modliła się gorąco, by pan Hardacre pomógł jej wybrnąć z tej sytuacji.

Prawnik rozmawiał właśnie z wielebnym Fullerem, gdy weszła do kościoła. Pastor przywitał się z nią i zaraz wyszedł.

- Przepraszam, że zatrzymałam pana w Parson s End. - Była ubrana jak zwykle w żałobną suknię z czarnego jedwabiu i czarny wełniany płaszcz. - Jednak mam pewien dylemat.

- Wydaje mi się, że rozumiem.

- Tak? - Usiadła w ławce i wskazała mu miejsce obok siebie.

- Nie sądzę, by miała pani ochotę pozostać w Easterley Manor. Dawniej to był taki szczęśliwy dom, za życia lady Hobart, kiedy obaj chłopcy byli jeszcze mali...

- Później także był szczęśliwy, aż do niedawna. Odejście mojego teścia wszystko zmieniło. Nie sądzę, bym zdołała ułożyć sobie poprawne stosunki z nowym lordem Hobartem. Inaczej patrzemy na świat. W dodatku on podobno planuje małżeństwo. - Próbowała przedstawić sytuację w możliwie dyplomatyczny sposób. Lord Hobart był klientem pana Hardacre'a, więc skargi na jego zachowanie wydawały się nie na miejscu. - Muszę znaleźć inne rozwiązanie.

- Co ma pani na myśli?

- Szkołę. Gdybym miała dom na tyle duży, by pomieścić niewielką szkołę dla zamożnych dziewcząt...

- Ależ, droga lady Hobart, jak coś podobnego mogło pani przyjść do głowy? Pani mąż był baronetem, panem na włościach! Pani także pochodzi ze szlacheckiej rodziny. To nie uchodzi!

- Lubię uczyć.

- Z pewnością. Wielebny opowiadał mi o pani pracy z dziećmi, ale co innego uczenie jako działalność charytatywna, a co innego za pieniądze.

Charlotte roześmiała się gorzko.

- Jakbym słyszała Cecila. Też uważa, że sama wzmianka o pieniądzach jest czymś nieprzyzwoitym. Niestety pieniądze to zło konieczne, konieczne szczególnie wtedy, gdy się ich nie ma.

- Z pewnością nie jest tak źle. Nie ma pani nikogo?

- Nikogo - odparła stanowczo, odrzucając myśl o zwróceniu się do lorda Falconera. - Po śmierci Grenville'a moim jedynym oparciem był lord Hobart. Był mądrym, dobrym człowiekiem i wiedział, że muszę robić wszystko po swojemu, dlatego dał mi wolną rękę. Czułam się tak, jakby Grenville objął Easterley Manor we władanie i ja, jako wdowa po nim, przejęłam prowadzenie domu. Lord Hobart trzymał się na uboczu, szczęśliwy, że ma przy sobie wnuczki. Teraz ja i moje córki straciłyśmy wszystko. - Mrugała gwałtownie, żeby się nie rozpłakać.

- Rozumiem... - Prawnik zadumał się.

Był dobrym uczciwym człowiekiem, czy jednak naprawdę ją rozumiał? Zgromadził duży majątek, pracował tylko dla bogaczy. Czy ktoś taki pojmie biedę?

- Może mi pan pomóc?

- Znaleźć szkołę?

- Nie tylko. Także pożyczyć pieniądze na jej uruchomienie.
- A więc mówiła pani poważnie, że nie ma pani pieniędzy?
- Patrzył na nią wstrząśnięty.
  - Mam trzy gwinee i trochę drobniaków, ale muszę z tego zapłacić lekarzowi za zbadanie jednej z moich uczennic.
  - Mój Boże... Milady, nie miałem o tym pojęcia! Jak to możliwe? Ma pani sumę zagwarantowaną przez pana Grenville'a w kontrakcie ślubnym. Wiem, to niezbyt wiele, ale pani mąż, co zrozumiałe, nie spodziewał się swej rychłej śmierci... Poza tym był pewien, że w razie czego jego ojciec o panią zadba.
  - Nie wiedziałam, że powinnam była zachować ten fundusz, panie Hardacre. Wydałam pieniądze na wyposażenie szkoły, a także na ubrania i żywność dla potrzebujących. Ci ludzie tak niewiele mają, a od zakończenia wojny ich położenie jest coraz trudniejsze. Często myślałam, że tym, którzy w naszym kraju stanowią prawo, dobrze by zrobiło, gdyby pomieszkali wśród biednych wieśniaków... - Odetchnęła głęboko. - Bieda to coś strasznego, a właśnie dotknęła również mnie. Wszystko, co miałam, przepadło.
  - Jestem wstrząśnięty. Pani córki...
  - W tej chwili niczego im nie brakuje, ale nie są szczęśliwe w Easterley Manor i muszę znaleźć sposób, by zapewnić im utrzymanie.
  - Potrzebuje pani kredytu, jednak musi pani mieć jakieś materialne poręczenie, jeśli mam rozpocząć rozmowy z bankiem.
  - Poręczenie...? Mam trochę biżuterii. Perły, które dostałam od ojca na mój debiut, szmaragdowy naszyjnik od mojego męża jako prezent zaręczynowy i dwie małe broszki, jedna z ametystami, druga z granatami, które dostałam od niego po urodzeniu córek. Nie mam pojęcia, ile mogą być warte. Najdroższych pamiątek nie oddaje się do wyceny...

- Moja droga lady Hobart, to przecież ostateczność! Chyba jeszcze do tego nie doszło?

- Wiem, że wprawiam pana w zakłopotanie, ale proszę mi wierzyć, sama jestem znacznie bardziej zakłopotana, prosząc pana o pomoc.

- Niech pani tak o tym nie myśli. - Zadumał się głęboko. Wiedział, że lady Hobart i jej córki powinny jak najprędzej opuścić Easterley Manor. Niezależnie od tego, czy ta nieszczęśliwa kobieta zdoła założyć szkołę, czy też nie, będzie potrzebowała pieniędzy. Jej szwagier z całą pewnością nie da jej złamanego pensa. - Jak pani wie, zmarły lord Hobart ustanowił fundusz powierniczy dla pani córek - powiedział wolno. - Pieniądze te miały być przeznaczone na ich wyprawę przed wprowadzeniem w świat, na posagi oraz wszelkie inne potrzeby, które mężowie zaufania uznaliby za niezbędne dla ich dobra. Moim zdaniem zaistniała taka właśnie sytuacja. Przedstawię im tę sprawę i dam pani znać, co na to powiedzą. Jak pani sądzi, ile pieniędzy będzie pani potrzebowała?

- To zależy od sumy, jaką będę musiała zapłacić za wynajęcie budynku i od tego, ile czasu upłynie, zanim pojawią się uczennice. Oczywiście zrobiłam już szacunkowe wyliczenia. - Wyjęła z torebki dwa złożone arkusiki i podała prawnikowi. - Sądzi pan, że powiernicy wyrażą zgodę?

- Kiedy przedstawię im sytuację, zapewne tak. Dobro pani córek musi przede wszystkim być brane pod uwagę, a dalszy pobyt w Easterley Manor na pewno temu nie posłuży. - Wyraźniej nie mógł dać do zrozumienia, co sądzi o nowym lordzie Hobarcie. - Czy zdoła pani wytrzymać tydzień czy dwa? To wszystko musi niestety potrwać.

- Tak. Nie jestem dzieckiem, panie Hardacre, potrafię się bronić, a dziewczynek nie spuszczę z oka. Poza tym w do-

mu mieszka wiele dobrych, życzliwych osób... - Zamilkła na chwilę. - Mogę zacząć rozglądać się za domem?

- Tak, nie może pani jednak podpisać umowy najmu, za nim nie otrzymam zgody powierników funduszu.

- Rozumiem.

- Jeśli pójdzie pani ze mną Pod Psa i Lisa, to mógłbym od razu pożyczyć pani kilka gwinei. Nie wożę ze sobą większych sum z obawy przed rozbójnikami na drogach, ale mam trochę pieniędzy w metalowej kasetce ukrytej pod siedzeniem powozu. Oczywiście muszę zapłacić za oberżę, ale resztę z przyjemnością pani pożyczę.

- Dziękuję. Zwróć, jak tylko będę mogła.

Poklepał wierzch jej kurczowo zaciśniętych na troczkach torebki dłoni.

- Wiem. Chciałbym, aby wszyscy moi klienci byli równie skrupulatni.

- Czy Cecil może obalić testament ojca, panie Hardacre? Powiedział, że to zrobi.

- Wyjaśniłem mu, że może przejąć posiadłość, ale pieniędzy nie zostało po starym lordzie zbyt wiele i jeśli będzie się starał do nich dobrać, to jedynymi osobami, które się na tym wzbogacą, będą prawnicy. Chyba mnie zrozumiał.

- Więc musi posłubić posażną pannę i mieć dzieci. - Dzieci Cecila, jako wnuki zmarłego lorda Hobarta, miałyby prawo do części funduszu ustanowionego dla jej córek.

- Taki właśnie ma zamiar. Mówił o pani. Pytał, czy prawo dopuszcza małżeństwo z wdową po przyrodnim bracie.

- Nie wierzę, by mówił serio, zresztą i tak nie wyszłabym za niego za żadne skarby świata - stwierdziła z mocą. Rozmowa z prawnikiem wyraźnie dodała jej animuszu i poprawiła humor.

Wyszli z kościoła i ruszyli przez wieś do gospody. Gdy mijali kuźnię, Charlotte zauważyła, że sprzed budynku zniknął przepiękny, biały wierzchowiec. Czyżby tajemniczy dzentelmen posłuchał jej rady i opuścił Parsons End? Gdyby równie łatwo udało się pozbyć z Easterley Manor tamtych dwóch łotrów!

Zmierzała do domu z ukrytymi w torebce pięcioma gwineami, gdy nagle musiała uskoczyć w żywopłot, bo wąską drogą przemknęły w szalonym pędzie dwa powozy, nic sobie nie robiąc z innych użytkowników drogi. W każdym z nich siedział komplet pasażerów. Charlotte nie miała wątpliwości, że oto przybywali pierwsi goście Cecila. Zanim dotarła do frontowych drzwi, zdążyli już wysiąść z powozów wraz ze swymi bagażami, uścisnąć dłoń Cecila i przywitać się z sir Rolandem i panem Spikiem jak ze starymi przyjaciółmi.

Wolałaby nie mieć z tymi ludźmi do czynienia, ale uznała, że bojkotowanie ich to nie najlepsza strategia. Do czasu otrzymania odpowiedzi od pana Hardacre'a ona i jej dzieci, nie wspominając już o służbie, znajdowali się na łasce szwagra, należało więc za wszelką cenę zachować spokój. Postanowiła być uprzejma, ale z dystansem. Niech sobie myślą, że jest wyniosła.

Kiedy weszła do holu, przekonała się, że wraz z panami przyjechało kilka wystrojonych i hałaśliwych kobiet. Goście przywieźli ze sobą lokajów i woźniców, których również należało zakwaterować. Charlotte poleciła ich pieczy Foster'a, a sama zajęła się gośćmi.

- Moja bratowa. - Cecil niedbale machnął ręką w jej stronę. - Pełni u mnie rolę gospodyni, więc ze wszystkimi sprawami zgłaszajcie się do niej.

- Witam panie, witam panów. - Charlotte nawet mrugnięciem nie zdradziła konsternacji. - Proszę pozwolić, że zdejmę tylko płaszcz i czepek, a potem pokażę państwu pokoje. - Zdjęła wierzchnie okrycie i podała je wraz z torebką pannie Quinn, która wyłoniła się z cienia. Już miała poprowadzić gości do przeznaczonych im pokoi, gdy nagle z salonu wyszedł jeszcze jeden mężczyzna i zatrzymał się z uśmiechem przed Charlotte.

- Cecilu - poprosił - przedstaw mnie pani.

Zniknął prosty strój, który nosił poprzedniego dnia. Teraz ubrany był z najwyższą elegancją. Kołnierzyk koszuli miał ekstrawagancki krój, wykrochmalony krawat został zawiązany idealnie, niebieski surdut opinał szerokie ramiona jak druga skóra, a pantalonki podkreślały kształt zgrabnych, muskularnych nóg.

- Lady Hobart - powiedział Cecil. - Przedstawiam pani wicehrabiego Stacey Dartona.

Stacey ujął jej dłoń.

- Sługa uniżony, lady Hobart. - Po czym zapytał cicho: - Czy to wystarczająco grzeczne powitanie, milady?

- Milordzie. - Zdołała ugiać kolano i wykonać przepisowy ukłon, choć na widok lorda Dartona coś dziwnego zaczęło się z nią dziać. Po prostu, ku swej wielkiej konsternacji, trzęsła się jak osika. Co się z nią działo? Przecież przypuszczała, że dziwny nieznajomy był jednym z kompanów Cecila, więc jego widok nie powinien stanowić dla niej zaskoczenia. W głębi duszy żywiła jednak nadzieję, że się myli i ten mężczyzna jest prawdziwym dżentelmenem. Niestety prawda była inna....

- Towarzystwo coraz lepsze - oświadczył sir Roland z zabawieniem. - Ni mniej, ni więcej, tylko wicehrabia. Cecilu, dlaczego nie powiedziałaś, że jego lordowska mość zaszczyca nas swą obecnością?

- Chciałem wam zrobić miłą niespodziankę - odparł z uśmiechem Cecil i zaczął przedstawiać Staceyowi swoich przyjaciół.

Charlotte nie słuchała. Nie zależało jej na poznaniu nazwisk tych ludzi. Im mniej będzie ich widywać, tym lepiej.

- Przywiózł pan swoją panią, milordzie? - dopytywał się Augustus.

- Nie, kobiety tylko przeszkadzają w grze.

- Ale jak rozkosznie to robią, kuzynie! - Cecil kordialnie dał mu kuksańca w zębra.

Kobiety zachichotały, a jedna z nich zbliżyła się do Staceya z zalotnym uśmiechem. Była pulchna, jej potężny biust zdawał się rozsadzać głęboko wycięty stanik sukni. Miała niezwykle kunsztowną, wysoką fryzurę, uwieńczoną na czubku ufarbowanymi na niebiesko i różowo piórami. Całość dopełniały błyszczący naszyjnik i pierścionki na niemal każdym palcu.

- Z największą przyjemnością będę panu przeszkadzała, milordzie, ale dopiero po zakończeniu gry.

Zaśmiał się i uszczypnął ją w policzek.

- Nie wątpię. Lady Grey, prawda?

- Darujmy sobie te formalności, milordzie. Mam na imię Adelia. Pozwalam panu zwracać się do mnie po imieniu.

Stacey skłonił się lekko.

- Adelia, zapamiętam.

Tego już było dla Charlotte za dużo. Poczowała niesmak i dziwne przygnębienie, jakby oczekiwała od wicehrabiego czegoś więcej. Wcześniej wydawał jej się znacznie sympatyczniejszy, nawet kiedy się z nią przekomarzał.

- Panie, panowie - powiedziała głośno, żeby przekrzyczeć gwar rozmów. - Proszę za mną, pokażę państwu pokoje. Po-tem zapraszam do jadalni na drobną przekąskę po podróży. Obiad podajemy zazwyczaj o piątej.



- O piątej! - zawołał jeden z mężczyzn. Ubrany był w zabawny surdut z aksamitnym kołnierzem, który sterczał mu aż do uszu, kamizelkę w żółto-brązowe paski i krawat w groszki.

- Wielki Boże! O tej porze dopiero wstaję z łóżka. To nie jest cywilizowana pora.

- Zamknij się, Reggie - syknęła jedna z kobiet. Jej cieniutka, głęboko wycięta suknia o bufiastych rękawach była niemal przezroczysta. - Dzięki temu wieczory będą dłuższe i zyskamy więcej czasu na ogranie gospodarza.

A więc przyjechali tu uprawiać hazard. Charlotte nie była tym zaskoczona, zastanawiała się natomiast nad możliwymi skutkami przegranej Cecila. Zaprowadziła gości na piętro, otwierała kolejno drzwi pokoiów i powtarzała formułkę, że ma nadzieję, iż będzie im tu wygodnie.

Lord Darton był ostatni. Zatrzymał się w progu pokoju, którego drzwi przed nim otworzyła. Charlotte milczała.

- Teraz, kiedy zostaliśmy sobie formalnie przedstawieni, chyba nie ma powodów, dla których nie moglibyśmy ze sobą rozmawiać, prawda? - przerwał ciszę. Przekorne iskierki nadal migotały w jego oczach, teraz jednak Charlotte inaczej je sobie tłumaczyła. Wydawały jej się lubieżne, podobnie jak spojrzenia sir Rolanda Bentwatera i pana Augustusa Spike'a, choć nieporównanie bardziej niebezpieczne, bo od tamtych ją odrzucało, od niego natomiast nie. Wicehrabia Darton był niezaprzeczalnie pociągającym mężczyzną i gdyby przestała mieć się na baczności, mogłaby go polubić i zacząć się z nim flirtować. Oczywiście nigdy do tego nie dopuści!

- Jestem gospodynią domu, w którym pan gości, milordzie. Okazałabym brak uprzejmości, gdybym pana ignorowała.

- Dziwny jest ten świat, prawda? Ludzie spotykają się nie spodziewanie w jednym miejscu jako gospodarz i gość, i muszą sobie z tą sytuacją radzić najlepiej, jak potrafią.

Czy za tą prostą z pozoru uwagą kryło się coś więcej? Czyżby sugerował, że nie ze wszystkim można sobie poradzić? Czy wyczuwał jej uprzedzenie?

- Skoro pan tak twierdzi, milordzie.

- Tak twierdzą. To zrządzenie losu.

- Przypuszczam raczej, że lord Hobart wystosował zaproszenie, któremu nie potrafił pan się oprzeć - odarła lekko.

- Coś w tym jest, ale wyruszając w drogę, nie miałem pojęcia, że spotkam tu panią.

- Milordzie, Easterley Manor jest moim domem od dwunastu lat, więc gdzie miałabym być? A teraz, pan wybacz, ale czeka mnie wiele zajęć.

Odeszła z godnością do kuchni, by pomóc w przygotowaniach. Nadmiernie obciążeni pracą służący biegali w pośpiechu i co chwila wpadali na siebie, powodując dodatkowe zamieszanie. Pomogła im nosić półmiski z jedzeniem do jadalni, do której zaczynali już schodzić się goście. Był tam również Cecil, który puszył się jak paw i jowialnie podsuwał im potrawy i wina. Nie potrzebowali zresztą zachęty; chciwie rzucili się na półmiski. Charlotte postawiła platery na stole i podeszła do szwagra.

- Milordzie - powiedziała półgłosem. - Musimy porozmawiać. W bibliotece, na osobności.

- Jasne, moja droga. Na osobności. - Z szerokim uśmiechem przeprosił gości i wyprowadził ją z jadalni. Weszła z nim do biblioteki, ale przezornie zostawiła otwarte drzwi.

- No, o co chodzi? - zapytał, opierając się tyłem o zarzucone papierami biurko. Charlotte podejrzewała, że to przywiezione

przez pana Hardacre'a dokumenty, rozrzucone w nieładzie na znak braku akceptacji przez Cecila.

- Jak długo goście tutaj zostaną, milordzie?

- Już chciałybyś się ich pozbyć, co?

- Zjedzą wszystkie zapasy, a służba nie poradzi sobie bez dodatkowej pomocy.

- To im pomóż.

- Pomagam, ale nie mogę być we wszystkich miejscach jednocześnie.

- A ja myślałem, że potrafisz - warknął ironicznie. - Tu, tam i jeszcze gdzie indziej. Oto cała moja droga bratowa. W jednej chwili jest w domu, nadzoruje pracę służby i trzęsie się nad swoimi ukochanymi córeczkami, a w następnej pędzi do wsi uczyć bachory kmiotków, żeby miały lepiej poukładane w głowach niż ich panowie. I biega z nimi po plaży. - Uśmiechnął się szeroko z jej wyraźnego zdumienia.

- Chyba nie sądziłaś, że twoje wyczyny pozostaną niezauważone? Proponuję, żebyś zapomniała o wsi i skoncentrowała się na domu. Dopilnuj, by te leniwe sługusy zarobiły na swoje utrzymanie.

Jedyną osobą, która mogła powiedzieć Cecilowi o jej wyprawie na plażę, był wicehrabia Darton. Charlotte miała mu to bardzo za złe, bo z jakiego innego powodu rozpowiadałby o tym, jeśli nie po to, by wprawić ją w zakłopotanie?

- Potrzebujemy przynajmniej dwóch dodatkowych dziewczyn do kuchni, dwóch pokojówek i jednej praczki - oświadczyła stanowczo, nie dając się zbić z tropu.

- Więc je zatrudnij, ale nie przychodź do mnie po pieniądze na wypłatę. No, muszę już wracać do gości, bo pomyślą, że my tu sobie figlujemy, zaniedbując ich w skandaliczny sposób. - Z tymi słowami wyszedł z biblioteki.

Już miała wybiec za nim na korytarz, gdy usłyszała jego jowialny głos:

- O, znalazłeś drogę, Stacey! Chodźmy do jadalni coś przekąsić, a potem opowiem ci, co zaplanowałem na wieczór.

Kiedy się oddalili, Charlotte pobiegła do swojego pokoju po płaszcz i wróciła do kuchni, w której panowało prawdziwe pandemonium.

- Milady, widziała pani, co zamówił na obiad? - zapytała kucharka, machając świstkiem papieru. - Tego się po prostu nie da zrobić. Mam tylko jedną parę rąk. Podobnie jak Betsy, choć to naprawdę dobra dziewczyna.

- Idę do wsi, żeby wziąć kogoś do pomocy.

- Dzięki Bogu! - zawołała kucharka. - Im szybciej, tym lepiej.

Charlotte wyszła z domu kuchennymi drzwiami i skręciła w drogę prowadzącą do wsi. W Parson s End było wielu mężczyzn i kobiet chętnych do pracy, nie mogła jednak żądać, by pracowali za darmo. Przyjdą, ale gdy przekonają się, jakich ludzi mają obsługiwać i gdy zorientują się, że nowy lord Hobart nie ma takich skrupułów w kwestii zaciągania długów jak jego ojciec, dojdą do wniosku, że ich oszukała. Mieli do niej zaufanie, a ona nie zamierzała tego zaufania nadużyć. Nowi służący musieli otrzymać swoje gaże, podobnie zresztą inni pracownicy, nawet gdyby przyszło jej wydać na to wszystkie pieniądze, jakie miała.

Wchodziła do domów tych mieszkańców wioski, którzy byli bez pracy. Dwóm zaproponowała posadę służących będących stale do dyspozycji gości, choć nie znali się na tej robocie. Znalazła również dwie kobiety do pomocy w kuchni, nie udało jej się tylko zatrudnić wykwalifikowanych pokojówek. Jednak Cecil nie mógł przecież żądać od niej cudów w tak krótkim czasie! Postanowiła przekwalifikować Betsy na

pokojówkę, bo była duża i tęga, więc mało prawdopodobne, by skusiła panów do niestosownych zachowań, jak mogłoby się zdarzyć z młodą dziewczyną. Pozostałe służące należało stałe mieć na oku.

Po powrocie zdążyła wpaść tylko na chwilę do Lizzie i Fanny, a przy okazji poprosiła Quinny, by dziewczynki nie ruszały się ze swoich pokojów, i zaraz rozległ się gong na obiad. Przebrała się szybko i dołączyła do gości, którzy przechodzili właśnie z salonu do jadalni.

- Tu jesteś, Charlotte - zawołał Cecil na jej widok. - Gdzie byłaś?

- Najmowałam dodatkową służbę do domu.

- To dobrze - wpadł jej w słowo sir Roland. - Musiałem dwa razy posyłać po gorącą wodę. Omal nie spóźniłem się przez to na obiad.

- A ja zamówiłem butelkę koniaku, a przysłano mi sherry - poskarżył się inny. - Czy twoja służba nie dostrzega różnicy między tymi trunkami, Hobart?

- Przyjmijcie moje przeprosiny, panowie. To się więcej nie powtórzy.

- A moja pokojówka nie mogła się doprosić o wyprasowanie mojej sukni - włączyła się lady Grey. - Byłam zmuszona włożyć wygniecioną, prosto z kufra.

- Nikt by się nie domyślił, milady - zapewnił Stacey. - Suknia wygląda równie czarująco jak pani.

- Och, ty stary pochlebco! - zawołała lady Grey z chichotem i uderzyła go wachlarzem w żebra. - Za karę będzie mnie pan musiał poprowadzić do obiadu.

Natychmiast z galanterią zaferował jej ramię, choć tuż obok stała lady Hobart, która zamierzała wejść do jadalni

wraz z ostatnimi gośćmi. Specjalnie zamarudził dłużej na korytarzu, by móc poprowadzić ją do stołu, ale jeśli nie chciał narazić się Adeli Grey i, co ważniejsze, gospodarzowi, nie miał innego wyjścia, jak poddać się natychmiast.

Lady Hobart robiła wrażenie idealnie spokojnej, ale bladość jej twarzy i sztywno wyprostowana sylwetka świadczyły, że sytuacja nie była dla niej łatwa. Biedactwo! Podczas pobytu w wiosce Stacey upewnił się, że to rzeczywiście ona była tą bratową, o której mówił Cecil. Dochodziły go słuchy o jej dobroci wobec ludzi dotkniętych przez los i ofiarnej walce o edukację dzieci, które ją uwielbiały. Jeśli wierzyć wieśniakom, była wzorem wszelkich cnót.

Od początku go intrygowała, często rozmyślał o niej, ale natychmiast przywoływał się do porządku, przypominał sobie o obowiązkach wobec Julii i gotował się do wyjazdu. Siedział właśnie w salonie gospody, posilając się przed podróżą, gdy nadjechał John Hardacre i zamówił jedzenie oraz pokój na jedną noc. Stacey znał go doskonale, bo adwokat od lat był doradcą prawnym jego rodziny.

- Wicehrabia Darton! - zawołał Hardacre. - Nie spodziewałem się znaleźć pana na tej zabitej deskami wsi!

- Jechałem do Ipswich, ale musiałem się zatrzymać, bo mój koń zgubił podkowę. - Roześmiał się. - Życie toczy się nadzwyczaj wolno. Wymiana czterech podków zajęła kowalowi ponad dzień, choć mały to kłopot, bo specjalnie mi się nie śpieszy. A co pana tu sprowadza?

- Lord Hobart mieszka w pobliżu. To mój klient. Miałem z nim sprawy do omówienia.

- Wiem, że wrócił z Indii, by objąć schedę po ojcu. Nie zaproponował, by zatrzymał się pan u niego?

- Nasze interesy nie zajęły zbyt wiele czasu. Nie miałem powodu, by zostawać dłużej.

- Słyszałem jednak, że zamówił pan pokój w tej gospodzie.

- Tak. Mam również pewne sprawy do lady Hobart.

Kelner przyniósł jedzenie i Stacey, którego ciekawość wzrosła, wskazał prawnikowi miejsce naprzeciw siebie.

- Proszę się do mnie przysiąść, będzie mi bardzo miło.

- Dziękuję. - Hardacre rozsiadł się wygodnie.

- Lady Hobart - rzucił Stacey z pozoru niedbałym tonem. - Sporo o niej słyszałem, same pochwały. Proszę mi powiedzieć, czy jest naprawdę tak szlachetna, jak o niej mówią?

- Jest prawdziwą damą i naprawdę lękam się o nią. Nie powinienem tego mówić, ale obawiam się, że Cecil Hobart nie będzie jej dobrze traktował. W dodatku przywiózł do domu dwóch takich ptaszków, za których nie dałbym złamanego szelaga.

- Sir Rolanda Bentwatera i pana Augustusa Spike'a.

- Pan ich zna? - zapytał prawnik ze zdumieniem.

- Hobart przedstawił nas sobie w czasie wspólnej podróży z Londynu. Muszę przyznać, że i ja nie przepadam za tymi typami.

- I ma pan rację. Powiedziałbym, że to sępy, ale tu chyba specjalnie się nie obłowią. - Roześmiał się krótko. - Nie powinienem tego mówić, ale znam pana od dziecka i wiem, że mogę panu zaufać.

- Może pan. - Ze zdumieniem wysłuchał relacji Hardacre'a o zawłościach testamentu zmarłego lorda Hobarta. - To znaczy, że odziedziczył wyłącznie ziemię i ani grosza gotówki?

- Tak, gdyby jednak ożenił się i miał dzieci, to będzie mógł dysponować przypadającą na nie częścią funduszu. Cecil chce, żebym obalił testament, ale to może się ciągnąć w nieskończoność, więc zaczął poszukiwania potulnej żony.

- Nie lady Hobart? - zapytał Stacey z niepokojem.

John uśmiechnął się lekko.

- Wątpię, by była wystarczająco uległa, choć jest od niego zależna. Ma dwoje dzieci, dwie małe dziewczynki. Szkoda, że jedna z nich nie jest chłopcem, bo wówczas nie byłoby tych wszystkich problemów. To on zostałby dziedzicem...

W tym momencie Stacey postanowił przyjąć zaproszenie Cecila i na własne oczy przekonać się, co się tam dzieje. Julia była w Malcomby Hall szczęśliwa i otoczona opieką, a kilka dni zwłoki nie robiło wielkiej różnicy.

Kiedy wkrótce potem do dworu Hobarta zaczęli zjeżdżać się goście, Stacey pogratulował sobie w duchu decyzji, bo goście ci bardzo go zaniepokoiili. Było mu żal lady Hobart i postanowił zadbać, by nie spotkała jej żadna krzywda, ale w tym celu musiał zacieśnić kontakty z Cecilem i udawać, że jest taki sam jak reszta jego kompanów. Nie mógł powiedzieć o tym lady Hobart, bo mogłaby go nieopatrznie zdradzić, więc patrzyła na niego morderczym wzrokiem. Spojrzał na nią przez ramię i uśmiechnął się, prowadząc lady Grey do jadalni, ale lady Hobart jeszcze wyżej podniosła głowę i odwróciła się od niego.

- Chodź już, Stacey. Przestań się ociągać! - zawołał Cecil. - Potem będzie czas na flirty.

Wicehrabia westchnął i dołączył do zebranego w jadalni towarzystwa.



## Rozdział czwarty

Charlotte z całego serca pragnęła, by nieokrzesani goście Cecila wreszcie wyjechali. Pomimo ekstrawaganckich strojów i poczucia własnej wyższości byli zwyczajną hołotą. Nawet lady Grey, jeżeli naprawdę przysługiwał jej arystokratyczny tytuł, mówiła za dużo, za głośno i często oszukiwała. Jedynie wicehrabia Darton zachowywał się jak dżentelmen, ale i on brał niekiedy udział w ulubionej rozrywce Cecila, to znaczy w dręczeniu jej.

- Lady Hobart - powiedział pewnego wieczoru. - Czy naprawdę nie potrafi pani uśmiechnąć się do swoich gości? - Puścił do niej oko, na co zareagowała rumieńcem, budząc rozbawienie całego towarzystwa, szczególnie zaś pana Spike'a, który ryczał ze śmiechu jak osioł.

- Państwo są gośćmi lorda Hobarta - wycodziła przez zaciśnięte zęby. - Nie moimi.

- To znaczy, że pani nie zaprosiłaby nas do swego domu?

- Ja... - urwała. - To nie jest mój dom.

- Właśnie! - zgodził się Cecil. - Ty także jesteś tu tylko gościem, więc powinnaś zachowywać się jak gość.

- To znaczy pić za dużo, grać w karty i wymyślać służbie? -

prychnęła. - Przykro mi, ale nie mogę, zostałam inaczej wychowana. Wydaje mi się, że ty także. Twój ojciec...

- A, mój ojciec! - warknął Cecil. - Zaczynam się zastanawiać, kim był dla ciebie mój szacowny rodziciel. Wygląda na to, że owinęłaś go sobie wokół palca. Jeżeli chcesz nadal pozostać moim gościem, to na przyszłość nawet nie wspominaj jego imienia.

Charlotte miała już na ustach ciętą ripostę, gdy dostrzegła, że Stacey kręci głową i ostrzega ją wzrokiem, by ugryzła się w język. Wicehrabia udawał, że pije do dna, ale zauważyła, iż nalewał sobie mniej niż inni i był całkiem trzeźwy. To jej jednak wcale nie uspokoiło. W co on gra? - zastanawiała się.

- Tak, lepiej zaniechać rozmów o zmarłym lordzie Hobarcie - powiedziała, wstając. - Panowie, zostawiam was, byście mogli napić się porto i zapalić cygaro.

Wyszła, ale panie nie pospieszyły za nią do saloniku, co niewątpliwie zrobiłyby prawdziwe damy, lecz zostały, by pić wraz z mężczyznami. Później, kiedy nakrycia uprzątnie słuźba, zażądają więcej wina, świeżego obrusa i na stole pojawią się karty. Tak działo się każdego z czternastu dni, jakie goście spędzili już w Easterley Manor.

W ciągu tych dwóch tygodni życie we dworze stało się nie do zniesienia. Przyjęcie dodatkowych słuźących poprawiło nieco sytuację, ale Charlotte musiała stale nadzorować ich pracę, pilnować, by nieustające żądania gości były natychmiast spełniane, a posiłki podawane na czas, sprawdzać, czy pokoje zostały należycie wysprzątane, a pranie idealnie czyste. Ten ostatni obowiązek był najtrudniejszy. Towarzystwo piło i grało w karty do wczesnych godzin rannych, więc w czasie, gdy pokojówki zazwyczaj sprzątają pokoje i ścielą łóżka, goście wylegiwali się jeszcze w pościeli. A biada każdej młodej

dej dziewczynie, które weszła do pokoju zajmowanego przez mężczyznę. Nawet Betsy wypadła o jedenastej z krzykiem z pokoju zajmowanego przez sir Rolanda.

Charlotte była tak zajęta, że prawie nie miała czasu dla własnych córek, już nie mówiąc o wyprawach na wieś, by uczyć dzieci czy odwiedzać starych i chorych. Pewnie myślała, że ich opuściła. Nie otrzymała również żadnej wiadomości od pana Hardacre'a, co ją bardzo martwiło. Czy to oznaczało, że nie zdołał przekonać pozostałych powierników, by zgodzili się przekazać jej część funduszy wnuczek zmarłego lorda Hobarta? Czy wszystkie jej plany miały spalić na panewce?

Siedziała samotnie w bawialni przy stoliku z zastawą do herbaty, gdy do pokoju wszedł Stacey, stanął przy kominku, na którym palił się niewielki ogień i spojrzał na nią. Charlotte odczuła bijącą od niego niepokojącą męską siłę i zaczęła szybciej oddychać. Był bardzo wysoki i muskularny, opalony na brąz, o pięknym wykroju ciemnych oczu. Miał stanowcze usta, prosty nos i zadziornie wysunięty podbródek. Wyglądał przy tym dość nieswojo, jakby chciał jej coś powiedzieć, ale nie był pewien, czy powinien.

- Znudził się pan towarzystwem, milordzie? - Wskazała jadalnię, z której dobiegł właśnie głośny wybuch śmiechu. - Napije się pan herbaty?

- Herbaty? - powtórzył z roztargnieniem, bo zastanawiał się właśnie, czy za jej doskonałym spokojem nie kryła się bezbronność. Przecież kobiety, poza nielicznymi wyjątkami, były całkowicie uzależnione od spokrewnionych z nimi mężczyzn, którzy mogli zgotować im życie przyjemne bądź pełne udzięki. Nie miały prawa dysponować pieniędzmi, nawet jeżeli je posiadały. Wicehrabiemu Dartonowi nie mieściło się w głowie, że lord Hobart zostawił ją na łasce swego wykolejonego syna.

Czy Charlotte odeszłaby stąd, gdyby miała dokąd? A może nie obchodziło jej to, co Cecil wyprawiał, dopóki miała dach nad głową? Dwór był doprawdy imponujący i wygodny. - Tak, bardzo proszę. - Usiadł na kanapie naprzeciw niej.

Po chwili niezbyt pewną dłonią podała mu filiżankę.

- Czy pozostali goście również do nas dołączają? - zapytała.

- Wątpię. Zbyt dobrze się bawia.

- Dlaczego ich pan zostawił?

- Zgłosiłem się na ochotnika, że przyniosę więcej wina.

Nowy lokaj, zdaniem Cecila, nie odróżnia dobrego bordo od zwykłego miodu pitnego.

Uśmiechnęła się.

- Zdziwiłabym się, gdyby odróżniał. To zwyczajny parobek. Wziętam go, bo był akurat bez pracy. Ziemia jest tak rozmokła, że nie nadaje się do uprawy, więc robotnicy rolni mają przestój.

- A to, że potrzebował pracy, miało dla pani większe znaczenie niż potrzeby lorda Hobarta i jego gości, prawda?

- Trudno oczekiwać, że znajdę wykwalifikowanych służących w tak niewielkiej wiosce jak Parson s End, milordzie. Szczególnie z dnia na dzień - odparła ostro. - Mój szwagier i jego goście muszą się zadowolić tym, co jest.

- Wątpię, by cokolwiek mogło ich zadowolić.

- Czy pan, milordzie, również przyszedł robić mi wyrzuty?

Jest pan jednym z nich.

Stacey już otworzył usta, by zaprzeczyć, ale zmienił zdanie. Było zbyt wcześnie, by wyznać jej prawdę, a mianowicie że przybył tu zaniepokojony słowami Johna Hardacre'a, a kiedy rozeznał się w sytuacji, postanowił chronić lady Hobart przed jej nicponiem szwagrem. Gdyby dowiedziała się o tym, najpewniej roześmiałaby mu się w twarz. I nic dziwnego, bo sam się sobie dziwił.

- Nie, milady, w żadnym razie. Rozumiem, jak pani jest trudno.

- Nie sędzę, bo gdyby tak było, nie powiedziała by pan Cecilowi o mojej zabawie z dziećmi na plaży. Dla pana była to pewnie tylko zabawna anegdota, ale on wykorzystuje ją, by ze mnie szydzić.

- Nie powiedziałem mu tego - rzucił Stacey ostrym tonem. - Jeśli lord Hobart o tym usłyszał, to z pewnością nie ode mnie. Nie ja jeden w tym domu wiedziałem o tej zabawie, zresztą mógł sam panią widzieć.

Charlotte uświadomiła sobie, że Stacey miał rację.

- Proszę o wybaczenie, milordzie. Nie powinienam pochopnie wyciągać wniosków.

- Właśnie, nie wszystko jest takie, jak się w pierwszej chwili wydaje, prawda? Ja z kolei uznałem panią za nauczycielkę, więc też popełniłem błąd.

- Nie całkiem, milordzie. Naprawdę uczę w wiejskiej szkole. Lubię to. - Wstała. - Proszę za mną, pomogę panu znaleźć wino. Zapewniam, że ja potrafię odróżnić bordo od miodu.

Ruszył za nią korytarzem prowadzącym do głównej klatki schodowej, potem wąskim korytarzykiem, z którego można było wejść do kuchni, spiżarni, mleczarni, pralni i piwnic. Charlotte zapaliła świecę i zaczęła schodzić po schodach do piwnicy pewnym krokiem, świadczącym o wieloletniej praktyce. Znała ten stary dom na wylot, poruszała się w nim swobodnie nawet po ciemku. Na dole zapaliła latarenkę i podała ją Staceyowi.

- Proszę, zobaczmy, co my tu mamy.

Wicehrabia Darton obserwował idącą przed nim wysoką, elegancką, pewną siebie kobietę. Zwrócił uwagę na zgrabną figurę i rozświetlone blaskiem świecy włosy, które jaśniały jak aureola. Nie wiedział, w jakim była wieku. Pewnie dobiegała trzy-

dziestki, ale nie miała w sobie nic z matrony. Gdyby nie żałobna czerń, wyglądałaby znacznie młodziej. Zatrzymała się tak nagle, że omal na nią nie wpadł. Wyciągnął rękę i jego dłoń dotknęła nagiej skóry na jej ramieniu. Była gładka i ciepła. Gdy lady Hobart drgnęła, zrozumiał, że dopiero teraz uświadomiła sobie, jakie niebezpieczeństwo groziło jej tutaj, w piwnicy, sam na sam z mężczyzną, któremu nie ufała.

Cofnął się o krok, choć kusiło go, by wziąć ją w ramiona, uspokoić czułymi słowami, pieścić... Ostro przywołał się do porządku. Skąd przyszedł mu do głowy taki pomysł? To nie była kobieta lekkich obyczajów, jak lady Grey, która niewątpliwie poszłaby z nim do łóżka, gdyby tylko jej to zaproponował. Charlotte to prawdziwa dama. Domyślał się, że była córką człowieka interesów bądź kapitana statku, szlachetnie urodzonego, ale bez tytułu. Zapewne dlatego nie widziała nic złego w uczeniu wiejskich dzieci. Z pewnością małżeństwo z baronetem wprowadziło ją do wyższych sfer.

Udawała, że nie zauważyła jego dotyku, choć było to trudne. Z pozoru obojętnie wskazała rzędy półek z butelkami wina.

- Prawie nic nie zostało. W zeszłym tygodniu piwniczka była pełna. Dziwię się, jak po takiej ilości wina i brandy może pan grać w karty.

- Ja?

- Pan i inni. Nie sądzę, by była między wami jakaś zasadnicza różnica.

Stacey nie był zachwycony zrównaniem go z pozostałymi kompanami Cecila, ale ponieważ nie zrobił nic, by ją przekonać, że jest inaczej, musiał to zaakceptować.

- Człowiek przyzwyczajają się do alkoholu, szczególnie w armii za granicą, gdy nie zawsze bezpiecznie jest pić wodę z miejscowych studni.

- Był pan w wojsku? - zapytała Charlotte, podając mu dwie butelki.
- Przez wiele lat służyłem pod Wellingtonem jako zawodowy oficer.
- To dziwne. Przecież jest pan dziedzicem hrabiego Malcomby'ego, prawda?
- Jestem, ale mój ojciec również był żołnierzem. Właśnie za zasługi wojskowe otrzymał tytuł. Po prostu poszedłem w jego ślady.
- Jak rozumiem, nie jest już pan w czynnej służbie?
- Przychodzi czas, kiedy trzeba pomyśleć o obowiązkach domowych.
- O żonie?
- Nie mam żony. Zmarła wiele lat temu.
- Przykro mi. - Zatrzymała się u stóp schodów. - Naprawdę jest pan kuzynem Cecila?
- Cecil jest synem kuzynki mojego ojca, więc nasze pokrewieństwo to taka siódma woda po kisielu. - Roześmiał się cicho. - Ale on zdaje się przywiązywać do niego wielką wagę.
- Uważa, że ma pan worki pełne złota i pragnie uwolnić pana od tego ciężaru.
- Niech spróbuje - odparł z rozbawieniem.
- A jeśli jednak mu się uda?
- Jest bez szans. To wyjątkowo marny gracz.
- A inni?
- To już całkiem inna sprawa. Domyślałem się, że mają Cecilia w garści, a on się ich boi. - Po chwili dodał cicho: - W takiej sytuacji może się stać niebezpieczny, milady. Proszę na siebie uważać.

Odwróciła się gwałtownie, by spojrzeć mu w twarz. Ciekawe, dlaczego ją ostrzegął? Nie potrzebowała żadnych prze-

stróg, doskonale zdawała sobie sprawę, w jak trudnej znalazła się sytuacji. Nie miała jednak wyboru. Musiała wytrzymać do czasu otrzymania wiadomości od pana Hardacre'a. Musiała wytrzymać dla dobra dzieci. Nie mogła powiedzieć tego Staceyowi, więc zachowała milczenie. Na szczycie schodów zatrzymał się i pomógł jej pokonać ostatni stopień. W tym momencie nadszedł Cecil.

- Stacey, strasznie dużo czasu zajmuje ci przyniesienie paru butelek wina. Co robiłeś tak długo? - Nagle wybuchnął śmiechem. - O, już widzę! Flirtujesz z moją bratową! Ale wybierz sobie lepszy czas i miejsce. To nieodpowiednia chwila. Czekaemy na ciebie, żeby zacząć.

Stacey nie puścił jednak Charlotte, wręcz przeciwnie, objął ją i przyciągnął bliżej do siebie.

- Mogłem przewidzieć, kuzynie, że wpadniesz tu i wszystko popsujesz - powiedział jowialnie.

- Daleko z nią nie zajedziesz - oświadczył Cecil, wyjmując mu z ręki butelki. - Jest sztywna i zimna jak truposz.

- No, nie wiem. Już zaczynała topnieć, kiedy przyleciałeś i wszystko zepsułeś. - Czuł, jak Charlotte wije się, próbując się uwolnić, ale przyciągnął ją bliżej i uniósł jej głowę jak do pocałunku.

Próbowała z nim walczyć, ale nagle odżyły w niej uczucia, jakich nie doznała od ośmiu lat... i przytuliła się do wicehrabiego. Nie była w stanie oderwać się od niego, choć rozsądek podpowiadał jej, że to największa głupota w jej życiu. Jego wargi pieściły jej usta, budząc w ciele Charlotte rozkoszne dreszcze.

W końcu uniósł głowę, by szepnąć jej wprost do ucha:

- Proszę nie odgrywać urażonej niewinności, milady. Proszę pamiętać, co powiedziałem i mieć się na baczności. - Po



czym cmoknął ją głośno w policzek i puścił. - Chodźmy, kuzynie. Wracajmy do gry.

Zanim odzyskała głos, Stacey wziął Cecila pod ramię i poprowadził w głąb korytarza, zostawiając ją drżącą i wstrząśniętą, że uległa pokusie. Teraz będzie myślał, że może sobie z nią pozwolić na wszelkie bezceństwa! Jaką on prowadzi grę? Dlaczego tu został? Na pewno nie po to, by ją całować. Nie miała wątpliwości, że mógł to robić z każdą z obecnych tu pań i z pewnością żadna z nich nawet nie próbowałaby mu się opierać.

A może łudził się, że od jej szwagra można wygrać duże pieniądze? Ależ będzie rozczarowany, gdy odkryje, że Cecil kompletnie nic nie ma. To jednak nie tłumaczy, dlaczego przyszedł do saloniku, by z nią porozmawiać, i dlaczego udawał, że z nią flirtuje. To już szczyt wszystkiego! Oparła się o framugę drzwi i dotknęła policzka w miejscu, które Stacey pocałował. Był gorący. Powinna była uderzyć wicehrabiego w twarz, a tymczasem stała potulnie i pozwalała mu na wszystko. Pewnie uznał ją za słabą, bezwolną kobietkę... lub że ją przeraził? Lecz jej uczuć do niego nie można było nazwać strachem. Wcale się go nie obawiała, jak Cecila i pozostałych.

Powoli wróciła do frontowej części domu i zadzwoniła po pokojówkę, by uprzątnęła zastawę do herbaty. Z pewnością już nikt nie będzie miał ochoty na ten napój. Potem wolno ruszyła do swojego pokoju, mijając po drodze jadalnię. Śmiech umilkł, zaczęła się poważna gra.

Gdy następnego dnia weszła rano do jadalni, by otworzyć okna i wywietrzyć nocny zaduch, niespodziewanie pojawił się Cecil. Miał na sobie pikowany szlafrok w kolorze burgunda i białą szlafmycę, a na nogach kapcie z zawiniętymi do góry noskami. Był jednak bez koszuli.

- O, Charlotte - zawołał ze sztuczną jowialnością. - Widzę, że wcześniej wstałaś.

- Jest w pół do jedenastej, milordzie.

- Tak? Nieważne. Muszę z tobą porozmawiać.

- Słucham.

- Tak... Rzecz w tym, że jestem nieco spłukany. Miałem wczoraj złą passę, nie mogłem się od niej uwolnić. Muszę uregulować część długów. Rozumiesz, to kwestia honoru.

- I? - Domyślała się, do czego zmierzał, ale chciała usłyszeć, jak prosi.

- I potrzebuję gotówki. Tylko trochę, by zamknąć im usta. Możesz mi pomóc, prawda?

- Pieniędzmi?

- Tak, wystarczy kilka gwinei, by zademonstrować dobrą wolę.

- A jak sądzisz, milordzie, skąd mam wziąć tych kilka gwinei? Może rosną na drzewach? A może leżą pod nogami?

- To nie jest temat do żartów!

- Rzeczywiście, nie jest, tym bardziej że pech cię nie opuszcza, Cecilu. Nie mam pieniędzy. Sądzisz, że gdybym je miała, to zostałabym tutaj?

- Nie wierzę ci. Słyszałem, że mój ojciec był ci bardzo oddany. Musiałaś wszystko od niego wyciągnąć i dlatego zastałem puste kufry.

- Niczego od niego nie wyciągnęłam! - rzuciła gniewnie. - Lord Hobart nie był tak bogaty, by pensja, jaką ci posyłał, nie robiła wyłomu w jego finansach, a w ostatnim okresie, kiedy nie mógł już zarządzać majątkiem, jego zasoby jeszcze bardziej stopniały. Mówiłam ci przecież, że musisz przywrócić posiadłość do dawnego rozkwitu.

- Ośmielasz się mnie pouczać? - Podszedł do niej tak bli-

sko, że poczuła jego zepsuty oddech i zobaczyła gniew w jego oczach. Gniew pomieszany z lękiem. Wicehrabia Darton miał rację: przerażenie może przemienić człowieka w bestię. Nie cofnęła się jednak. - Jesteś kłamliwą wiedźmą - wycedził. Mięśnie jego twarzy ściągnęły się, blizna uwypukliła i wyglądała jak długi, różowy wąż. - Schowałaś je gdzieś, ale już ja je znajdę.

- Nie mogę dać ci czegoś, czego nie mam. Znasz testament ojca. Wszystko poza domem i ziemią otrzymają jego wnuki. Ja nie dostałam nic.

- Twoje dzieci są jego wnuczkami.

- Tak, ale nie mogę dysponować ich... - Zamilkła, zastanawiając się, ile w tych słowach jest prawdy. Jeśli rzeczywiście nie miała prawa skorzystać z tych pieniędzy nawet dla dobra swoich dzieci, to naprawdę była bez grosza. Z drugiej jednak strony za nic nie chciała dopuścić, by przyszło mu do głowy, iż mógłby w jakikolwiek sposób położyć rękę na spadku jej córek.

- Hm. - Zdawał się rozważać jej słowa i nagle uśmiechnął się. - Ojciec na pewno obsypywał cię prezentami, zanim uderzył nogami w kalendarz. Jeśli nie masz gotówki, to może być biżuteria..

Już miała zaprzeczyć, bo żadnego ze swych nielicznych klejnotów nie otrzymała od zmarłego lorda, kiedy nagle otworzyły się drzwi i do pokoju wpadł wicehrabia Darton. W przeciwieństwie do gospodarza był już porządnie ubrany. Miał na sobie pantalonki koloru kawy i brązowy surdut. Jego krawat był perfekcyjnie, choć bez ekstrawagancji zawiązany, a krótkie włosy starannie uczesane.

- Witaj, Hobart - rzucił nonszalancko.

Charlotte jeszcze nigdy tak bardzo nie ucieszyła się na jego

widok. Dopiero teraz zauważyła, że przez cały czas wstrzymywała oddech i wreszcie wypuściła powietrze z płuc w długim, pełnym ulgi westchnieniu. Odsunęła się od Cecila i podeszła do ustawionych pod ścianą bufetów, żeby sprawdzić zawartość półmisek ze śniadaniem.

- O, to ty, Darton - mruknął poirytowany Cecil. - Piekielnie wczesnie wstałeś.

- Ty też, kuzynie. Byłeś tu jeszcze przede mną. - Przyjrzał się jego strojowi. - Nie mogłeś spać?

- Spałem całkiem nieźle.

- To dobrze. Człowiek nie powinien popadać w bezsenność z powodu przegranej. Zawsze można się odegrać. Nie sądzisz jednak, że to nieco niegrzecznie pokazywać się damie w tak niekompletnym stroju?

- Nie twoja sprawa.

- Chyba że szczególnie mi zależy na wspomnianej damie.

Cecil roześmiał się.

- Szczególnie zależy? Nic ci z niej nie przyjdzie, Darton. Sama mi powiedziała, że kompletnie nic nie ma, choć po prawdzie nie jestem tak do końca przekonany, czy można jej wierzyć.

- Lepiej uwierz. - Stacey dopadł go błyskawicznie, złapał za wyłogi szlafroka i niemal uniósł nad ziemię. - Dżentelmen nie powinien wątpić w słowa damy. - Postawił go na ziemi i otrząpał ręce. - Sugeruję, byś poszedł się ubrać.

Cecil poprawił sponiewierany szlafrok i wyszedł z pokoju. Wicehrabia uśmiechnął się. Ten łajdak był mu winien mnóstwo pieniędzy i z tego względu, jak również z powodu nadziei, że zdoła się odegrać, nie mógł go wyrzucić z domu. Zresztą sir Roland i Augustus Spike również do niego przegrali, choć nie tak dużo, ale i oni nie zechcą, by wyjechał, dopóki nie znajdą sposobu, by legalnie bądź nielegalnie odzyskać pieniądze.

- A więc szczególnie panu na mnie zależy, czy nie tak, mi-lordzie? - Głos Charlotte wyrwał go z zamyślenia.

- To tylko słowa - rzucił. - Słowa, które osiągnęły pożą-dany efekt. Cecil wyszedł.

- Ale pan jest tu nadal.

- Do usług, milady. - Złożył nienaganny ukłon.

- Niczego od pana nie potrzebuję. - Jego interwencja bar-dzo ją ucieszyła, ale to nie znaczy, że pozwoli mu na jakieś fanaberie.

- Nie? Może i nie - mruknął. - Za to ja potrzebuję. Śniada-nia - powiedział z typowym dla siebie kpiącym uśmiechem, którego nigdy nie umiała rozszyfrować.

- W takim razie proszę się częstować. - Wskazała na usta-wiony pod ścianą bufet. - Zaraz każę przynieść panu kawę. A może woli pan gorącą czekoladę albo herbatę?

- Poproszę o kawę, pomoże mi się rozbudzić.

- Gdyby kładł się pan do łóżka, zanim zapieję pierwszy kur, łatwiej byłoby panu zachować przytomność w ciągu dnia.

- Nie mogłem przerwać gry. Byłoby to sprzeczne z zasa-dami dobrego wychowania. - Gdy Charlotte wybuchnęła śmie-chem, zawtórował jej. - Nie chciałbym narazić się gospodar-zowi. To nigdy nie wychodzi na dobre, milady.

Tembr jego głosu zmienił się, zniknęła żartobliwa nutka, mó-wił spokojnie i poważnie, jakby był szczerzy, jakby próbował prze-kazać jej coś między wierszami. Może zamierzał ją nadal uwod-zić? Ale przecież tak naprawdę wcale jej nie uwodził! On tylko się z nią droczył. Pozostali robili to samo. Dla nich była to swoi-sta gra, a on przecież niczym się od nich nie różnił...

Nie rozumiała go. W jednej chwili był nieskazitelnie uprzejmy, a w następnej gburowaty. Czasem troskliwy, za-niepokoiony o jej los, jakby znał jej problemy i współczuł jej

a czasem podły jak pozostali, a nawet gorszy, bo oni nie próbowali przynajmniej jej całować. Zarumieniła się na samo wspomnienie. Jak mogła być tak głupia, by na to pozwolić? Teraz pewnie uważał, że może sobie z nią pozwalać na różne bezeceństwa, a ona nie będzie protestować.

Chciała przejść obok niego, ale złapał ją za rękę.

- Lady Hobart, proszę nie odrzucać mojej przyjaźni. Każdy z nas od czasu do czasu potrzebuje sojusznika.

Odsunęła się od niego.

- Ten dom to nie pole bitwy, milordzie. Nie musimy szukać sojuszników.

- Może ma pani rację, milady. - Skłonił się i puścił jej rękę.

Zdawał sobie sprawę, że stapa po cienkiej linii. Wystarczy jeden fałszywy krok, a Cecil zorientuje się, że Stacey nie przyjechał do niego po to, by grać w karty i flirtować z paniami. Musiał więc udawać, choć wiedział, że jeśli w tej maskaradzie posunie się odrobinę zbyt daleko, to zrobi sobie wroga z lady Hobart, a tego najmniej sobie życzył. Ta kobieta była wyjątkowo odważna i wyjątkowo głupia zarazem, niemniej jednak podziwiał ją. Gdyby spotkali się w londyńskim salonie lub na balu, wymieniliby najpierw parę uprzejmych słów, potem zatańczyliby razem i powoli, krok po kroku, zaczęłyby ją coraz lepiej poznawać. Dowiedziałyby się, z jakiej rodziny pochodzi, z kim jest spokrewniona, gdzie się urodziła, gdzie wychowywała, co lubi, a za czym nie przepada. On z kolei opowiedziałby jej o Anne-Marie, o Julii i o Malcomby Hall, aż wreszcie przekonałyby się, czy ta kobieta jest wystarczająco pociągająca, by rozpocząć poważne starania o jej względy. Teraz nie może być o tym mowy. Znaleźli się w całkiem nienormalnej sytuacji, nie mieli szans na konwencjonalny flirt i salonowe manewry miłosne.

Co o niej wiedział? Była wdową po Grenville'u Hobarcie, starszym synu zmarłego lorda, jej mąż zginął pod Corunną i zostawił ją z dwiema małymi córeczkami. Zamieszkała z teściem, a po jego śmierci znalazła się w kłopotach i choć Hardacre nie zdradził mu istoty owych kłopotów, nietrudno było zgadnąć, w czym rzecz. Jeśli zaś chodzi o jej upodobania, już wiedział, że lubiła porządek i dworne zachowanie, bardzo kochała swoje córki i całym sercem oddawała się edukacji wiejskich dzieci. To wszystko. Jak mógł zakochać się w kobiecie, o której tak niewiele wiedział? A jednak ją pokochał!

Charlotte wybiła mu z głowy dotychczasowe przekonania o kobietach, a szczególnie o ich frywolności. Dzięki niej zapomniał, że obiecywał sobie nigdy nie wstąpić ponownie w związek małżeński, zniknęła też jego awersja do dzieci, a już szczególnie do małych dziewczynek. Czy pozwolił, by współczucie dla niej całkowicie go otumaniło i zaćmiło jasny osąd? Mógł odwrócić się do niej plecami, wyjechać z Parsons End i kontynuować podróż, jakby Ivor wcale nie zgubił podkowy. Mógł znaleźć szkołę dla Julii, zawieźć ją tam i wrócić do domu z miłym poczuciem, że wywiązał się z obowiązku względem córki. Lecz nie był w stanie. Charlotte Hobart odmieniła go, sprawiła, że głębiej wczuwał się w potrzeby innych, wzbudziła w nim poczucie winy wobec Julii. Czy to oznaczało, że przez nią stał się słabszy? On, który zawsze szczylił się żelazną samokontrolą, poczuł, że traci władzę nad sobą.

Niedziela była jedynym dniem, w którym Charlotte mogła uciec na jakiś czas od nieznosnych gości. Wraz z panną Quinn zabierały dzieci na mszę, a ponieważ Cecil i jego znajomi nie uczęszczali do kościoła, więc mogły swobodnie odechnąć i cieszyć się atmosferą spokoju, nabożeństwem i to-

warzystwem innych parafian, którzy zbierali się po mszy, by trochę poplotkować.

Wkrótce stało się jasne, że wystawne przyjęcia i ostry hazard we dworze stały się pożywką dla plotek. Nowi służący roznieśli *po okolicy, co dzieje się w Easterley Manor, mocno* przy tym przesadzając. Z ukradkowych spojrzeń i cichych szeptów Charlotte poznała, że stała się obiektem różnych spekulacji. Czy jaśnie pani akceptuje to, co się tam dzieje? -apytywano. Była przecież wielką dziedziczką ze dworu, więc z pewnością mogła nie wpuścić tych ludzi pod swój dach, gdyby naprawdę ich nie lubiła. I dlaczego przestała uczyć wiejskie dzieci i odwiedzać chorych? Nie mogli uwierzyć, że osoba, na którą zawsze patrzyli z podziwem, tak bardzo się zmieniła.

Oczywiście łatwo by odparła plotki, gdyby powiedziała prawdę, ale to oznaczałoby przyznanie się do własnej bezradności, a na to nie potrafiła się zdobyć. To ona zawsze dawała innym oparcie i pocieszała strapionych, więc nie mogła znieść myśli, że ci biedacy zaczęliby teraz litować się nad nią. Zresztą co by na tym zyskała? Jej potrzeby znacznie przewyższały to, co byliby w stanie jej ofiarować. Potrzebowała funduszu powierniczego swoich córek, a przynajmniej jego części. Ci prości ludzie nigdy by tego nie zrozumieli, bo dla nich Charlotte była bogata. Mieszkała przecież w wielkim domu i miała dość jedzenia.

Wyprostowała się, podniosła głowę i udawała, że nie słyszy szeptów. Witaa znajomych uśmiechem i dobrym słowem, pytała, czy dziecko, które chorowało, już wyzdrowiało, albo czy staruszka nabrała trochę sił. Nie odtrącali jej, ale w ich odpowiedziach wyczuwała pewną rezerwę.

- Czuję się wśród nich jak obca - wyznała wielebnemu Fulleroowi. - Jak niezbyt mile widziana nieznajoma. Może nie



miałam racji, upierając się, że pozostanę w tych stronach, może powinnam jednak zabrać dziewczynki i jechać do stryjecznego dziadka?

- Oni po prostu nie rozumieją, milady. Nie pojmują, że pani, która zawsze się o nich troszczyła, nie może już tego robić. Nic nie wiedzą o świecie ludzi bogatych i regułach dziedziczenia. W ich oczach jest pani tak samo zamożna jak za życia jego lordowskiej mości.

- Wiem... - Nagle dostrzegła Staceyę, który wyłaniał się z mrocznego wnętrza kościoła, więc pośpiesznie pożegnała się z pastorem, zabrała dziewczynki i pannę Quinn, i ruszyła w drogę powrotną.

- Mamo, czy musimy wracać prosto do domu? - zapytała Fanny. - Tak przyjemnie jest na dworze. Już przestałam lubić nasz dom.

- Ja też - poparła ją Lizzie. - Jak dziadek żył, mogliśmy wszędzie biegać, grać w chowanego we wszystkich pokojach, przyglądać się pracy pokojówek i wchodzić do kuchni po smakołyki. Teraz nie wolno nam wychodzić ze swoich pokoiów. Kucharka jest ciągle w złym humorze i nawet Betsy przegoniła mnie wczoraj z korytarza. Powiedziała, że nie mam prawa chodzić po tej części domu. A ja byłam tylko ciekawa tej pani w czarnej peruce i z kropką na policzku. Ona jest podobna do królowej z portretu. Widziałam, jak wujek Cecil wchodził do jej pokoju ubrany tylko w nocną koszulę...

- Lizzie, przecież wiesz, że zabroniłam ci schodzić na dół beze mnie! - zawołała panna Quinn, spoglądając z lękiem na Charlotte. - Zachowałeś się bardzo niegrzecznie.

- Chciałam tylko wiedzieć, co się dzieje.

- Nic się nie dzieje - odparła Charlotte, starając się ukryć niepokój. Jej dzieci, jej najukochańsze córeczki były zagrożo-

ne demoralizacją przez gości szwagra. Musiała je stamtąd zabrać! Wszystkie swoje pieniądze wydała na zatrudnienie dodatkowej służby, zostało jej tylko pięć gwinei pożyczonych od pana Hardacre'a. Jak daleko mogą z tym zajechać? Czy wystarczy na podróż do Hertfordshire, gdzie mieszka lord Falconer? I co czeka ją na końcu drogi? Przyjęcie czy odrzucenie? Minęły lata, odkąd Charlotte korzystała z komunikacji publicznej, a jej dzieci nigdy nie jechały dyliżansem. Jakie były opłaty za podróż, ile kosztował nocleg w zajeździe? Musiałaby dotrzeć najpierw do Londynu i tam przesiaść się do kolejnego dyliżansu. To zajęłoby przynajmniej trzy dni. Z jakimi jeszcze kosztami powinna się liczyć? A przede wszystkim czy taka podróż była bezpieczna? Może lepiej zaczekać jeszcze trochę na wiadomość od pana Hardacre'a? - Możemy pospacerować po plaży - powiedziała do córek.

Skreśliła na ścieżkę biegnącą przez sosnowy las. Dzień był cieplejszy niż poprzednie, wiosna wybuchła wreszcie w całej krasie. Niebo miało odcień bladego błękitu, ciemnozielone morze było spokojne i tylko drobne fale przy samym brzegu świadczyły o tym, że zaczynał się przypływ, który w czasie burzy potrafił być naprawdę niebezpieczny. Morze wyrzucało dość często na brzeg wraki statków i pomniejsze szczątki, wśród których wieśniacy szukali użytecznych przedmiotów. Jakiś czas temu przypływ wyrzucił na plażę topielca, zapewne jakiegoś nieszczęsnego marynarza, bo nikt nie potrafił go zidentyfikować. Tego dnia piasek był jednak czysty i tak złoty jak słońce nad ich głowami.

Dzieci pobiegły przodem i usiadły na ziemi, żeby zdjąć buciki i pończochy, po czym zeszły na plażę i zaczęły szukać kamyczków w wodzie przy brzegu. Charlotte i panna Quinn podążały za nimi powoli.

- Biedactwa - westchnęła Joan. - Przez ostatnie dwa tygodnie były zamknięte jak ptaszki w klatce.

- Wiem, Quinny, ale co zrobiłabyś na moim miejscu? Nie śmiem pozwolić im na bieganie po całym domu.

- Jasne. Jak długo ci obrzydliwi ludzie mają zamiar zostać?

- Nie wiem.

- Czy po ich wyjeździe nasze życie wróci do normy?

- Tego również nie wiem, Quinny. Ale nie sądzę. - Zeszły nad samą wodę i ruszyły spacerkiem wzdłuż linii przypływu. - Mam pewien plan, ale jego realizacja zależy od wielu czynników. Uważam jednak, że rozsądek nakazuje mi opuszczenie Easterley Manor.

- Wyjazd, milady? Ale dokąd?

- Jeszcze nie wiem i błagam, nie wspominaj o tym nikomu. Dopóki całkowicie nie będę pewna swego, nikt nie może o tym wiedzieć.

- Może mi pani zaufać, milady... ale jak stąd wyjedziecie... co się stanie ze wszystkimi, ze służbą, ze mną?

- Dziewczynki są jeszcze małe, więc będę potrzebowała twojej pomocy, Quinny, choć nie wiem, czy zdołam zapłacić ci tyle, co zmarły lord Hobart.

- To nieważne, milady. Ważne, że nie zostanę rozdzielona z moimi aniołkami!

- Aniołkami! - roześmiała się Charlotte. - Spójrz na nie! Zachowują się jak dzikuski, wrzeszczą i ochlapują się wodą! Mają mokre spódnice i rozwiązane wstążki we włosach. Trudno sobie wyobrazić kogoś mniej przypominającego aniołka.

- Och, milady, za bardzo skoncentrowałam się na pani słowach. Pójdę i...

- Nie, Quinny, nie strofuj ich. Tak przyjemnie popatrzeć na ich uszczęśliwione buzie.

Joan pobiegła, by łagodnie upomnieć swe podopieczne, a pogrążona w myślach Charlotte kontynuowała spacer. Łątwo snuć plany, ale jak je zrealizować? Powinna napisać do pana Hardacre a i zapytać, skąd ta zwłoka. Nic tak nie działa na nerwy jak niepewność. Omal nie wyskoczyła ze skóry, gdy nagle padł na nią cień i rozległ się głos:

- Dzień dobry, milady.

Położyła rękę na sercu, nawet przez ubranie czuła jego szaleńcze uderzenia.

- Lord Darton.

- Przepraszam, że panią przestraszyłem. Nie zauważyła pani, że się zbliżam?

- Nie. Byłam zamyślona.

- Zamyślona? A o czym piękna kobieta może rozmyślać w taki cudowny dzień? Bo jest cudownie, prawda?

- Rzeczywiście. - Serce nadal waliło, nie mogła złapać tchu.

- W takim dniu człowiek cieszy się, że żyje.

-Tak.

- Powiedziała to pani bez przekonania. Czy życie tak pani dopiekło, że już nie potrafi pani się uśmiechać?

- To nie życie mi dopiekło, tylko ludzie...

- Do których i ja należę.

Spuściła tylko głowę, ale to wystarczyło mu za odpowiedź. Bez zaproszenia ruszył obok niej. Charlotte szła wpatrzona w morze, by nie patrzeć na niego. Był tak pewny siebie, tak impertynencki, jakby spodziewał się, że wystarczy jeden uśmiech, by padła mu w ramiona. Cóż, nie da mu tej satysfakcji! W piwnicy był... Właściwie jaki był? Dobry czy bezczelny? Bezczelny, uznała. Wziął ją w ramiona i całował, jakby do niego należała. Do nikogo nie należała! Była sama... Komu mogła zaufać?

- Nadal jest pani pogrążona w ponurych myślach. Co tak bardzo panią zajmuje, że staje się pani ślepa na wszystko, co nas otacza?

- Moje myśli to wyłącznie moja sprawa.

- Proszę się nimi ze mną podzielić.

- Nie zainteresują pana.

- Skąd może to pani wiedzieć? - Umilkł na moment. - Niech zgadnę. Pyta pani samą siebie, jak długo zdoła pani wytrzymać z gośćmi szwagra. Zastanawia się pani, czy lord Hobart nie przegra dachu nad pani głową. Rozważa pani, co się z panią stanie. I zadaje sobie pani pytanie, na ile można mi zaufać.

- A może, skoro pan tak mądry, mógłby mi pan odpowiedzieć na te pytania?

Westchnął.

- Powiem, co wiem. Sir Roland i pan Spike najpewniej zostaną tu do czasu, aż lord Hobart zapłaci im należności.

- A jeśli nie zapłaci?

- Zabiorą wszystko, co im wpadnie w ręce: meble, obrazy, ozdoby...

- Ale nie dom?

- Mogą próbować, ale nie są jedynymi wierzycielami lorda.

- To wiem. Nie wiem tylko, jak głęboko pan w tym wszystkim tkwi.

- Mam nadzieję, że wystarczająco głęboko, by pokrzyżować ich plany. - Urwał. - Nie może pani wyjechać, milady? Zdaję sobie sprawę, że to pani dom i zapewne go pani kocha, ale z pewnością nie jest już tu pani szczęśliwa.

- Doskonale pan wie, że nie jestem. Nie rozumiem natomiast, dlaczego pan tu zostaje. Jest pan inni niż tamci. Nie wierzę, że interesuje pana tylko hazard i alkohol. Ani w to, że

umrze pan z głodu, jeśli nie ogra pan mojego szwagra do suchej nitki.

- Taki nędzny gracz, skoro już siada za stołem, zasługuje na to, by wszystko stracić.

- Może i tak, ale pan nie musi zachęcać go do gry.

- Zapewniam panią, że on nie potrzebuje zachęty. Martwię się tylko o panią.

Podniosła na niego wzrok, zaskoczona tymi słowami.

- Dlaczego?

- Bo uważam, że los dał pani marną kartę.

Rozbawiło ją to nawiązanie do gry.

- Nie jestem hazardzistką.

- Nie? Wydaje mi się, że wszyscy od czasu do czasu podejmujemy grę z losem. To nie muszą być karty czy kości, czasami hazardem są podejmowane przez nas decyzje. Przyjęcie założenia, że towarzystwo zebrane w tym domu wyjedzie, nie czyniąc żadnej szkody, a Cecil zmieni się w człowieka honoru, to czysty hazard...

- Raczej wiara w gwiazdkę z nieba - weszła mu w słowo.

- Więc co zamierza pani zrobić? - zapytał z powagą.

Zatrzymała się i wreszcie spojrzała mu prosto w twarz. Albo był genialnym aktorem, albo w jego brązowych oczach malowała się prawdziwa troska. Czyżby mu na niej zależało? Och, jak bardzo pragnęła, by stanął po jej stronie, by ją zrozumiał. Marzyła, by wesprzeć się na nim, jak niegdyś wspierała się na Grenville'u. Na swym mężu. Od jego śmierci nie spojrzała na żadnego mężczyznę tęsknym wzrokiem. Aż do tej chwili. Chyba nie zakochała się ponownie, na Boga? Nie, powiedziała sobie natychmiast, po prostu czuła się samotna, opuszczona i potrzebowała ramienia, na którym mogłaby się wypłakać. Lecz nie wolno jej płakać!

Gdy delikatnie pogładził palcem jej policzek, przegrała. Poczwała, że łyzy spływają jej po twarzy.

- Nie mogę patrzeć na pani udrekę, milady.
- To nie może być prawdą... Przecież należy pan do tych, którzy przyczyniają mi trosk.
- Nie jest to moim zamiarem, muszę jednak odgrywać swoją rolę.

- Dlaczego?
- Właściwie nie wiem. Może gra w karty sprawia mi taką samą przyjemność jak pozostałym. A może poczułem niechęć do Cecila Hobarta i jego kompanów, bo nie przepadam za ludźmi, którzy udają sympatię tylko po to, by mnie oskubać. Lub może dlatego, że nie odbyliśmy jeszcze rozmowy o edukacji.

- O edukacji?
- Zapomniała pani? Przedstawiła mi pani swe poglądy na temat nauczania. Raczej niespotykane poglądy. Stwierdziła pani, że dzieci powinny się uczyć, by zrozumieć, że życie to nie tylko praca, ale i przyjemność...

Uśmiechnęła się na to wspomnienie. Jak bardzo się oburzyła, gdy ośmielił się do niej odezwać, choć nie został jej przedstawiony. Teraz wydawało jej się to zupełnie nieważne w porównaniu z tym, co się potem wydarzyło.

- To prawda. A pan się z tym nie zgadza.
- Ani się nie zgadzam, ani zgadzam. Byłem tym po prostu zainteresowany.
- Dlaczego?
- Mam córkę, lady Hobart, córkę, która bardzo potrzebuje nauki.
- Nie wiedziałam. Myślę jednak, że pańska córka ma guwernantkę, nauczycieli muzyki i tańca, o czym moje biedne, wiejskie dzieci nie mogą nawet pomarzyć.

- Dlatego tu pani została? Z ich powodu?
- Częściowo. Marzę o otwarciu szkoły.
- Przecież już ma pani jedną.
- Chodzi mi o prawdziwą szkołę, z uczniami, których rodzice płacą czesne. Gdyby lord Hobart nie wrócił z Indii, poprosiłabym go o zgodę o otwarciu takiej szkoły we dworze. Mogłabym mu nawet coś płacić za wynajem budynku. - Westchnęła. - Tak się jednak nie stało, muszę więc rozejrzeć się za innym lokum.
- Wiejskie dzieci nigdy nie będą w stanie zapłacić tyle, by pokryć koszty - zauważył Stacey. - Chyba że nie powiedziała pani prawdy lordowi i dysponuje własnymi środkami, z których zamierza pani subsydiować szkołę.
- Miałam na myśli dzieci takich rodziców jak pan, których stać na czesne.
- A ma pani odpowiednie kwalifikacje, by uczyć takie dzieci?
- Mogę uczyć w młodszych klasach. Dla bardziej zaawansowanych zatrudniłabym kogoś innego.
- Rozumiem. A czy dzieci z bogatych domów również chce pani przekonywać, że życie to nie tylko ciężka praca? One nie mają pojęcia o pracy. Całe ich życie to nieróbstwo i poszukiwanie rozrywki. Klasa szkolna jest jedynym miejscem, w którym oczekuje się od nich pewnego wysiłku, a ponieważ nie widzą w tym sensu, buntują się. - Roześmiał się. Miał tak miły śmiech, że Charlotte zapomniała na chwilę o wzajemnych animozjach i nieco się odprężyła. - Wiem coś o tym!
- W takim razie należy im pokazać korzyści płynące z nauki. Przekonać, że zdobywanie wiedzy może sprawiać przyjemność.
- Pani obecni uczniowie najwyraźniej tę lekcję opanowali na piątkę.



- Rzeczywiście są chętni do nauki. - Zamilkła na chwilę, po czym dodała: - Rozumiem, że pan nie lubił swojej szkoły.

- Nie, panowała w niej bardzo ostra dyscyplina. Nie spotkało mnie tam, co prawda, nic złego, ale dla Julii chciałbym jednak czego innego.

- Julia to pańska córka?

- Tak. Ma trzynaście lat i jest rozpuszczona jak dziadowski bicz. Miałem nadzieję, że szkoła ją jakoś okiełzna.

- Córka to nie dzikie, rozbrykane zwierzę, milordzie.

- Moja owszem.

- Jak pan może tak mówić?! To krew z pana krwi, kość z pana kości. To pan uczynił ją taką, jaka jest.

- Bardzo rzadko ją widywałem. Służyłem pod Wellingtonem, a Julię zajmowali się moi rodzice. Więc jeśli ktoś tu ponosi winę, to raczej oni.

- A może, lordzie Darton, zbyt wiele oczekuje pan i od niej, i od nich.

- Jak to?

- Jest pan dla Julii obcym człowiekiem, który, jak się domyślam, zaczął wprowadzać pewne rygory i domagać się, by były przestrzegane. I to nie jako kochający ojciec, a jak sierżant wobec rekrutów, których trzeba nauczyć dyscypliny.

- Posunęła się pani za daleko, milady. Nie może mnie pani krytykować, nie znając wszystkich okoliczności. Moja cierpliwość się wyczerpała.

-I uważa pan, że najlepszym rozwiązaniem będzie wysłanie córki do szkoły?

- Tak, ale musi to być odpowiednia szkoła. Kiedy spotkaliśmy się na drodze, szukałem właśnie takiej placówki.

- W Parson s End? Hm, ciekawe... I przypadkiem trafił pan tutaj na jaskinię gry. A tak się składa, że akurat marzył pan

o wypróbowaniu swoich sił przy stoliku. Pańska córka, pozbawiona ojcowskiej opieki przez prawie całe życie, może przecież jeszcze trochę poczekać, a pan przez ten czas pofolguje troszeczkę swej słabostce. Żle pana oceniłam, milordzie. Myślałam, że ma pan odrobinę ludzkich uczuć, ale się myliłam.

Był naprawdę wściekły. Odkąd wyrósł z krótkich spodenek, nikt nie ośmielił się tak do niego odezwać. W szkole był prowodyrem wszelkich psot, a w armii żaden żołnierz nie odważyłby się go krytykować. Poczuli się, jakby lady Hobart wymierzyła mu cios w splot słoneczny i posłała na deski. Nigdy nie musiał tłumaczyć się ze swych poczynań i nie zamierzał robić tego teraz. Zatrzymał się, odwrócił ku niej i skłonił.

- Kontynuowanie tej rozmowy uważam za bezcelowe, milady - oświadczył. - Życzę pani miłego dnia.

Patrzyła, jak odchodził wielkimi krokami, kopiąc ze złością piasek i przełykając grubsze słowa. Posunęła się za daleko i straciła jedyne potencjalnego sprzymierzeńca, a przecież, gdyby właściwie to rozegrała, mogła zdobyć pierwszą uczennicę... Roześmiała się gorzko.

- Mamo, opowiedz nam dowcip! - zawołała Lizzie. Dziewczynki zbliżyły się ku niej skrajem morza, za nimi podążała pan-na Quinn. - Czy wicehrabia Darton mówił coś zabawnego?

Przytuliła dziewczynki, uśmiechając się przez łzy.

- Myślałam o tym, jaki wspaniały mamy dzień. Wreszcie poprawił mi się humor po tylu tygodniach niepogody. Niestety musimy już wracać.

Z powrotem do jaskini nieprawości. Powiodła córki w stronę ścieżki. Dokąd je to zaprowadzi?



## Rozdział piąty

W pokoju Charlotte wszystko było porozwalane. Ktoś go dokładnie przeszukał. Powyrzucane z szaf i szuflad ubrania walały się po podłodze w nieładzie. Z łóżka ściągnięto pościel i zerwano materac. Kasetka na biżuterię ziała pustką, zniknął nawet pierścionek zaręczynowy. Zabrano również pięć gwinei z sakiewki. Charlotte została dosłownie bez grosza.

Sprawy przybierały coraz gorszy obrót, a list od pana Hardacre'a nie nadchodził, więc Charlotte zaczynała dochodzić do wniosku, że należy zapomnieć o założeniu szkoły i wszelkie posiadane środki przeznaczyć na wyrwanie się wraz z dziećmi z tego domu i podróż do stryjecznego dziadka, nawet ryzykując jego niezadowolenie. Lecz teraz nawet na to nie miała pieniędzy. Kto mógł ją okraść? Do służby miała zaufanie; zresztą służący nie zostawiłby takiego bałaganu po kradzieży. Zabrałby wartościowe przedmioty i zatarłby ślady. Lecz ten, kto to zrobił, nie przejmował się, czy ktoś się o tym dowie. Cecil rozpaczliwie potrzebował pieniędzy. Odwróciła się na pięcie i zeszła na dół, by go poszukać. Gniew kazał jej zapomnieć o ostrożności.

Było niedzielne popołudnie, w większości domów czas

serdecznej zadumy, ale nie w Easterley Manor, gdzie gra słu-  
 już w najlepsze. Charlotte nigdy dotychczas nie wchodziła  
 do pokoju podczas gry, więc wszyscy podnieśli na nią zdu-  
 mione spojrzenia. Otworzyła drzwi gwałtownym szarpnię-  
 ciem i wtargnęła do środka z łopotem rozwianych spódnic.  
 Stół nakryty był zielonym suknem, na którym leżały rozrzu-  
 cone karty i serty monet, niektóre przy łokciach graczy, nie-  
 które na środku stołu, inne przyciskały podpisane weksle. Jej  
 wzrok przyciągnęły jednak nie pieniądze, a perły. Rzuciła się  
 do przodu i złapała swój naszyjnik.

- To moje! Ukradzione z mojego pokoju.

Cecil wydarł je z jej ręki.

- Ukradzione mojemu ojcu, chciałaś powiedzieć - wark-  
 nał. - Ukradziona część mojego spadku. Odzyskałem po pro-  
 stu swoją własność. - Podniósł je wysoko, żeby Charlotte nie  
 mogła ich dosięgnąć. - O nie, moja droga. Lepiej o nich za-  
 pomnij.

- Dostałam je od mojego ojca, gdy jeszcze byłam panną.

- Dlaczego miałbym w to wierzyć? Moja matka miała takie  
 same. Jestem pewien, że to jej własność. Co zrobiłaś, by mój  
 ojciec ci je dał?

Charlotte usłyszała śmiech jednej z kobiet. Odwróciła się  
 z oburzeniem, by zmierzyć wzrokiem ich wszystkich. Nie do-  
 strzegła ani jednej przyjaznej warzy. Nawet wicehrabia Darton,  
 który niedawno zapewniał ją o swej trosce, siedział ze znużoną  
 miną, jakby domowe sprzeczki wcale go nie obchodziły.

- Wziąłem, co moje - ciągnął Cecil. - Nie powinnaś tego  
 przede mną chować, skoro byłem tak łaskawy, że pozwoliłem  
 ci wraz z przychówkiem pozostać pod moim dachem. A teraz  
 wyjdź stąd. Przeszkadzasz w grze.

Jednak Charlotte jeszcze nie skończyła.

- A pieniądze? Miałam pięć gwinei...
- Pięć? Przecież zapewniałaś, że nic nie masz. Wiedziałem, że kłamiesz.
- To było wszystko, co posiadałam.
- Wydarło mojemu ojcu, kiedy leżał na łożu śmierci, jestem tego pewien.

Zaniemówiła z oburzenia. Patrzyła na niego z zaciśniętymi pięściami.

- Ja dałem jej te pieniądze - wycodził leniwie Stacey, z trudem powstrzymując wybuch gniewu.

- Wielki Boże, po co, człowieku? - zainteresował się Augustus Spike. - Tylko mi nie mów, że zdołałeś stopić tę bryłę lodu.

- Przecież istnieje zwyczaj nagradzania służby gospodarza - stwierdził Stacey spokojnie, choć musiał zmobilizować całą siłę woli, by nie trzasnąć tego nikczemnika w twarz. Nie odważył się spojrzeć na lady Hobart. Ależ musiała go teraz nienawidzić! Lepiej jednak zaliczyć ją do służby domowej, niż narażać na znacznie obrzydliwsze określenia.

- Oczywiście, jeśli jesteśmy zadowoleni z ich usług - stwierdził Augustus Spike ze znaczącym uśmiechem.

- Myślisz, że w to uwierzę? - zapytał Cecil, ignorując słowa Augustusa.

Stacey wzruszył ramionami.

- Nie obchodzi mnie, w co wierzysz. Uważam jednak, że powinieneś oddać pani pieniądze.

- Dobrze wiesz, że już ich nie mam. Przepadły w ostatnim rozdaniu. A jeśli nie wrócimy do gry, to nigdy się nie odegram. Wydaje mi się, że teraz twoja kolej, Reggie.

Charlotte zrozumiała, że niczego nie osiągnie, nie chciała również narażać się na kolejne upokarzające oskarżenia i insynuacje, więc odwróciła się i wybiegła z pokoju.

Stacey odliczył pięć gwinei z leżącego przy swoim łokciu stosiku i ruszył za nią.

- Doliczę je do długu, jaki masz u mnie, Hobart. - Wyszedł z pokoju.

Dogonił ją dopiero na drugim podejście schodów. Śpieszyła się tak bardzo, że musiał złapać ją za rękę i odwrócić twarzą do siebie, by ją zatrzymać. Położył jej na dłoni monety.

- To pani własność - powiedział.

Och, jakże pragnęła cisnąć mu je w twarz wraz z najgorszymi obelgami, jakie tylko przychodziły jej do głowy. Nie był w niczym lepszy od pozostałych. Nazwał ją służącą, sugerował. .. Nie, to zbyt okropne. Naprawdę tak o niej myślał? Nie widział w niej damy, lecz służącą, która poślubiła dziedzica tytułu. Mogła mu udowodnić, jak bardzo się mylił, powiedzieć, że wywodzi się z rodu Falconerów i zobaczyć wówczas jego minę, ale po co? Nigdy nie liczyła na magię nazwiska i nie zamierzała teraz jej wykorzystywać. Co gorsza, nie mogła pozwolić sobie nawet na tak drobną satysfakcję, jaką było odmówienie przyjęcia pieniędzy, ponieważ rozpaczliwie ich potrzebowała. Zacisnęła monety w dłoni... i nagle cała frustracja i gniew wyładowały się w ciosie, który dosięgł twarzy wicehrabiego.

Opanował się błyskawicznie.

- Czy w ten właśnie sposób zwykła okazywać pani wdzięczność? - zapytał. - Dla pani zrobiłem sobie właśnie wroga z Cecila Hobarta, jeśli nie z całego towarzystwa.

- Nie prosiłam pana o to. - Żałowała, że go uderzyła. Brzeg jednej z monet rozciął mu lekko policzek. Nigdy dotychczas nie zdarzyło się, by tak bardzo straciła panowanie nad sobą, by kogokolwiek uderzyła. Nie powinna była tego zrobić,

szczególnie że wicehrabia Darton, przy wszystkich swoich winach, próbował jednak jej pomóc. Lecz nie zdołała zmusić się do przeprosin.

Uśmiechnął się smutno i pomasaował szczękę.

- Ma pani niezły cios, milady, ale powinna być pani wdzięczna losowi, że jestem dżentelmenem i nie oddałem.

- Och, proszę odejść! Niech pan wraca do gry. Niech mnie pan zostawi. - Zaczęła płakać. Łzy spływały jej po policzkach, słone, niepowstrzymane. Jeszcze nigdy nie czuła się taka nieszczęśliwa, taka samotna. Znalazła się w nędzy i wymyślała temu człowiekowi, jakby to była jego wina. Odwróciła się, nie dość jednak szybko, by nie zauważył jej rozpacz. Natychmiast ścisnęło mu się serce, serce, które należało już do niej. Wiedział, że choćby nie wiadomo jak się pokłócili, choćby nie wiadomo kim była w przeszłości - obojętnie, czy pokojówką jakiejś damy, co tłumaczyłoby jej doskonałe maniere, czy córką dorobkiewicza, który wydał majątek na wykształcenie jej, czy też guwernantką - on ją kochał i będzie ją kochał aż do końca swoich dni. Anne-Marie, przy całym swym arystokratycznym pochodzeniu i wyniosłych manierach, nie miała i choćby cząstki charakteru tej kobiety, która teraz odwróciła od niego twarz, by nie zauważył łez.

Położył jej rękę na ramieniu i odwrócił ją ku sobie. Charlotte opuścił duch walki, pozwoliła na to bez sprzeciwu.

- Nie płacz, najdroższa, proszę. Nie chciałem doprowadzić cię do łez.

Te czułe słowa kompletnie ją rozbroiły. Przytuliła się do niego, a on bez słowa otoczył ją ramionami. To nie był czas na rozmowy. Zmoczyła łzami przód jego kamizelki, ale nie dbał o to. Nie miał już najmniejszych wątpliwości, że pokochał tę kobietę. Kochał jej ducha, jej współczucie dla biednych, jej

rozsądek, jej niezależność i odwagę. Kochał jej piękną twarz i miękkie, giętkie ciało, tak ufnie przytulone teraz do niego. Lecz jaką pomoc mógł jej zaoferować? Wyjął z kieszeni chusteczkę i otarł łzy z jej policzków.

- Dziękuję - wyszeptła. - Przepraszam, że pana uderzyłam.

- A ja przepraszam, że jeszcze zwiększyłem pani stres. Nie chciałem tego, proszę mi uwierzyć. Pragnąłem tylko pani pomóc.

Zdobyła się na drżący uśmiech.

- Pomógł mi pan. Odzyskał pan moje pieniądze.

- Z pięcioma gwineami zbyt wiele pani nie zwojuje. To naprawdę wszystko, co pani posiada?

- Tak, nie licząc biżuterii. Jest moja, dostałam ją od ojca i męża. Cecil nie ma do niej żadnego prawa.

- Z pewnością, ale jest w rozpaczliwej sytuacji. - Podniósł jej głowę, by spojrzeć na lśniące od łez oczy. - Czuje się pani lepiej? Muszę wracać do gry. To jedyny sposób, by... - Puścił ją i cofnął się. Nie chciał jej zostawiać, wolałby nadal trzymać ją w ramionach, zdawał sobie jednak sprawę, że jeśli zaraz nie wróci do gry, to straci całą przewagę, jaką dotychczas udało mu się zyskać.

- Co to znaczy: „jedyny sposób”? - zapytała, ale on już zbiegł po schodach.

Weszła do swojego pokoju, słaniając się ze zmęczenia spowodowanego troskami i bezsennością. Schowała pieniądze do kieszeni spódnicy, którą uznała za jedyne bezpieczne miejsce, i zaczęła powoli, automatycznie porządkować pokój. Była otępiała. Nie widziała przed sobą żadnej drogi ratunku.

Gra trwała przez cały dzień i sporą część nocy. Gracze przerywali tylko po to, by zażądać czegoś do jedzenia i więcej wina, ale prawie nie odchodzili od stołu. Im bardziej Ce-



cil przegrywał, tym więcej pił; im więcej pił, tym bardziej był otumaniony i tym więcej tracił. Stacey pozostał trzeźwy i koncentrował się na kartach jak nigdy dotąd. Robił to dla Charlotte Hobart, kobiety, którą kochał, jak nigdy nie kochał żadnej innej, i której, jeśli szczęście mu dopisze, odda wszystko, co wygra. Powinna mieć tę swoją wymarzoną szkołę. Julia będzie się w niej uczyła, a z czasem, kiedy córka szczęśliwie się ustakuje, przyjdzie pora na właściwe konkury i starania o względy lady Hobart. Nie obchodzili go jej przodkowie, to ją kochał, a nie jej rodzinę. Ta perspektywa przywołała lekki uśmiech na jego usta. A jeśli przegra? Nie chciał nawet o tym myśleć, więc jeszcze mocniej skupił się na grze.

O północy Cecil rzucił karty.

- Panowie, leżę na obie łopatki. - Pieniądze i biżuteria przepadły, więc sięgnął po pióro, żeby podpisać kolejny papier dłużny.

- Żadnych więcej weksli - powiedział sir Roland.

- Nic innego nie mam.

- A co z twoim spadkiem? - zapytał Reginald Comins. - Mówiłeś, że jak tylko prawnicy się z tym uporają, będziesz bogatym człowiekiem.

- Widzę, że nie zna pan postanowień testamentu zmarłego lorda Hobarta, panie Comins - roześmiał się Stacey.

- Trzymaj język za zębami, Darton - syknął Cecil.

- Proszę nam zdradzić postanowienia tego testamentu, w którym wszyscy pokładaliśmy tyle nadziei - wtrąciła się jedna z kobiet.

- Hobart odziedziczył Easterley Manor i wszelkie dochody, jakie zdoła wycisnąć z tej ziemi - odparł Stacey - ale ani grosza gotówki. Wszystkie pieniądze zostały złożone na fundusz powierniczy dla dzieci.

- Czyich dzieci?
- Naszego gospodarza i lady Hobart.
- Cecil nie ma dzieci! - zawołała Adelia. - Nie masz, prawda, Cecilu? Bo, jak rozumiem, to ma być legalne potomstwo?
- Zamierzam ożenić się w najbliższym czasie.
- Nasze gratulacje. A kim jest szczęśliwa wybranka? I kiedy zaślubiny?

- Wkrótce.

- Wkrótce? Przecież minie kolejny rok, zanim doczekamy się rezultatu - przerwał Henry Corton. Zbił majątek na handlu niewolnikami i był niebывale otyły. - Myślisz, że tak długo będziemy czekać na spłatę długów? A jeśli ta dama okaże się bezpłodna?

- Wydaje mi się, drodzy przyjaciele, że zostaliśmy oszukani - dodał Reginald Comins. - I ja ze swojej strony zamierzam zredukować swoje straty i wyjechać stąd.

Wszyscy pozostali, jeden po drugim, zabierali swoje wygrane lub podpisywali weksle, przeważnie na korzyść sir Rolanda lub Stacey, i opuszczali pokój. Tylko Stacey, sir Roland, Augustus i lady Grey nie ruszyli się z miejsca.

- Wyjdiesz za naszego tu obecnego przyjaciela, Adelio? - zapytał sir Roland. - Dasz mu dziedzica...

- Dlaczego miałabym się zgodzić?

- Bo jeśli wicehrabia ma rację, to jedyny sposób, by dobrać się do tego spadku. - Uśmiechnął się. - To daje twojemu dziecku prawo do majątku, choć jestem pewien, że zdołasz znaleźć sposób, by położyć na nim łapę.

- Po to, żeby oddać go tobie? A co ja będę z tego miała? Nie, znajdź sobie inną ofiarę. Ja wyjeżdżam, jak i pozostali. - Zabrała ze stołu dziesięć gwinei, które wygrała, i opuściła pokój, zostawiając Cecila na łasce jego dwóch głównych wierzycieli

oraz Stacey, który nie przestawał się uśmiechać i pobrzękiwać wygranymi monetami.

- W takim razie nie pozostaje ci nic innego, jak poślubić tę lodową królową - oblesnie poradził Cecilowi Augustus. - Wiemy przynajmniej, że nie jest bezpłodna.

- Nie mogę się ożenić z wdową po bracie, to zabronione.

- W takim razie ja to zrobię - oznajmił sir Roland. - Chyba zdołam ją trochę rozgrzać.

- Do tego będzie potrzebna zgoda tej damy - odparł Stacey lakonicznie, próbując nie pokazać po sobie wściekłości.

- Sądzę, że zdołam ją namówić, jeśli będzie to oznaczało ratunek dla jej ukochanego domu i córeczek. Ładne z nich bestyjki.

Spike skrzekliwie zarechotał.

- Jakoś nie widzę cię w roli głowy rodziny, Roly, mój przyjacielu. Nawet dla fortuny.

- Nie ma żadnej fortuny - powiedział Stacey spokojnie. Twardo trzymał się w ryzach, choć mało brakowało, a przyłożyłyby solidnie wszystkim trzem obwiesiom. Zdawał sobie jednak sprawę, że postąpiłby wyjątkowo głupio. We trzech pokonaliby go bez trudu, a jaki wówczas byłby z niego pożytek dla Charlotte i jej córek?

- A skąd wiesz? - Obaj mężczyźni zwrócili się ku niemu.

- Adwokat lorda Hobarta jest również moim prawnikiem, więc mi powiedział. To drobna sumka. Cecil zrujnował ojca wiele lat temu.

Zwrócili się wszyscy ku lordowi Hobartowi, który skulił się pod ich spojrzzeniami.

- To prawda?

- Nie, nieprawda! On kłamie. To wielka fortuna. Czekam tylko, aż ten cholerny prawnik obali testament. Powiedział, że to nietrudne, więc nie potrwa długo.

Przenieśli spojrzenia na Stacey. Nie wiedzieli, komu wierzyć.

- Odkupię od was weksle Hobarta - rzucił, widząc ich wahanie. - Za połowę nominalnej wartości.

Augustus Spike roześmiał się.

- Dlaczego mielibyśmy to zrobić, skoro mamy szansę odzyskać dług w całości?

- Naprawdę pan sądzi, że zostaniecie spłaceni w całości? - zapytał Stacey. - Jesteście gotowi się o to założyć? - Wypuścił z dłoni monety, które rozbiegły się po stole. - To i jeszcze trochę za wasze weksle. Lepszy wróbel w garści, jak wam wiadomo.

- Nie - rzucił Augustus. - Gra jeszcze się nie skończyła. On nadal ma dom.

- Nie mogę go postawić. - Cecil był szary na twarzy, w jego oczach błysnęło szaleństwo. Wciąż wierzył, że zdoła się odegrać.

Stacey obserwował ich uważnie. Zdawał sobie sprawę, że jeżeli gra nie zostanie przerwana, to on również będzie zmuszony w niej uczestniczyć. Nie mógł opuścić Easterley Manor wraz z innymi i zostawić Charlotte własnemu losowi. Czy zgodziłaby się z nim wyjechać? Wątpił. W jej oczach był niewiele więcej wart od reszty kompanii. To, że pozwoliła się pocałować i płakała w jego ramionach, oznaczało tylko tyle, że nie miała nikogo innego, a on przypadkiem znalazł się w pobliżu. Jeżeli właściwie oceniał jej charakter, to już zaczynała żałować chwili słabości.

- Milady, milady, kazali zaprzęgać do swoich powozów! - Zasłony w oknach zostały rozsunięte i pokój zalało światło słoneczne. Charlotte usiadła, mrugając powiekami. Miała Zapuchnięte oczy i otumaniony umysł, na pewno źle zrozumiała słowa panny Quinn.

- Która godzina, Quinny?

- Dziesiąta, milady. Ci okropni ludzie wyjeżdżają! Słyszałam, jak jeden z nich kazał zaprzęgać.

Dziesiąta! Pamiętała, że była całkiem przytomna, kiedy zegar wybił drugą, a potem trzecią nad ranem. W końcu jednak płacz ukołysała ją do snu. Odrzuciła kołdrę i wstała.

- Pomóż mi się ubrać. Muszę to zobaczyć na własne oczy.

Pół godziny później, umyta i ubrana w suknię z czarnego jedwabiu, z włosami okrytymi czarną koronkową narzutką, dostojnie zeszła na dół głównymi schodami. Frontowe drzwi były szeroko otwarte, a służba ładowała do dwóch powozów sterty kufrow i pudeł. Właściciele bagaży snuli się w pobliżu, wciągali rękawiczki, poprawiali czepki i kapelusze.

Do Charlotte podeszła lady Grey.

- A, lady Hobart, zeszła pani, żeby nas wyekspediować. Wyjeżdżam z państwem Comins. Jednak nie ma tutaj niczego wartościowego.

- Życzę państwu miłej podróży.

- Raczej „A idźcie wreszcie do diabła!” - Zachichotała, a ponieważ Charlotte milczała uparcie, dodała: - Nie mam do pani pretensji. I nie zazdroszczę. Cecil Hobart to najgorszy łajdak, jakiego znam. Może go pani sobie wziąć. - Odwróciła się, bo podeszła jej pokojówka. - Wszystko już spakowane? W takim razie w drogę.

Charlotte obserwowała ich odjazd. Szybko zauważyła, że nie było wśród nich wicehrabiego Dartona, sir Rolanda Bentwata i pana Spike'a. Zwróciła się do Fostera, który nadzorował pakowanie bagaży.

- Czy pozostali również wyjechali?

- Nie, milady, leżą jeszcze w łóżkach. Gra przeciągnęła się do świtu.

Więc nie wszyscy ich opuścili. Ci, którzy pozostali, będą grali tak długo, aż odbiorą Cecilowi wszystko, nawet dom. A co wówczas? Woląta nawet nie wyobrazić sobie Easterley Manor w rękach sir Rolanda czy pana Spike'a. W rękach lorda Dartona również nie, choć z tej trójki on jeden dałby jej zapewne czas na poszukanie sobie nowego lokum.

Powłokła się do malutkiego saloniku przy kuchni, który w dawnych, dobrych czasach należał do gospodyni, a w nieodległej przeszłości w nim właśnie Charlotte ustalała z panią Evans menu i wydawała polecenia służbie. Pokoik był niewielki, przytulny i Cecil nigdy do niego nie zaglądał. Musiała w spokoju pomyśleć.

Stała przy oknie, wpatrzona niewidzącym wzrokiem w kuchcika, który maszerował przez podwórze z wiadrem odpadków dla kurczaków, głęboko zamyślona nad swym niepewnym losem, gdy nagle usłyszała delikatne pukanie do drzwi.

- Proszę. - Była przekonana, że zobaczy panią Evans.

W drzwiach nie stanęła jednak kucharka, a Stacey Darton. Miał na sobie strój do konnej jazdy. Serce Charlotte mocniej zabiło. Czyżby jednak wyjeżdżał, podobnie jak pozostali? Może ograł Cecila ze wszystkiego i zostawiał ją na pastwę losu? Czy przyszedł się pożegnać?

- Witam, lordzie Darton. - Nie zdołała ukryć drżenia głosu. Aż do tej chwili, gdy spodziewała się go utracić, nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo zaczęła na nim polegać, jak liczyła, że będzie powściągał ekscesy jej szwagra i gości. Jeśli Darton wyjedzie, będzie całkowicie zdana na ich łaskę. A może chodziło o coś więcej? Może pragnęła, by został również z innych powodów, z głęboko skrywanych, do których dotychczas nie

chciała się przyznać, a które teraz gwałtownie domagały się ujawnienia? Wzięła się w garść, wyprostowała i spojrzała mu prosto w oczy. - Co mogę dla pana zrobić, milordzie?

Skłonił się. Wyglądała na wyczerpaną, czemu trudno się dziwić.

- Dzień dobry, milady. Przepraszam, że przeszkadzam, ale chcę pani coś oddać. - Podsunął jej niewielki woreczek z ak-samitu, ale ponieważ Charlotte nie wyciągnęła po niego ręki, więc wysypał zawartość na przykryty obrusem stół. Poznała swe naszyjniki, broszki i pierścionek zaręczynowy.

Była głęboko poruszona, ale tylko głośno wciągnęła powietrze. Marzyła, by wziąć klejnoty do ręki, coś ją jednak powstrzymywało, może poczucie przyzwoitości, a może duma...

- Wygrał je pan w karty, milordzie. A więc należą do pana.

- A ja chcę je pani ofiarować.

- Więc to właśnie miał pan na myśli, mówiąc, że to jedyny sposób? - szepnęła.

- Tak.

- Cecil jest kompletnie zrujnowany?

- Owszem.

- Przegrał wszystko do pana?

- Ja wziąłem biżuterię, natomiast głównymi wierzycielami nadal są sir Roland i pan Spike.

- Więc muszę koniecznie przystąpić do realizacji moich planów. - Włożyła biżuterię z powrotem do woreczka z ak-samitu. - Nie wiem, jak panu dziękować. Dzięki nim będę w stanie wpłacić zaliczkę za wynajem domu.

- Chyba ich pani nie sprzeda? Przecież mają dla pani ogromną wartość sentymentalną.

- Nie mogę sobie pozwolić na sentymenty, milordzie. Muszę pojechać do Ipswich i dostać za nie, ile się tylko da, a po-

tem rozejrzeć się za domem dla siebie, córek i tych spośród służby, którzy będą chcieli ze mną odejść. Muszę również zrobić na życie. Szkoła to dla mnie jedyna możliwość.

Przyjrzał jej się uważniej. Była niemal na granicy załamania, troska zaćmiła jej oczy, ramiona pochyliły się, jakby przygięte wielkim ciężarem. Czy powinien odważyć się otworzyć przed nią serce? Czy wyznać: „Kocham panią i pragnę się panią zaopiekować, żeby nie musiała się już pani o nic martwić. Pragnę, by została pani moją żoną”. Czy zdołałby ją przekonać? No i pozostawał nadal nierozwiązany problem Julii, dla którego opuścił dom ponad dwa tygodnie temu. Problem ten zszedł potem na drugi plan, teraz jednak domagał się załatwienia. Czy mógł stanąć przed córką z nową żoną u boku, zamiast znaleźć jej dobrą szkołę? Julia natychmiast znenawidziłaby Charlotte, chyba że spotkałyby się w zupełnie innych okolicznościach...

- Milady. - Ujął jej dłonie. Ten gest był tak naturalny, że nie cofnęła rąk. - Proszę pozwolić, bym to za panią załatwił.

- Co?

- Zamienił pani biżuterię na gotówkę. Znam pewnego człowieka. On da pani dobrą cenę, lepszą, niż gdyby załatwiała to pani sama.

Miał rację. Nie znała nikogo i byle łądak mógł ją oszukać, a jednak wahała się.

- Nie wiem, co powiedzieć, milordzie.

- Ufa mi pani?

Spojrzała w jego brązowe oczy i zrozumiała, że rzeczywiście mu ufa. I że go kocha. I że jeśli zgodzi się, by to dla niej zrobił, to go nie straci, bo kiedy załatwi sprawę, będzie musiał do niej wrócić.

- Tak, milordzie, ufam panu, ale nie śmiałam pana fatygo-



wać. Pewnie śpieszno panu zająć się własnymi sprawami. Córka będzie się zastanawiać, co się z panem stało. Nie rozumiem, dlaczego tak długo tu pan został.

- Nie rozumie pani? - zapytał cicho.

- Dla hazardu. Mówił pan, że pociąga pana tak samo jak pozostałych.

Ta odpowiedź uświadomiła Staceyowi, że jeszcze nie do końca ją do siebie przekonał i za wcześnie na otwarcie przed nią serca.

- Rzeczywiście, ale to nie powód, by nie pomóc kobiecie w trudnej sytuacji... Proszę pozwolić, bym to dla pani zrobił. Dama, która podróżuje samotnie ze znaczną sumą pieniędzy, jest łakomym kąskiem dla wszelkiej maści nikczemników, a ja mogę przecież przy okazji załatwić własne sprawy.

- W takim razie z całego serca dziękuję. - Aksamitny woreczek wrócił w jego ręce.

Ich dłonie zetknęły się... i Stacey pocałował ją w czoło. Nie było w tym nic niestosownego, lubieżnego. Charlotte nie śmiała łudzić się nadzieją, że ten pocałunek mógł oznaczać coś więcej niż tylko troskę i współczucie z powodu tarapatów, w jakich się znalazła.

- Dziękuję - szepnęła.

Wyszedł. Znów odwróciła się do okna i po chwili zobaczyła, jak szedł do stajni, z której stajenny wyprowadził wielkiego ogiera, osiodłanego i gotowego do drogi. Widziała, jak z łatwością wskoczył na siodło, przeciął dziedziniec i zniknął za rogiem domu. Jak długo go nie będzie? Miała nadzieję, że wkrótce wróci, bo teraz bardziej niż przedtem znajdowała się na łasce kompanów Cecila. Czy wygrali od niego dom? Czy zamierzali go stąd wyrzucić, a wraz z nim i ją? Nie obchodziło jej, co stanie się z Cecilem, natomiast bardzo ją obchodziło to,

co stanie się z jej córkami i pozostałymi domownikami. Jaka wartość miała w porównaniu z tym biżuteria?

Pośpieszyła do pokoju szkolnego, w którym Joan Quinn próbowała nauczyć czegoś jej córki. Dziewczynki wyczuwały, że coś się dzieje. Słyszały o wyjeździe pierwszych gości i nie mogły skoncentrować się na lekcjach. Głowiły się, czy pozostali również opuszczają ich dom, a życie wróci na dawne tory, czy też inni goście zajmą miejsce tych, którzy wreszcie zniknęli. Charlotte nie była w stanie ich oświecić.

- Nie zwracajcie sobie nimi głowy. - Nagle doszła do wniosku, że nie ma czasu do stracenia. - Włóżcie płaszcze i czepki, idziemy do wsi. Pora wracać do szkoły.

Posłuchały z wyraźnym zadowoleniem i wkrótce wszystkie trzy szły drogą prowadzącą do wioski. Wielebny, który prowadził za nią lekcje, powitał ją radosnym uśmiechem.

- O, lady Hobart. Jak dobrze znów panią widzieć! Dzieci, przywitajcie milady jak należy.

Dzieci wstały i zawołały śpiewnie:

- Dzień dobry, milady.

Odpowiedziała im z uśmiechem. Niełatwo było je skłonić do naturalnego zachowania w jej obecności. Początkowo przerażał je sam fakt, że Charlotte to wielka pani ze dworu, więc wołała, by nie tytułowały jej milady. Pastor nalegał jednak, by zwracały się do niej we właściwy sposób. Z czasem większość uczniów przywykła do jej tytułu, teraz jednak niektórzy o nim zapomnieli i zwracali się do niej „proszę pani” albo nawet „panienko”. Dzieci nie obraziły się na nią, wyraźnie ucieszyły się na jej widok. Pewnie dlatego, że nie była tak surowa jak wielebny Fuller i jej lekcje były zabawniejsze.

- Przyszła pani objąć swoją klasę? - zapytał pastor.

- Jeśli pan się zgodzi.

- Oczywiście, że tak. Potem chciałem z panią porozmawiać. Mam nowiny, które mogłyby panią zainteresować, związane z pytaniem, jakie zadała mi pani dwa tygodnie temu.

Jedyne pytanie, jakie Charlotte mogła sobie przypomnieć, dotyczyło budynku nadającego się na szkołę. Czyżby pastor coś znalazł? Umierała z ciekawości, ale zmusiła się do cierpliwego wysłuchiwanie, jak dzieci czytają, i delikatnego poprawiania ich błędów.

Jak tylko dzieci rozeszły się do domów, Charlotte udała się na plebanię. Pastor powitał ją ciepłym uśmiechem, a kiedy jego żona zabrała Lizzie i Fanny do kuchni, żeby pokazać im niedawno urodzone kociaki, zaprowadził ją do salonu i poprosił, by usiadła. Był to wielki, wygodny pokój, choć nieco zaniedbany. Pastor nie należał do ludzi światowych, a większość swych dochodów przeznaczal na działalność charytatywną.

- Czy lekcja dobrze poszła? - zapytał, sadowiąc się naprzeciw niej.

- Tak. Przyjemnie być znowu z dziećmi.

- Czy to oznacza, że goście lorda Hobarta wyjechali?

- Wszyscy poza dwoma, ale problem pozostał. Muszę się wyprowadzić.

- A więc nie zmieniła pani zdania?

- Jestem bardziej zdeterminowana niż kiedykolwiek.

- Zna pani kapitana Alexandra MacArthura, milady?

- Tego kapitana MacArthura, który mieszka na klifie obok latarni morskiej? Jego dom nazywa się Bocianie Gniazdo, jeśli się nie mylę?

- Tak. W zeszłym roku zmarła żona kapitana. Nabożeństwo pogrzebowe zostało odprawione w naszym kościele.

- Tak, pamiętam, ale kapitan ciągle jest na morzu, więc nie mogę powiedzieć, że go znam.

- Pomimo hałaśliwego sposobu bycia to prawdziwy chrześcijanin i dżentelmen. - Duchowny urwał, bo weszła jego żona, niosąca na tacy zastawę do herbaty i ciasto. Ustawiła ją na stole pod oknem.

- Dziewczynki bawią się z kociakami - powiedziała, nalewając napar do filiżanek. - To złote dzieci.

- Dziękuję - szepnęła Charlotte, świadoma, że jej córeczki straciły w ciągu ostatnich trzech tygodni całą pewność siebie, podobnie zresztą jak ona. Wołałaby, aby były znowu rozbrykane i psotne niż takie ciche i nieśmiałe. - Nie chcę ich narażać na kolejne wstrząsy, dopóki jeszcze nic nie jest ustalone.

- Bardzo mądrze - pochwalił wielebny Fuller - ale może już niedługo przestaną żyć w zawieszeniu, jeżeli moja propozycja przypadnie pani do gustu.

- Mówi pan o kapitanie MacArthurze - przypomniała.

- Tak. Kapitan znów wypływa w morze, tym razem na Ocean Indyjski, i postanowił wynająć swój dom. Wspomniałem mu o pani planach i wyraził zainteresowanie. Mógłby wynająć dom tylko na rok, ale przez ten czas zdążyłaby pani rozejrzeć się za czymś innym.

- Czy kapitan wie, że chcę tam urządzić szkołę?

- Oczywiście. W pierwszej chwili miał pewne opory, ale wyjaśniłem mu, że to będzie placówka dla niewielkiej grupki dziewcząt z dobrych domów i z pewnością nie wprowadzi pani zbyt wielkich zmian. Wówczas wyraził zgodę.

- Nie powiedział mu pan, że chciałabym dołączyć również wiejskie dzieci?

- Nie. - Pastor uśmiechnął się psotnie. - Czego oczy nie widzą, tego sercu nie żal. Zresztą są tam duże, murowane

stajnie, w których można z powodzeniem urządzić szkołę dla wiejskich dzieci. Nie muszą się spotykać z tymi dobrze urodzonymi.

To kłóciło się z koncepcją Charlotte, ale postanowiła nie wspominać o tym pastorowi. Za nic w świecie nie chciała narażać na niepowodzenie swoich planów, kiedy wreszcie pojawiła się szansa ich realizacji.

- Podał cenę wynajmu?

- Nie, to już pozostawiam pani do negocjacji. Kapitan to człowiek wspaniałomyślny i, jak wspominałem, prawdziwy chrześcijanin, nie sądzę więc, by był szczególnie pazerny.

- W takim razie muszę się z nim zobaczyć przy pierwszej sposobności.

- Obecnie przebywa w Londynie. Musiał pojechać do Admiralicji po rozkazy i dopilnować załadunku statku, ale wróci tu jeszcze przez rejs. Wtedy może się z panią spotkać i uzgodnić warunki wynajmu.

Charlotte upadła na duchu. Chciała od razu tam biec i rozpocząć przygotowania, a tu okazuje się, że znowu wszystko się odwleka.

- Bardzo dziękuję, pastarze. - Wstała. - Będę cierpliwie czekała na wiadomość o powrocie kapitana MacArthura i terminie naszego spotkania.

Pastor odprowadził ją do kuchni, gdzie pani Fuller zaczęła ciasto na chleb w ilości zdecydowanie przekraczającej potrzeby dwóch osób. Charlotte domyśliła się, że większość pieczywa zostanie rozdana biednym. To jej przypomniało, że już od dwóch tygodni nie była z koszem jedzenia we wsi. Postanowiła wynieść trochę żywności w tajemnicy przed Cecilą. Uśmiechnęła się smutno do siebie. Ciekawe, czy spiżarnia i jej zawartość pozostawały jeszcze własnością lorda

Hobarta? Skoro mogła uśmiechnąć się na tę myśl, to znaczy, że zaczynała odzyskiwać wiarę w przyszłość.

Z trudem oderwała dziewczynki od kociaków i ruszyły do domu. Dopiero gdy skręciły w aleję prowadzącą do Easterley Manor, Charlotte otrząsnęła się z euforii i zaczęła kalkulować. Musiały zostać we dworze jeszcze przez pewien czas, nie powinna więc wchodzić w konflikt z jego mieszkańcami. Za ile kapitan zgodzi się wynająć swój dom? Jaką sumę otrzyma wicehrabia Darton za biżuterię? Który z nich wróci wcześniej, wicehrabia czy kapitan? Powinna koniecznie napisać do pana Hardacre'a i zapoznać go z sytuacją. Przecież to on, jako jej pełnomocnik finansowy, będzie musiał podpisać umowę najmu, a być może nadal jeszcze negocjował z pozostałymi powiernikami oddanie jej do dyspozycji części pieniędzy zgromadzonych na funduszu dziewczynek. Jeżeli sprzedaż biżuterii nie wystarczy, może się okazać, że jednak będzie potrzebowała środków z funduszu. Oczywiście zwróci je z nawiązką, taką podjęła decyzję. Lizzie i Fanny nie zostaną pozbawione posagów i wspaniałej wyprawy podczas debiutu. To najważniejsze wydarzenie w życiu każdej młodej damy, nie licząc zaręczyn i ślubu.

- Możemy pójść na plażę? - poprosiła Fanny. - Nie chcę jeszcze wracać do domu.

- Dobrze - odparła Charlotte. Ona również nie miała ochoty wracać do Easterley Manor wcześniej niż to konieczne, a skoro już będą na klifie, nie zawadzi rzucić okiem na Bocianie Gniazdo.

Dom od południa graniczył z posiadłościami Hobartów. Stał blisko krawędzi klifu, więc Charlotte zanotowała w pamięci, że trzeba będzie ogrodzić teren. Mając za plecami rozbrykane dzieci, obesła cały teren dookoła. Dom był spory, ze

śmieszna wieżyczka na końcu jednego ze skrzydeł. W pogodne dni z jej szczytu można obserwować wiele mil morza. Nic dziwnego, że kapitan tak nazwał swoją siedzibę.

Budynek nie był tak wielki jak Easterley Manor, ale na parterze znajdowało się kilka pokoi, z których dwa na tyle duże, by mogły służyć za klasy szkolne, co stwierdziła, zaglądając przez okna. Do majątku należały również wozownia i stajnie oraz niewielki ogród. Wadą posiadłości było jej położenie. W zasięgu wzroku nie było żadnych innych domów z wyjątkiem latarni morskiej i małej chatki starego lokaja Jenkinsa. Charlotte postanowiła zajrzeć później do niego; być może będzie potrzebowała dozorczy, a staruszek pewnie ucieszyłby się z paru dodatkowych szylingów do niewielkiej pensji, jaką zmarły lord Hobart zagwarantował mu w testamencie.

Po tych oględzinach uległa prośbom córek i pozwoliła im zbiec ścieżką na plażę. Wędrując po piasku, wspominała, jak podczas poprzedniego spaceru została zaskoczona przez wicehrabiego Dartona. Była wówczas nieufna i ostrożna, czemu trudno się dziwić, bo Stacey nie zrobił nic, by wzbudzić jej zaufanie. Często zachowywał się jak gbur i równie zapamiętały hazardzista jak Cecil, z tą tylko różnicą, że jemu dopisywało szczęście. Czy Stacey naprawdę przyjechał tu z myślą o niej, jak rycerz w lśniącej zbroi, czy może przyszło mu to do głowy dopiero po przyjeździe? Przecież nie mógł niczego o niej wiedzieć, zanim się tu pojawił.

No tak, ale jednak zwrócił jej biżuterię. I zabrał ją z powrotem. Potulnie zgodziła się, by wyjechał z całym jej majątkiem. A jeśli nie wróci? Jeśli po prostu zabrał jej te ostatnie wartościowe przedmioty? Uwierzyła mu na słowo, że je dla niej spieniży. Czyżby teraz śmiał się z jej naiwności?!

On nie jest taki! - skarciła się w duchu i odzyskała rów-

nową. Spojrzała mu w oczy i znalazła w nich współczucie. Wtuliła się w jego ramiona i zaznała ukojenia. Wygrał te klejnoty w karty i miał pełne prawo je zatrzymać. Nie musiał jej nawet o tym informować, lecz przyniósł je do niej. Zapytał, czy mu ufa, a ona zapewniła, że tak. Powiedziała to całkowicie szczerze. Więc skąd teraz te wątpliwości?

- Dobry Boże, błagam, spraw, by okazało się, że miałam rację, ufając mu - wyszeptwała. - W przeciwnym razie wszystko stracone.

Odwróciła się w stronę dziewczynek, które stały na skraju wody i patrzyły w morze na statek, który rzucał kotwicę w zatoce. Próbowaly zgadnąć, skąd przyplynał.

- Z Orientu - stwierdziła Lizzie. - Ma w ładowniach jedwab i przyprawy, które zostaną sprzedane w Ipswich.

- Nie, to statek piracki - odparła Fanny. Uwielbiała opowieści przygodowe, wśród których królowali piraci i porwane księżniczki.

- Albo przemytnicy - rzuciła Lizzie. - Chcą wpłynąć do zatoki i kiedy będziemy spały, pod osłoną nocy rozładują kontrabandę.

Charlotte uśmiechnęła się. Jak dobrze znów usłyszeć beztroskie pogawędki córek. Bóg da, że wkrótce minione tygodnie wydadzą im się tylko złym snem.

- Chodźcie, dziewczynki. Musimy już iść - zawołała, wyciągając do nich ramiona. - Zaczyna się przyplływ.

Niech się dzieje wola boska, powtarzała, wspinając się pod górę stromą ścieżką. Wracały do Easterley Manor, do dworu, który zapewniał dach nad głową i wyżywienie, ale przestał już być ich domem. Bóg sprawi, że wkrótce otrząsną się z tego koszmaru.

- Staceyu Dartonie, jeśli masz w sercu choć odrobinę



współczucia, to wróć do mnie - szepnęła. - Jeśli nie masz dla mnie miłości, to miej chociaż litość.

Stacey miał szczerzy zamiar wrócić, jak tylko pozałatwia swe sprawy. Ani przez moment nie myślał o sprzedaży kosztowności Charlotte. Pojechał do Ipswich i wsiadł do dyliżansu do Londynu, zostawiając Ivora w zajezdzie Pod Wielkim Białym Koniem, skąd miał go odebrać po powrocie.

Na szczęście podróż upłynęła spokojnie, bez żadnych incydentów, rozbójników czy złamanych osi. Zmiany koni i odbiór poczty również przebiegały gładko, więc przybyli do gospody Pod Skrzydlatym Orłem na Gracechurch Street już przed siódmą rano następnego dnia. Przy takiej prędkości nie mogło być mowy o spokojnym śnie, zresztą Stacey był tak rozgorączkowany, a w głowie kłębiło mu się tyle myśli, że zdarzało mu się zdrzemnąć tylko na chwilę i budził się na każdym postoju. Jak tylko powóz dotarł na miejsce przeznaczenia, wyskoczył na ziemię, złapał dorożkę i kazał się wieźć do domu Johna Hardacre'a na Piccadilly.

- Witam, milordzie - zawołał adwokat, gdy tylko gość został wprowadzony do pokoju śniadaniowego. - Nie wiedziałem, że bawi pan w Londynie.

- Wpadłem tu tylko w przelocie. Przepraszam, że zakłócam panu spokój tak wcześnie rano.

- To żaden problem. Przyłączy się pan do mnie? - Zadzwonił, by lokaj przyniósł dodatkowe nakrycie. - Mam nadzieję, że w Malcomby Hall wszystko w porządku?

- O ile wiem, to tak, ale nie byłem w domu od naszego ostatniego spotkania. Bawiłem w Easterley Manor.

- Wielkie nieba! Dlaczego?

- Z powodu pańskiego niepokoju o lady Hobart. Chciałem

przekonać się na własne oczy, co się tam dzieje. Hobart jest moim wprawdzie dalekim, ale kuzynem, więc nie chcę dopuścić, by plamił dobre imię rodziny. A dama w opresji... - Wzruszył ramionami. - Nie mogłem tego tak zostawić.

Prawnik uśmiechnął się. Dlatego właśnie podzielił się ze Staceyem swym zmartwieniem. Ten młody mężczyzna to twardo stąpający po ziemi dzielny oficer od Wellingtona, niezbyt sentymentalny, ale rycerski. Taki człowiek nie przejdzie obojętnie obok kogoś, kto potrzebuje pomocy. Wicehrabia był również z natury ciekawy i bystry, więc Hardacre powiedział mu tylko tyle, aby obudzić jego zainteresowanie.

- Co się stało?

Wszedł lokaj z gorącymi talerzami i dzbankiem świeżo zaparzonej kawy, więc Stacey zszedł z wyjaśnieniami do jego wyjścia.

- Zaprosił do domu zbieraninę najpaskudniejszych typów, jakich w życiu nie widziałem, samych hazardzistów. Hobart to skończony nałogowiec, całkowicie uzależniony od kart. Jest słabym graczem, brakuje mu zimnej krwi, która pozwala wywieść w pole przeciwników. Czytałem w jego twarzy jak w otwartej księdze, a pozostali znali go znacznie dłużej ode mnie, więc niewątpliwie również to potrafili. Nie powinien w ogóle siadać do kart.

- Właśnie dlatego ojciec wygnał go z kraju. Po spłaceniu jego długów był niemal zrujnowany. No i co się stało? Domyślałem się, że przegrał.

- Wszystko. Myślę, że w tej chwili wierzyciele ogałają dwór ze wszystkich wartościowych przedmiotów.

- Tego się obawiałem. A lady Hobart? Jak ona się czuje?

- Jest na granicy załamania. Hobart ukradł nawet jej białą perłę i parę gwinej, które miała schowane na czarną godzinę. I przegrał to wszystko.

- Dobry Boże! Trzeba ją natychmiast stamtąd zabrać! Muszę jednak napisać do lorda Falconera.

- Do lorda Falconera? Ma pan na myśli starego Falconera z Rickmansworth?

- Tak, to stryjeczny dziadek lady Hobart, młodszy brat jej dziadka ze strony matki. Odziedziczył tytuł po śmierci brata, który nie zostawił męskiego potomka. Nie wiedział pan o tym?

Stacey był oszołomiony. Nigdy nie wątpił, że Charlotte jest damą w każdym calu, nie przeszło mu jednak przez myśl, że może pochodzić z tak znakomitej rodziny. W jego mniemaniu osoba dobrze urodzona po prostu nie mogłaby zniżyć się do nauczania wiejskich dzieci. Jak bardzo się mylił! Traktował ją protekcjonalnie i pozwalał sobie na poufałości, do których nie ośmieliłby się posunąć, gdyby wcześniej o tym wiedział. Dlaczego mu nie powiedziała?

- Nic nie wiedziałem. Zorientowałem się, że lady Hobart jest damą, ale tego nietrudno się domyślić. Nie miałem natomiast pojęcia, że ma tak świetne koneksje.

- Dziwię się, że pan o tym nie słyszał. To nie jest żadna tajemnica.

Dla nikogo poza mną, pomyślał Stacey. Ciekawe dlaczego?

- Czemu nie zwróciła się do dziadka, kiedy znalazła się w tak dramatycznej sytuacji?

- O ile wiem, jej matka miała z nim na pieńku. Stary lord pedantycznie przestrzega dworskiego protokołu i jest dumny, że Falconerowie wywodzą się w prostej linii od dworzani-  
na króla Henryka VIII. Stanowczo protestował przeciwko jej małżeństwu z kapitanem Delaneyem. - Uśmiechnął się lekko. - Nazywał go bezwartościowym irlandzkim marynarzem

- A był nim?

- Nie, był człowiekiem szlachetnie urodzonym, baronetem

zatonął wraz ze swym okrętem pod Trafalgarem. Wkrótce potem matka lady Hobart zmarła na febrę, a sama lady Hobart owdowiała. Jej mąż zginął pod Corunną. Wiedział pan o tym?

- Tak. Nieszczęśliwa kobieta. Pewnie po śmierci starego lorda Hobarta wydawało jej się, że straciła już wszystkich bliskich. Sądzi pan, że lord Falconer byłby skłonny jej pomóc?

- Może tak, może nie. Powiedział niegdyś, że nie chce nigdy więcej widzieć swej bratanicy. Z wiekiem mógł złagodnieć, ale mógł również stać się jeszcze twardszym i bardziej bezlitosnym.

Stacey a kusiło, by natychmiast udać się do starego lorda Falconera i uświadomić mu, że zaakceptowanie stryjecznej wnuczki to jego obowiązek, doszedł jednak do wniosku, że nic w ten sposób nie osiągnie. Stary lord stwierdzi, całkiem zresztą słusznie, że to nie jego sprawa, albo wręcz nie zechce go przyjąć. Nie, byłaby to tylko strata czasu. Postanowił wrócić do pierwotnego planu.

- Nie mamy czasu, by to sprawdzić. Przekonałem ją, by mi zaufała, co nie było proste, bo przecież także grałem. Wygrałem w powrotem jej biżuterię i obiecałem ją sprzedać, by miała pieniądze na wynajęcie domu. Postanowiła założyć szkołę.

- Tak, mówiła mi o tym. Obawiam się jednak, że jej biżuteria nie jest zbyt wartościowa i uzyska za nią dość umiarkowaną cenę.

- Też tak sądzę, ale to bez znaczenia, bo i tak nie zamierzam spełnić jej prośby.

- A co pan zamierza?

- Przechować dla niej tę biżuterię i zadbać o to, by dostała dość pieniędzy na realizację swego celu.

- Jest pan bardzo wspaniałomyślny, milordzie, ale czy na pewno wyświadcza jej pan przysługę? W końcu nauczanie trudno uznać za zajęcie godne damy, prawda?

- Nie zgadzam się z panem, a sama lady Hobart jest zdecydowanie odmiennego zdania, bo w przeciwnym razie nie znosiłaby obelg gości swego szwagra. Jestem przekonany, że bardzo się przejmuje szkołą.

- Co nie oznacza, że ma rację. Bo czym innym jest uczenie wiejskich dzieci w ramach działalności charytatywnej, a czym innym prowadzenie szkoły, która ma przynosić dochód.

- Wiem. I właśnie dlatego tu jestem. Pomogę jej, ale ona musi być przekonana, że otrzymuje fundusze od pana. Jest pan jednym z wykonawców testamentu zmarłego lorda Hobarta, prawda? Może jej pan przekazać pieniądze z wyjaśnieniem, że istniała w ostatniej woli jej teścia pewna klauzula, którą przedtem pan przeoczył.

- Rzeczywiście, obiecałem jej, że zwrócę się do pozostałych powierników o przekazanie jej części środków z funduszu przeznaczonego dla jej córek...

- I zrobił to pan?

- Niestety, wymagana jest zgoda wszystkich trzech powierników, więc napisałem do nich, ale od jednego z nich, lorda Swindona, nie otrzymałem jeszcze odpowiedzi. Podobno aż do końca roku będzie bawił na wsi. Moim głównym celem nie było zapewnienie lady Hobart funduszy na założenie szkoły, a na spokojne życie i wychowywanie córek. Nie wierzę, że pomyślałaby o prowadzeniu szkoły, gdyby nie zmusiła jej do tego sytuacja.

- Więc chyba nie widział jej pan w otoczeniu dzieci, natomiast ja widziałem. Jest taka naturalna, nie surowa, ale również nie nazbyt pobłażliwa. Zaprowadziła wśród nich dyscyplinę, ale ją kochają. Właśnie takiej osobie chciałbym powierzyć Julię.

- Rozumiem, ma pan w tym swój własny interes - rozśmiał się Hardacre.

Stacey uśmiechnął się w odpowiedzi. Jeśli prawnik chciał wierzyć w to wyjaśnienie, niech wierzy. Przecież wszystko, co mówił o umiejętnościach pedagogicznych Charlotte, było prawdą. Tylko... jeśli rzeczywiście tak bardzo poświęcała się uczniom, to jak miał ją zdobyć dla siebie? Czy gotów był przyjąć do rodziny nie tylko Elizabeth i Frances, ale również tuzin innych dzieci? Ten problem wymagał rozstrzygnięcia. Czy można kochać kobietę, nie akceptując jej aspiracji? Czy można twierdzić, że nie lubi się dzieci i jednocześnie godzić się, by kręciły się wszędzie dokoła? Z drugiej jednak strony czy mógł pozwolić, by Charlotte borykała się samotnie z zadaniem, które wzięła na siebie?

- My się tu wahamy, a ona jest tam wystawiona na prawdziwe niebezpieczeństwo. Ona i jej dzieci. Co w tym złego, że pozwolimy jej pójść własną drogą, skoro dzięki temu uwolni się od Cecila Hobarta i tych dwóch nikczemników, których sprowadził do Easterley Manor? Jeśli jej się nie uda, to wtedy będziemy z nią dyskutować.

Adwokat musiał uznać tak oczywiste argumenty.

- Dobrze. Jeśli skończył pan śniadanie, możemy przejść do biblioteki i sfinalizować sprawę. Rozumiem, że wraca pan, jak tylko wszystko zostanie załatwione.

- Tak, w miarę możliwości jeszcze dzisiaj. Mam nadzieję, że pod moją nieobecność nie spotkało jej nic złego. Wymusiłem na niej obietnicę, że gdyby we dworze nie dało się już wytrzymać, to pójdzie z dziećmi do pastora, ale im szybciej wróce, tym lepiej.

Mądry prawnik uśmiechnął się do siebie. Stacey Darton zakochał się i już choćby z tego względu należało spełnić jego prośbę.

## Rozdział szósty

Charlotte spodziewała się Stacey'a następnego wieczoru, a w najgorszym wypadku pojutrze. W końcu Ipswich było oddalone zaledwie o dzień drogi. Kiedy minęły trzy dni, a wicehrabia Darton się nie pojawił, zaczęła wątpić, czy słusznie mu zaufała. Ile czasu może zająć sprzedaż kilku błyskotek? Jeśli Stacey okaże się takim samym oszustem jak jej szwagier i jego dwaj kompani, to będzie zmuszona zrewidować wrodzone przekonanie, że ludzie z natury są dobrzy. Zawsze doszukiwała się we wszystkich tego, co w nich najlepsze. Próbowwała nawet tłumaczyć Cecila. Był słaby, jego dwaj goście źli, ale bardzo nie chciała myśleć w ten sam sposób o Staceyu Dartonie

Był dla niej dobry, całował ją, mówił do niej „moja droga” zwrócił jej pieniądze i zaoferował pomoc. A ona go pokochała marzyła, by znów znaleźć się w jego ramionach, by poczuć się kochaną i bezpieczną. Od czasu wyjazdu Grenville'a na wojnę nigdy tak się nie czuła. Teść bardzo ją kochał, kochały ją również dzieci, służba darzyła ją szacunkiem, a pastor podziwem ale żadne z tych uczuć nie dawało się porównać z miłości mężczyzny. Dopóki w jej życiu nie pojawił się Stacey, nie zdawała sobie sprawy, za czym tęskniła. Teraz już wiedziała i czu-

ła coraz większą pustkę. Pragnęła go, pożądała. Na pewno nie mogła aż tak bardzo pomylić się w ocenie charakteru człowieka i pokochać łajdaka. Na pewno! Ale gdzie on był? Dlaczego nie wracał? Powtarzała sobie ciągle, że coś go musiało zatrzymać i że powinna uzbroić się w cierpliwość.

Od posępnych myśli uciekała w pracę, a wieczorami, kiedy Cecil i jego dwaj towarzysze kontynuowali grę - choć nie miała pojęcia, co jeszcze szwagier mógł postawić - zasiadała w swoim pokoju i planowała nową szkołę, choć zdawała sobie sprawę, że mogła nigdy nie powstać. Należało przystosować budynek, kupić wyposażenie i znaleźć odpowiedni personel, nie tylko służbę, ale przede wszystkim dobrych nauczycieli, a ci niewątpliwie zażądają wysokich pensji. A może była zbyt ambitna? Gdyby jednak nie mogła zapewnić wszystkiego, czego bogaci rodzice oczekują dla swych córek, to czym mogła przyciągnąć uczennice? Właśnie, co z uczennicami? Gdzie ich szukać? Samo opowiadanie o szkole to za mało, musiała się zareklamować, oczywiście dyskretnie. To wszystko wymagało czasu. A czas płynął. Czyżby własna szkoła miała okazać się tylko niespełnioną mrzonką? Jeżeli wicehrabia Darton nie wróci, to raczej tak.

Zapatrzyła się w przestrzeń. A jeśli spotkało go coś złego? Możliwe, że został napadnięty w podróży i obrabowany z pieniędzy, które dla niej wiozł. W gazetach roiło się od doniesień o napadach rabunkowych na drogach, zasadzkach, pozbawionych pracy żołnierzach, wyrzuconych na bruk robotnikach, złodziejach i innych wykołajeńcach, gotowych zamordować dla paru groszy. Nie dałaby nawet głowy za Cecila, gdyby doszły go słuchy o przewożonych przez wicehrabiego pieniądzech. A może tak się właśnie stało? Może dzięki temu mógł dalej grać? Jednak w takim wypadku Stacey wróciłyby



tutaj i zażądał satysfakcji. Chyba że został ranny podczas napadu. Albo zabity... Zakryła ręką usta, stanowczo zabroniła sobie popuszczać wodze wyobraźni.

Nie mogła jednak usiedzieć w miejscu, zaczęła więc krążyć po pokoju, a gdy i to nie pomogło, zeszła na dół. Postanowiła przynieść panom więcej wina i dowiedzieć się przy okazji, co Cecil stawiał. Może jego kompani zgodzili się przyjmować kolejne weksle. Zeszła do piwnicy po dwie ostatnie butelki burgunda i ruszyła z nimi do jadalni, której panowie nie opuszczali od obiadu. Pod drzwiami zatrzymała się, niepewna, czy to aby na pewno dobry pomysł.

- Hobart, stary przyjacielu, jesteś kompletnie splukany. - To był głos Augustusa Spike'a. - Przyznaj wreszcie.

- W następnym rozdaniu...

Sir Roland wybuchnął śmiechem.

- Ciągłe wierzysz w następne rozdanie, Cecilu? Nie będzie następnego rozdania. Teraz ta kupa cegieł i kamieni wraz z całą wartością należy do nas. A także powóz, konie i pani domu.

Charlotte zachłysnęła się powietrzem i przysunęła bliżej do drzwi.

- Pani domu? - zapytał Cecil. - Roly, chyba nie mówiłeś poważnie, że chcesz się z nią ożenić?

- A dlaczego nie? Przegrałeś nie tylko swój spadek, ale i dziedzictwo jej córek. W jaki inny sposób mógłbym położyć na tym rękę?

- Ona nie dostanie tych pieniędzy.

- Więc jaką formę spłaty swych długów proponujesz?

- Nie wiem. Jakoś zdobędę pieniądze.

- Cecilu, stary przyjacielu, a gdyby tak tę damę spotkał jakiś nieszczęśliwy wypadek? - zapytał Augustus. - Czy to nie ty zostałbyś wówczas opiekunem prawnym swoich bratanic

- Zapewne tak, ale co z tego? Ona jest młoda, a przynajmniej stosunkowo młoda. I zdrowa. Zresztą co bym robił z dwójką bachorów?

- Naprawdę nie wiesz? Przez parę lat mógłbyś odgrywać rolę kochającego stryjaczka, prawda? A potem kto wie, co mogłoby się wydarzyć.

Przyklejona do drzwi Charlotte wcisnęła pięść do ust, by nie krzyknąć. Znalazła się w prawdziwym niebezpieczeństwie, znacznie poważniejszym niż przypuszczała. Kusiło ją, by wpaść do pokoju i rzucić im w twarz, że słyszała każde słowo, ale wzięła się w karby. Gdyby wiedzieli, że poznała całą prawdę, nie cofnęliby się przed zbrodnią, a co by się wówczas stało z jej dziewczynkami?

- Nie! - krzyknął Cecil znacznie bardziej porywczo, niż mogłaby przypuszczać. - Może nie mam szczęścia w hazardzie, może gotów byłbym nawet posunąć się do oszustwa, ale pewnych granic jednak nie przekraczam.

- Wypadki chodzą po ludziach.

- Nie chcę mieć z tym nic wspólnego. To zbyt ryzykowne.

- Zresztą zbyt długo trzeba by czekać na owoce - stwierdził Augustus spokojnie, jakby wszystko, co dotąd zostało powiedziane, miało doprowadzić do takiej konkluzji. - A jeśli Darton mówił prawdę o stanie finansów jego lordowskiej mości, to gra niewarta jest świeczki. Pozostał jeszcze jeden sposób, byś wykaraskał się z długów.

- No, dalej - ponaglił go Cecil ponurym głosem.

- My, to znaczy Roly i ja, jesteśmy żywo zainteresowani pewnym statkiem. Pływa sobie tu i tam, ale kiedy ma pełne ładownie, nie może wejść do portu. Rozumiesz? - Zamilkł na chwilę, po czym dodał: - Mam nadzieję, że rozumiesz.

- Kontrabanda.

- Właśnie, przyjacielu. Ostatnio jednak zrobiło się gorąco. Straż Ochrony Wybrzeża zaczęła działać nazbyt skutecznie i odnosić sukcesy. W rezultacie nie możemy wpłynąć jak zwykle do Dungeness, natomiast twoja niewielka, ustronna zatoczka to idealne miejsce do lądowania, a ten dom ze swymi głębokimi piwnicami jest jakby stworzony na magazyn.

- Rozumiem. Przez cały czas chodziło wam właśnie o to. Gdy powiedziałem wam o spadku, zwietrzyliście szansę.

- Ta szansa nie mogła pojawić się w lepszym momencie, przyjacielu, a ty jesteś tak marnym graczem, że oskubanie cię do czysta było dziecinnie proste. Nie mamy zamiaru pozabawiać cię domu, musisz tylko z nami współpracować. Zgadzasz się, prawda?

- A lady Hobart?

- Będzie bezpieczna, dopóki będziesz robił, co ci powiemy. Jeśli nie, to dołożymy wszelkich starań, żeby odpowiedzialność za jej śmierć spadła na ciebie. Jestem pewien, że rozumiesz.

Charlotte usłyszała szuranie krzeseł, więc uciekała. Pędziła po schodach jak szalona, przyciskając do piersi trzymane w rękach butelki. Wbiegła do pokoju, zamknęła drzwi na klucz i padła na łóżko. Co robić? Do kogo się zwrócić?

- Och, Stacey, Stacey, gdzie się podziewasz, kiedy tak bardzo cię potrzebuję? - wyszeptwała, ale nikt nie usłyszał jej słów, nikt nie przyszedł z pomocą. Była sama i tylko ona mogła uratować siebie i swoje dzieci. Musiała stąd uciekać. Zaraz. Natychmiast.

Odstawiła butelki na komodę, wyciągnęła z szafy torbę podróżną i zaczęła pośpiesznie wrzucać do niej ubrania, ale nagle przerwała. Ucieczka nie była żadnym rozwiązaniem. Gdyby zauważyli, jak opuszcza dom wraz z dziećmi i bagażami, zrozumieliby, że odkryła ich tajemnicę i zatrzymaliby ją. Musiała

działać subtelniej. Odłożyła wszystko na miejsce, wyciągnęła się na łóżku i przez wiele godzin roztrząsała swój dylemat. Wreszcie zapadła w sen bez podjęcia jakiegokolwiek decyzji.

Poranek wstał piękny i pogodny, słońce świeciło olśniewająco, a jaskółki świergotały pod okapem, ale Charlotte z trudem zwlekła się z łóżka, z piekącymi oczami i duszą pełną żalu i goryczy. Może dzisiaj Stacey powróci? Jeśli nie, to znaczy, że naprawdę jest sama na świecie i musi sama ratować siebie i dzieci.

- Co się stało z pani sukniami, milady? - zapytała Betsy, która przyniosła gorącą czekoladę i rozsunęła zasłony. Chciała naszykować swej pani ubranie i zdumiała się na widok nieporządku panującego w szafie i szufladach komody. - Chyba ci... panowie nie wdarli się tutaj znowu?

Węc nawet służba wiedziała, co się stało.

- Nie, Betsy. To ja czegoś szukałam. Szala. Przepraszam, że nie pochowałam wszystkiego porządnie.

- Nic dziwnego, milady. Ostatnio tyle pani przeszła, że pewnie trudno pani nawet wstać z łóżka, już nie mówiąc o patrzeniu na tych typków. Nigdy nie byłam tak zadowolona, kiedy goście wynosili się z naszego domu. Chociaż ci dwaj, którzy pozostali, są najgorsi ze wszystkich.

- Czasem trzeba wybrać mniejsze zło, Betsy.

- To prawda, że dziedzic przegrał dom?

- Nie wiem. Mam nadzieję, że nie posunął się do ostateczności.

- Gdyby nie przekonanie, że pani mnie potrzebuje, to odeszłabym stąd natychmiast, milady. Pozostali również. Rozmawialiśmy na ten temat i postanowiliśmy zostać na służbie, więc nie musi się pani obawiać, że znajdzie się pani sama, bez żadnej

pomocy. Gdyby jednak miała już pani tego dosyć, to odejdziemy wraz z panią. Przepraszam, że mówię tak otwarcie.

Charlotte uśmiechnęła się, choć w oczach zakreśliły jej się łzy. Wzruszyła ją lojalność służby, a ponieważ była na granicy depresji, zachciało jej się płakać.

- Zostałaś wydelegowana, żeby ze mną porozmawiać?

- Tak, milady, bo jako pani pokojówka mogę to robić bez wzbudzania podejrzeń. Nigdy nie wiadomo, kto mógłby podsłuchiwać.

- Jeszcze sama nie wiem, co zrobię, Betsy, ale obiecuję, że cię powiadomię, jak tylko podejmę decyzję. A na razie znajdź mi możliwie najmniej pogniecioną suknię. Muszę udawać, że zajmuję się wszystkim jak zwykle.

Zeszła na śniadanie jak zwykle starannie ubrana i z pozoru opanowana, choć wszystko w niej kipiało. O dziwo, panowie wstali wcześniej od niej i nawet wyszli już z domu, o czym poinformował ją Foster. Zadowolona, że nie musi na nich patrzeć, zmusiła się do zjedzenia lekkiego śniadania i weszła na górę, żeby przywitać się z córkami, które właśnie rozpoczęły lekcje. Stwierdziła z zadowoleniem, że były bezpieczne i zdrowe, po czym zeszła do swojego pokoju, by napisać do pana Hardacre'a. Nie ośmieliła się powiedzieć mu całej prawdy o sytuacji, w jakiej się znalazła, pytała tylko, czy udało mu się rozwiązać jej „mały problem”. Omal nie roześmiała się, pisząc te słowa. Jej problem nie był mały, był ogromny! Potem wystosowała list do swego ciotecznego dziadka, lecz bez specjalnej nadziei na jego odpowiedź. Już dawno powinna była to zrobić. Dlaczego zwlekała? Może nie mogła rozstać się z marzeniem o założeniu szkoły? A może Stacey Darton miał z tym coś wspólnego? Może liczyła na...?

Och, nic jej nie przyjdzie z rozważań, co by było gdyby. Zapieczętowała listy i wyruszyła do wsi. Postanowiła oddać je wielbnemu Fullerowi, by wysłał wraz ze swoją pocztą. Kurier każdego popołudnia zabierał korespondencję do Ipswich, skąd odsyłała ją do Londynu, on zaś odbierał pocztę przychodzącą i rano dostarczał ją do Parson s End. Uznała, że bezpieczniej wyekspediować listy tą drogą, niż dać je, jak zwykle, do wysłania chłopcu z Easterley Manor. Obawiała się, że mogłyby zostać przejęte przez Cecila.

Wielebny właśnie wychodził za bramę.

- Dzień dobry, lady Hobart. Właśnie wybierałem się do pani. Kapitan MacArthur wrócił. Będzie tu tylko do jutra, więc jeśli chce pani wynająć jego dom, musi pani zobaczyć się z nim dzisiaj.

Charlotte zawahała się. Czy miała pomimo wszystko realizować swój plan? Już pojutrze dom kapitana będzie wolny, ale czy właściciel pozwoli wprowadzić się przed podpisaniem kontraktu najmu? I czy musi wiedzieć, że wcześniej objęła jego posiadłość? Przecież i tak musiał już teraz przekazać jej klucze. Uśmiechnęła się do siebie. Co Stacey mówił o ryzyku podejmowanym przez hazardzistów? Niewątpliwie ryzykowała, zakładając, że w taki czy inny sposób zdobędzie pieniądze na wynajęcie budynku i utrzymanie siebie i dzieci do czasu, gdy szkoła zacznie przynosić dochody.

- Wobec tego powinnam pójść do niego od razu - powiedziała, chowając listy z powrotem do kieszeni.

- Życzy sobie pani, bym jej towarzyszył?

- To bardzo uprzejma propozycja, ale nie, dziękuję. Poradzę sobie sama, jeśli pan, pastarze, poprowadzi za mnie lekcje.

Kapitan MacArthur był rubasznym, ogorzałym mężczyzną w średnim wieku. Jego włosy i broda były białe jak śnieg, a ręce opalone i szorstkie, ale kiedy ujął dłoń Charlotte i pochylił się nad nią, jego dotyk był zadziwiająco delikatny.

- Proszę wejść, milady. Będzie pani łaskawa wybaczyć ten nieporządek. - Wskazał ręką sterty toreb, pudeł i waliz, które piętrzyły się w holu i bawialni. - Coppins, zostaw to i podaj pani herbatę - powiedział do służącego, po czym znów zwrócił się do Charlotte: - Przejdźmy do saloniku na tyłach domu, milady. Tam nikt nam nie będzie przeszkadzał.

Usadowił ją w fotelu i rzucił kilka uwag o pogodzie, niepozostawiających wątpliwości, że był człowiekiem morza. Mówił o wietrze, przyptywie i księżycu w odpowiedniej kwadrze.

- Muszę złapać jutrzejszy wieczorny odpływ, dlatego trzeba wszystko załatwić dzisiaj. - Zamilkł, bo służący wniósł właśnie herbatę, odprawił go i dopiero wrócił do tematu. - Myślałem o tym, by zatrudnić dozorcę, który zająłby się domem. Dotychczas nie musiałem tego robić, bo żyła pani MacArthur, świeć, Panie, nad jej duszą.

- Moje kondolencje, kapitanie.

- Dziękuję. Jak mówiłem, myślałem o zatrudnieniu dozorcę, bo dom nie powinien stać pusty, kiedy jednak poprosiłem wielebnego, by polecił mi kogoś, wspomniał mi o pani. Mówił, że jest pani córką kapitana Delaneya. To był prawdziwy człowiek morza, jakiego chciałoby się mieć przy sobie w ciężkich chwilach. Zginął pod Trafalgarem, o ile się nie mylę.

- Tak.

- A teraz, kiedy lord Hobart przejął swą posiadłość, pragnie pani opuścić Easterley Manor?

- Tak, nie mogę mieszkać ze szwagrem.

- Rozumem. Nie musi pani nic dodawać. Skąd jednak pomysł ze szkołą? Muszę dowiedzieć się o tym czegoś więcej.

Charlotte lapidarnie wyjaśniła ideę szkoły, uwypuklając swój entuzjazm, a maskując niepewność, czy zdoła zdobyć środki na realizację swych zamierzeń. Kapitan wiedział o jej arystokratycznym pochodzeniu, zakładał więc, że dysponowała pewnym majątkiem. To, że znał jej ojca, też miało swoje znaczenie.

- A uczennice? Nie chciałbym, aby mój dom został zrujnowany.

- Naturalnie. Będą to dziewczęta z najlepszych domów... - Urwała. - Pierwszą uczennicę już mam. Wicehrabia Darton, daleki krewny mego zmarłego męża, zamierza powierzyć mi swą córkę. - Miała nadzieję, że Stacey wybaczy jej to kłamstwo, jeśli jeszcze kiedyś się spotkają. Jeśli...

Kapitan wstał.

- Wobec tego pozwoli pani, że oprowadzę ją po domu. Zanim przejdziemy do omawiania dalszych kwestii, musi się pani przekonać, czy nadaje się do pani celów.

Charlotte już się zdecydowała, ale posłusznie chodziła za kapitanem od pokoju do pokoju, notując w duchu, w których urzędzi klasy szkolne, a które przeznaczy na własne potrzeby. Było to rozległe, stare domostwo, rozbudowywane przez pokolenia. Umeblowano je ciężkimi, praktycznymi sprzętami wykonanymi w różnych stylach. Wiele mebli kapitan najpewniej przywiózł z szerokiego świata. Przypomniał jej się dom jej dzieciństwa w Portsmouth, niezbyt elegancki, ale wygodny. Nie szukała jednak elegancji, a to, co miała przed oczami, robiło na tyle solidne wrażenie, by bez trudu wytrzymać kopnięcia rozbrykanych dzieci. Wszelkie wartościowe i kruche przedmioty trzeba będzie pochować do czasu powrotu kapitana.



Z jednego z pokojów na piętrze widać było dach Easterley Manor, z innego sosnowe lasy otaczające wieś, a z kolejnego kilka przycumowanych łodzi rybackich, a za nimi rozległe morze.

- Domyślam się, dlaczego dom został nazwany Bocianim Gniazdem - powiedziała.

- Z wieży będzie pani miała jeszcze lepszy widok. Chciałaby pani zobaczyć?

- Tak, bardzo.

Na szczycie znajdował się okrągły pokój z ogromnym oknem, przy którym zainstalowano teleskop. Kapitan przyłożył do niego oko, wyregulował ostrość i zwrócił się do niej:

- Proszę spojrzeć, milady.

Charlotte przyłożyła oko do teleskopu.

- Mój Boże, widać ludzi pracujących na pokładzie kutrów. W jakiej są odległości?

- Cztery do pięciu mil.

Przesunęła teleskop i spoglądała na wybrzeże. Szczytem kłifu spacerowało trzech mężczyzn. Bez trudu rozpoznała Cecila i jego dwóch przyjaciół. Wydawało się, że to niewinna rozmowa, ale raz po raz któryś z nich gestem wskazywał na morze.

- Zadziwiające - zawołała Charlotte, nie wspominając o trzech mężczyznach. - Musi pan wiedzieć o wszystkich jednostkach, które przepływają wzdłuż wybrzeża.

- Tak. Uprzedzam jednak, że jeśli wynajmie pani ten dom, to wieża będzie wyłączona z użytku. Nikt nie ma prawa tu wchodzić. To bardzo delikatny i kosztowny instrument.

- Oczywiście. Rozumiem.

- Więc zejdźmy na dół i zawrzyjmy umowę.

Jeśli dom odpowiada lady Hobart, to kapitan gotów był oddać go do jej dyspozycji na rok, oświadczył, gdy ponownie

usadowili się w przytulnym saloniku, w którym Charlotte postanowiła urządzić prywatną bawialnię. Cena najmu zostanie pomniejszona o sumę, jaką kapitan musiałby zapłacić dozorcycy, ale wszelkie zmiany konieczne do przekształcenia domu w szkołę zostaną wykonane na koszt Charlotte i muszą zostać zlikwidowane przed powrotem właściciela, by mógł odzyskać dom w takim stanie, w jakim oddawał go do jej dyspozycji. Oferta była nadszpodziewanie wspaniałomyślna, więc Charlotte wyraziła szczerą wdzięczność.

- Jeszcze dzisiaj napiszę do pana Hardacre'a, by przygotował szczegółową umowę - zapewniła, starając się przybrać możliwie profesjonalny ton, choć czuła, że jej twarz zdradza podniecenie. Dosłownie tryskała radosną energią. Czy tak właśnie czuje się hazardzista, który wie, że ta rozgrywka będzie wygrana? Jeśli tak, to powinna ostudzić swój zapał, bo jeszcze nie wygrała tej partii. - Pozostaje tylko jeden problem. Kiedy możemy się wprowadzić?

Kapitan uśmiechnął się, bo, jak wszyscy we wsi, doskonale zdawał sobie sprawę, jakie okropieństwa działy się w Easterley Manor i nie dziwił się, że chciała stamtąd uciec.

- Kiedy pani zechce, milady. Wyjeżdżam jutro, więc tak czy inaczej musiałbym komuś zostawić klucze. Może pani podjąć obowiązki dozorczyni w dowolnie wybranym momencie, a jeśli chodzi o formalności, to nie starczy mi czasu, by spotkać się z panem Hardacre'em, wystarczy więc ustna umowa pomiędzy panią a mną. Po prostu ufam pani.

- Dziękuję. Kiedy mam przyjść po klucze?

- Wyjeżdżam w południe, ale jeśli to dla pani bardziej dogodne, mogę podrzucić klucze do wielbego Fullera.

- Tak byłoby lepiej. Przychodzę codziennie na plebanię uczyć dzieci.

Wyszła. Miała wrażenie, że unosi się nad ziemią, ale po dwunastu krokach spadła na dół z hukiem. Nadal nie miała środków na wynajem. Całe szczęście, że kapitan nie zażądał zadatku. Powiedział, że jej ufa. Czy była godna zaufania? Zamierzała wprowadzić się do tego domu z pełną świadomością, że nie miała na to pieniędzy. Nawet jeśli takie postępowanie nie było nielegalne, to z pewnością niehonorowe. Przytłoczyło ją poczucie winy, podszyte jednak sporą dozą gniewu. Gniewu na wicehrabiego Dartona, który sprawił jej zawód. Och, gdzie on się podziewał?

A czekała ją jeszcze przeprawa z Cecilem. Jak zareaguje na wiadomość, że Charlotte wyprowadza się z Easterley Manor? Stanowiła dla nich poważne zagrożenie, ale o tym chyba nie wiedzieli. Czy będą próbowali ją zatrzymać? Kiedy ma przyplłynąć statek z kontrabandą? Z Bocianiego Gniazda będzie miała doskonały widok na wpływający do zatoczki statek i jego rozładunek. Wiedziała o tym ona, zorientują się i tamci. Z drugiej jednak strony jeśli nie domyślili się, że podsłuchiwała pod drzwiami i zna ich zamiary, powinna być raczej bezpieczna. Boże, naprawdę chodziła po linie nad przepaścią!

Przyszła na plebanię, kiedy pastor właśnie skończył lekcje.

- Wszystko załatwione - powiedziała. - Kapitan zostawi klucze u pana, a ja je odbiorę. Mogę się wprowadzić, kiedy zechcę.

Duchowny uśmiechnął się.

- To dobrze. Wiedziałem, że się zgodzi. Cieszę się, że pani przyszła, bo oszczędziło mi to wyprawy do dworu. Mam dla pani list. Kurier przyniósł go pół godziny temu. - Rozejrzał się po klasie, by sprawdzić, czy wszystko w porządku, potem przepuścił ją przodem i zamknął drzwi na klucz. - Proszę ze

mną na plebanię. List był ofrankowany, więc nie musiałem płacić przy odbiorze.

Wreszcie los się do niej uśmiechnął, pomyślała, sięgając po list. Nie był od Stacey'a, jak miała nadzieję, lecz od pana Hardacre'a. Prawnik informował, że przeglądając jeszcze raz dokumenty pana Grenville'a, trafił na zapis, na który dotąd nie zwrócił uwagi. Mąż Charlotte tuż przed udaniem się na wojaczkę złożył na jej rzecz pewną sumę na specjalnym funduszu. Pieniądze te od tego czasu znacznie zyskały na wartości. Fundusz nie miał nic wspólnego z testamentem zmarłego niedawno lorda Hobarta, pieniądze należały tylko i wyłącznie do niej i były w każdej chwili do dyspozycji. „Milady, proszę przyjąć moje najgorętsze przeprosiny, że ten fundusz umykał dotychczas mojej uwagi” - pisał na zakończenie pan Hardacre. „Jeżeli znalazła pani odpowiedni budynek, proszę dać mi znać, a dopełnię wszelkich formalności”. Jeszcze zanim skończyła lekturę, miała twarz mokrą od łez. Została uratowana! Nie przez wicehrabiego Stacey'a Dartona, a przez własnego męża.

- Och, Grenville - szepnęła z czułością.
- Mam nadzieję, że to nie są złe wiadomości - powiedział pastor, spoglądając na nią z niepokojem.
- Nie, dobre! Bardzo dobre! Pojutrze wprowadzam się do Bocianego Gniazda. Będę miała swoją szkołę, wielbny.

Odetchnął z ulgą, bo jak wszyscy we wsi umierał z niepokojem o lady Hobart. Nadal będzie potrzebowała ochrony, ludzi, którzy by jej pilnowali, ale już on to zorganizuje przy wsparciu mieszkańców wsi. Nie chciał jej jednak o tym mówić, by nie zadrasnąć jej dumy.

- Czy mógłby mi pan dać kartkę papieru, pióro i atrament, żebym mogła od razu, jeszcze przed powrotem do domu, odpowiedzieć na ten list? - Nie chciała, by ktokolwiek we dwo-

rze dowiedział się o tym nieoczekiwanym uśmiechu losu. - Zostawię go tutaj i wyśle go pan razem ze swoją pocztą. To pozwoli mi zaoszczędzić trochę czasu.

Gdy już załatwiła tę sprawę, pastor zaproponował, że ją odprowadzi, ale podziękowała mu za eskortę. Nie bała się chodzić samotnie po wsi. To nie w wiosce czyhało na nią niebezpieczeństwo, ale we dworze. Lecz, chwała Bogu, już niedługo.

Szła pośpiesznie, zastanawiając się, co ma jeszcze do zrobienia. Najpierw trzeba powiedzieć dziewczynom i pannie Quinn, potem porozmawiać ze służbą. Betsy niewątpliwie odejdzie wraz z nią, ale co z panią Evans? Przydałaby jej się dobra kucharka, choć może nie od początku. Charlotte sama potrafiła to i owo ugotować, ale kiedy pojawią się uczennice, troskliwi rodzice będą chcieli wiedzieć, w jakich warunkach będą mieszkały ich córki. Właśnie, warunki. To kolejne zadanie, jakie przed nią stoi. Powinna przygotować broszurę reklamową i ogłoszenia, zamówić książki, materiały piśmienne i łóżka. Sporo łóżek. I przydałyby się referencje. Potrzeby mnożyły się, wprost nie widać było końca.

Musiała również powiedzieć Cecilowi. Nie paliła się do tej rozmowy, ale postanowiła twardo obstawać przy swoim i nie dać się zastraszyć. Oczywiście nie wolno jej zdradzić, że wie o planowanym przemyśle, bo od tego mogło zależeć jej życie. Żałowała, że Stacey Darton wyjechał. Okazało się, że nie było potrzeby sprzedawać biżuterii, nie miała jednak sposobu, by go o tym powiadomić. Znów zaczęła się zastanawiać, gdzie on się podziewa. Podśuchiwanie pod drzwiami wyjaśniło przynajmniej jedną wątpliwość: Cecil nie obrabował wicehrabiego, bo w przeciwnym razie nie byłby spłukany do suchej nitki i nie musiałyby zaakceptować planu swych kompanów. Więc gdzie był Stacey? Może w Ipswich? Może cieszył się z pieni-

dzy, otrzymanych ze sprzedaży jej precjozów, może przegrywał je w karty, a o niej zapomniał?

Nakazała sobie stanowczo, by o nim nie myśleć, skręcając w bramę Easterley Manor. Powinna wyrzucić go z serca, zapomnieć o jego czułym głosie, o wytchnieniu, jakie oferowały jego ramiona, o pocałunkach i obietnicy powrotu. Nie zasługiwał na większe zaufanie niż Cecil i jego kamraci, a właściwie na jeszcze mniejsze, bo co do tamtych nie miała wątpliwości, że to łajdacy, natomiast Stacey Darton kompletnie zawrócił jej w głowie.

Cecil zadziwiająco spokojnie zareagował na informację, że bratowa zamierza wyprowadzić się z domu i nie protestował przeciwko temu, by panna Quinn odeszła wraz z nią. Zgodził się również wypuścić Betsy, z którą miał wiele starć, odmówił tylko zgody na wyjazd pani Evans.

- Nie mogę zostać bez kucharki - oświadczył i natychmiast zaferował jej dodatkowe obowiązki gospodyni, oczywiście z wyższym wynagrodzeniem. Pani Evans nie potrafiła odrzucić takiej oferty, choć Charlotte zastanawiała się, skąd Cecil weźmie pieniądze na wynagrodzenie. Zyski z kontrabandy musiały być znaczne, ciekawe jednak, jakiego udziału w tym lukratywnym interesie spodziewał się szwagier? Zapewne właśnie dlatego nie próbował jej zatrzymać. Jeśli Charlotte zniknie, nie będzie świadków tego, co się dzieje.

Zapomniała o Cecilu, jego przyjaciółach i szmuglu, rozpaczliwie starała się przestać myśleć o wicehrabim Dartonie i zajęła się pakowaniem osobistych rzeczy i załatwianiem wozu, który miał przewieźć ją i córki do Bocianiego Gniazda.

Przez następnych kilka dni była tak zajęta zadamawianiem się w Bocianim Gnieździe, że nie miała czasu na posępną roz-

myślenia. Przeszłość - szczęśliwe dzieciństwo, małżeństwo i wdowieństwo - należało zostawić za sobą, trzeba żyć dniem dzisiejszym i cieszyć się nim wraz z dziećmi.

Dom nie wymagał zbyt wielu przeróbek. Na ogół wystarczało przesunięcie mebli kapitana MacArthura, tylko z dwóch dużych pokoi przeznaczonych na klasy trzeba było je usunąć, by zrobić miejsce na ławki, krzesła i półki na książki. W domu znajdowało się również kilka sypialni, w tym jedna naprawdę duża, w której Charlotte postanowiła urządzić dormitorium dla uczennic. To oznaczało wyniesienie ogromnego łoża z baldachimem i wstawienie w jego miejsce sześciu małych łóżeczek, postanowiła bowiem przyjąć sześć dziewczynek do internatu. Wiejskie dzieci będą dochodziły tylko na lekcje. Lizzie i Fanny otrzymały we władanie niewielki pokoik.

Zaopatrzona w list pana Hardacre'a do banku w Ipswich, w którym prawnik polecił wypłacenie jej określonej sumy, oraz w długą listę niezbędnych zakupów, Charlotte pożyczła od wielbego Fullera gig i wybrała się wraz z córkami do miasta. Od paru dni nie wychodziły z domu i należała im się wycieczka. Jeśli nawet przemknęła jej przez głowę myśl, że może spotka w Ipswich Staceyę, to szybko odepchnęła ją od siebie. Minęły już dwa tygodnie od chwili, gdy opuścił Parsons End wraz z jej biżuterią, więc nie ulegało wątpliwości, że obecnie wypróbował swój urok na kim innym. Starła się nie zgorzknąć po tym doświadczeniu, czasami jednak bardzo trudno było jej powstrzymać gniew i nienawiść. Jakąż była idiotką, że mu zaufała!

- Dziewczęta, najpierw musimy iść do banku - oświadczyła energicznie, gdy wysiadły z gigu przed zajazdem Pod Wielkim Białym Koniem. - Potem powinienam znaleźć drukarza,

zrobić zakupy i dopiero wtedy będziemy robić to, na co macie ochotę.

- Ja chcę obejrzeć statki! - zawołała Lizzie. Ilekroć były na plaży, wpatrywała się w kołyszące się na falach żaglowce i zgadywała, skąd przypłynęły, dokąd zmierzały i co przewoziły.

- A ja mam ochotę na coś do picia i piernik - poprosiła Fanny.

Charlotte uśmiechnęła się. Fanny była nieustannie głodna.

- Więc zrobimy i jedno, i drugie.

Wyprawa zakończyła się ogromnym sukcesem, bo w stoczni budowano właśnie nowy statek i dziewczynki mogły przyrzec się pracy robotników. Były zupełnie wykończone, kiedy wróciły do zajazdu po gig. Właśnie nadjechał dylizans, więc na dziedzińcu zaroilo się od ludzi. Charlotte nie uprzedziła, o której zamierza wracać, więc gig nie został przygotowany. Kucyk pastora z zadowoleniem żuł siano w boksie tuż obok wspaniałego, białego ogiera.

Nie mogło być wątpliwości: szara strzałka na nosie, dumna głowa, a w dodatku koń zarżał na widok Charlotte, jakby ją poznał.

- Ivor? - Wyciągnęła rękę, by poklepać go po nosie. - Co ty tu robisz? - Odwróciła się, kiedy wszedł stajenny z naręczem derek. - To koń wicehrabiego Dartona, prawda?

- Tak, madame. - Powiesił derki na haku przy drzwiach.

- Czy wicehrabia zatrzymał się w tym zajeździe?

- Nie, madame, zostawił tu tylko konia.

- Kiedy? Dawno temu? Dokąd pojechał? - Nie potrafiła ukryć niepokoju.

Chłopak spojrział na nią z ukosa, jakby zastanawiał się, czy powinien odpowiadać na ten zalew pytań, miał jednak przed sobą niewątpliwie damę, a jego lordowska mość nie zastrzegł przecież, że przyjechał incognito. Jednak...



- Po co pani te informacje? - zapytał.

- Jestem lady Hobart. Czeakałam na niego w Easterley Manor, ale nie przyjechał, więc się niepokoję. Każda informacja będzie mile widziana. - Wyjęła z woreczka garść drobnych monet i podała mu.

- Cóż, milady, niewiele mogę powiedzieć - stwierdził, chowając pieniądze do kieszeni. - Jego lordowska mość zostawił tu konia jakieś dwa tygodnie temu i wsiadł do dyliżansu do Londynu, choć, oczywiście, nie wiem, dokąd się wybierał. Wrócił dwa dni później, ale zaraz znów wyjechał. Powiedział, że nie wie, kiedy wróci, ale gdyby potrzebował konia, to po niego przyśle. Od tego czasu nie dał znaku życia.

- Był zdrowy? Wyglądał na zaniepokojonego albo zmar-twionego, a może się śpieszył?

- Rzeczywiście, śpieszył się, nie zauważyłem jednak, czy był zaniepokojony.

- A dokąd pojechał za drugim razem?

- Nie wiem, milady, naprawdę, ale jeśli nie wróci szybko po tego konia... - Umilkł na widok zbliżającego się do nich koniuszego. - Muszę wracać do pracy, milady.

Podziękowała mu i poprosiła, by zaprzągnął kucyka do gigu. W dziesięć minut później wyruszyła z córkami w drogę powrotną do Parson s End. Nie zbliżyła się do rozwiązania tajemnicy zniknięcia Stacey Dartona, wręcz przeciwnie, sprawa stawała się coraz bardziej zagadkowa. Dokąd pojechał po opuszczeniu Ipswich? Dlaczego wrócił i zaraz wyjechał znowu? Może zamierzał do niej wrócić? A jeśli tak, to czemu nie przyjechał? Z pewnością nie porzuciłby tak cennego konia, do którego na dodatek był bardzo przywiązany. Więc może jednak spotkał go jakiś straszliwy wypadek? Ale dokąd wybierał się w takim pośpiechu? Na pewno nie do niej, bo jechałby konno.

Świeżo odzyskany spokój prysł jak bańka mydlana, Charlotte była równie zaniepokojona jak poprzednio. Jej nastrój musiał udzielić się kucykowi, który położył uszy po sobie i ruszył galopem, aż lekki powozik podskakiwał na drodze i kołysał się na boki.

- Mamo! - krzyknęła Lizzie. - Przewrócisz nas.

Skoncentrowała się więc na powożeniu. Nic się nie zmieniło, powtarzała sobie, jadąc stępą przez wiejskie okolice Suffolku, kompletnie nic. Była tak samo samotna jak poprzednio. Mogła zostawić w zajeździe list do wicehrabiego Dartona z prośbą, by mu go wręczono, gdy się tam pojawi, ale co mu miała napisać? Duma nie pozwalała jej przyznać się do tęsknoty ani domagać się wyjaśnień, co zrobił z jej biżuterią. W końcu uczciwie wygrał ją w karty. Och, dlaczego nie mogła wyrzucić go z pamięci?

Stacey siedział przy łóżku córki i bezradnie patrzył, jak miotła się, próbując uwolnić się spod okrycia, którym została szczelnie owinięta. Zapalenie mózgu, orzekł lekarz rodziny, spowodowane spędzeniem całej nocy na dworze, w wilgotnym powietrzu. Nutka dezaprobaty w głosie medyka nie uszła uwagi Staceya. Jego córka była samowolna i to on ponosił za to odpowiedzialność. Powiedział Charlotte, że ma pretensję do rodziców, ale to nie było sprawiedliwe. Rodzice, starsi ludzie, nie mogli zapanować nad żywiołową Julią. Powinien był rozwiązać ten problem, kiedy przyjechał do domu pod koniec wojny i zobaczył, co się święci, jednak lata spędzone poza domem, wśród mężczyzn, na których mógł w razie czego wrzasnąć czy nawet kazać ich wychłostać - choć niespecjalnie wierzył w skuteczność takich metod - nie nauczyły go postępowania z osieroconymi przez matkę dziewczynkami. Trzeba było Charlotte Hobart, by zaczął to dostrzegać.

Charlotte. Jak sobie radziła? Pewnie już dawno otrzymała list od pana Hardacre'a.

- Wychodzę na człowieka w najwyższym stopniu niekompetentnego - narzekał prawnik. - Co ona sobie pomyśli o doradcy finansowym, który nie zauważył czegoś tak istotnego jak tajemniczy fundusz?

- Potem wyjawimy jej prawdę - odparł Stacey. - Co jest ważniejsze, bezpieczeństwo lady Hobart czy pańska duma?

Tak więc list został wysłany. Stacey na wszelki wypadek podwoił sumę, którą Charlotte wymieniła jako konieczną do założenia szkoły, i natychmiast ruszył do Ipswich. Nie mógł się już doczekać spotkania z Charlotte, chciał zobaczyć radość na jej twarzy, gdy uświadomi sobie, że nie będzie musiała rozstać się z biżuterią. Zobowiązał się sprzedać jej kosztowności, mógł jednak powiedzieć, że tylko je zastawił, po czym wrócić do Ipswich, by je rzekomo wykupić. Chciał je złożyć na jej ręce i patrzeć, jak cudowne oczy rozświetlają się radością. Zamierzał również zaoferować swą pomoc w założeniu szkoły i umieścić tam Julię jako pierwszą uczennicę.

Dyliżans pocztowy wyruszał z Gracechurch Street o wpół do ósmej wieczorem, zostało mu więc kilka godzin do odjazdu i postanowił spędzić je u White'a, gdzie zawsze można było liczyć na smaczny posiłek, a po nim drzemkę w wygodnym fotelu. Pojawił się przed gospodą Pod Skrzydlatym Orłem na czas i wyruszył tą samą trasą, którą odbył poprzedniej nocy, tyle że w przeciwnym kierunku. Tym razem jednak droga wydawała mu się znacznie dłuższa, chociaż kiedy po przyjeździe do zajazdu Pod Wielkim Białym Koniem sprawdził godzinę, okazało się, że przybyli z zaledwie pięciominutowym opóźnieniem w stosunku do planowanego czasu, czyli trzeciej piętnaście.

Przed przyjazdem do Parson's End musiał odwiedzić szkołę, do której wybierał się, gdy po raz pierwszy spotkał Charlotte. Przyzwoitość wymagała, by zawiadomił ich, że rezygnuje z posłania córki do tej placówki. Było jednak zdecydowanie za wcześnie na jakiegokolwiek odwiedziny, a on słał się na nogach ze zmęczenia, wynajął więc pokój w zajęzdzie i położył się spać z prośbą, by go zbudzono o ósmej.

Służący musiał nim mocno szarpać, by Stacey otrząsnął się ze snu, przypomniał sobie jednak, że ma sprawę do załatwienia, a przed zapadnięciem zmroku chciał dotrzeć do Parson's End, więc umył się w rekordowym tempie i szybko zbiegł do salki restauracyjnej na śniadanie.

- Darton!

Rozejrzał się po sali i dostrzegł Gerarda Tophama, który uśmiechał się do niego od sąsiedniego stolika. Podszedł do przyjaciela i uściśnął mu rękę.

- Co tu robisz, Gerry?

- Przecież mówiłem ci, że zamierzam jechać wzdłuż tego wybrzeża, zapomniałeś?

- Prawda, mówiłeś. I co, jakieś sukcesy?

- Na razie nie. Przysiądziesz się? Wyglądasz jak po całonocnym marszu.

- I tak się czuję. - Wyjaśnił przyjacielowi, co się wydarzyło od ich ostatniego spotkania, Gerard zaś zrewanżował się relacją ze swego niewieńczonego powodzeniem polowania na przemytników.

- To szczwane lisy - mówił. - W dodatku połowa ludności gotowa jest ich osłaniać. Z ich punktu widzenia Szmuglerzy wykonują dobrą robotę. Nie dostrzegają drugiej strony medalu, zastraszania, przemocy i strat, jakie ponosi gospodarka kraju. Przysmykają na to oczy dla paru butelek brandy i pół

funta tytoniu. A przecież, jak to wszystko zsumować, to okazuje się, że mamy do czynienia z ogromnym biznesem. Wiem, że na coś się zanosi, ale jeszcze nie wpadłem na trop.

- Może szukasz w nieodpowiednim miejscu?

- Na to wygląda. Teraz zamierzam ruszyć na północ. Może razem pojedziemy do Parsons End?

- Chciałbym, ale muszę najpierw odbyć pewną wizytę. Pewnie cię dogonię.

- Dobrze. W takim razie na mnie czas. - Wstał. - Gdybyś dowiedział się o czymkolwiek, to daj mi znać, dobrze? Napisz list na adres tutejszego Urzędu Celnego, a oni już mnie znajdą. - Uścisnęli sobie ręce i rozstali się.

Staceyowi wydawało się wówczas, że nie na długo. Zamierzał dogonić przyjaciela jeszcze przed Parson's End.

Stało się jednak inaczej, bo kiedy około dziesiątej dotarł do szkoły, okazało się, że czekał tam na niego list od ojca. „Julia jest bardzo chora”. Tylko tyle. Ani słowa wyjaśnienia.

Pośpiesznie poszedł po Iwora, uznał jednak, że konno jechałby zbyt wolno, więc wsiadł do dylżansu pocztowego zmierzającego do Norwich, a tam wynajął bryczkę do domu. Przez całą drogę umierał z niepokoju, gnębiony poczuciem winy.

- To dziecko potrzebuje matki - oznajmił ojciec, gdy tylko Stacey stanął w progu. - Powinieneś coś w tej sprawie zrobić, zamiast uganiać się po całym kraju na tym swoim ogromnym ogierze i udawać, że sprawdzasz szkoły. Szukamy cię od tygodnia. Wysłałem list na adres szkoły w Ipswich, do której rzekomo się wybierałeś, ale chłopak, który zawiózł wiadomość, twierdzi, że nie widzieli cię tam na oczy. Gdzie byłeś?

- Szukałem szkoły i znalazłem sto razy lepszą od tej w Ipswich. - Był zmęczony, zgnębiony i zgoniony, rozdarty pomię-

dzy swą powinnością, nie, swą miłością do córki a miłością i niepokojem o Charlotte, zdana na łaskę i niełaskę trzech łajdaków. Powinna już otrzymać środki, które pozwolą jej rozjeżdżać się za domem do wynajęcia. Udało jej się? Wyprowadziła się z Easterley Manor? A jeśli tak, to dokąd pojechała? Byłoby w pełni zrozumiałe, gdyby nie zostawiła nowego adresu, a w takim razie jak miał ją odnaleźć? Zresztą nie mógł wyruszyć na poszukiwanie, dopóki Julia nie wyzdrowieje. Czuł się rozdarty.

- Co się stało? - zapytał, patrząc, jak służąca przeciera wilgotnym ręcznikiem czoło jego córki.

- Spędziła całą noc na deszczu - odparł ojciec.

- Całą noc w deszczu? - Stacey złapał się na tym, że niebezpiecznie podniósł głos, więc zniżył go do szeptu. - Dlaczego? A gdzie wy byliście? Jak mogliście do tego dopuścić?

- Milordzie, jeśli nie potrafi pan panować nad głosem, to będę zmuszona wyprosić pana z pokoju chorej - powiedziała pielęgniarka.

- Zejdźmy na dół, tam będziemy mogli spokojnie porozmawiać - zaproponował hrabia. - Pielęgniarka zawiadomi nas, gdyby nastąpiła jakaś zmiana.

Stacey podążył za nim do ogromnego, przestronnego salonu, w którym czekała na nich matka.

- Co u niej? - zapytała, podnosząc wzrok znad robótki.

- Bez zmian - odparł jej mąż. - Nie pozostaje nam nic innego jak czekać, aż gorączka opadnie.

- Usiądź, Stacey - poprosiła, bo syn stał zwrócony plecami do kominka. - Zdenerwowanie nic tu nie pomoże.

Zamaszyście usiadł na najbliższym krześle. Nadal był wzburzony, nadal dręczyły go bezradność i poczucie winy, ale gniew już wygasł. Co mu przyjdzie z oskarżania rodziców?

- Powiedźcie, jak to się stało - poprosił znużonym głosem. - Dłaczego Julia spędziła całą noc na dworze?

- Wszystko zaczęło się od niewydarzonego szczeniaka - wyjaśnił hrabia. - Wiesz, jaką ona ma słabość do zwierząt...

Stacey nie wiedział, ale powstrzymał się od komentarza.

- Mów dalej - poprosił cicho.

- Powiedziałem jej, że jest do niczego i trzeba go uspić. Gdyby mu pozwolić dorosnąć, osłabiłby sforę.

- Czyli był to szczeniak z miotu psów myśliwskich?

- Oczywiście. A po co miałbym żywić inne psy? Tak czy owak, ona jakoś dziwnie go polubiła i kiedy Bolton przyszedł, żeby z nim zrobić porządek, złapała psiaka na ręce i uciekła. Bolton próbował ją gonić, ale jest stary i zreumatyzowany, więc bez trudu zostawiła go za sobą. Myśleliśmy, że jak zgłodnieje, to wróci do domu, jak zawsze, ale tym razem nie wróciła. Wysłałem wszystkich ludzi na poszukiwania, sam też poszedłem, ale nie znaleźliśmy jej ani na terenie majątku, ani we wsi. Zaczęliśmy przeszukiwać wrzosowisko, ale ściemniło się i musiałem wstrzymać akcję do świtu. Gdybyś był w domu, moglibyśmy kontynuować poszukiwania i w nocy, ale ciebie nie było, a ona mogła być wszędzie. Miałem nadzieję, modliłem się, by znalazła jakieś schronienie na noc i wróciła do domu, kiedy się rozwidni...

- Więc gdzie była?

- Za wrzosowiskiem, niemal na moczarach, dalej, niż się spodziewałem. Jest uparta jak muł i postanowiła, że nie wróci do domu, dopóki nie zapomnimy o likwidacji tego szczeniaka. Następnego dnia w powietrzu wisiła tak gęsta mgła, że nie widzieliśmy własnej ręki, ale chodziliśmy i wołaliśmy ją bez przerwy. W końcu to pies zdradził nam miejsce jej pobytu. Usłyszeliśmy jego szczekanie. Julia schroniła się przed

deszczem pod występem skalnym, ale skała nie uchroniła jej przed wilgocią, a nie wzięła płaszcza. Rękami tuliła do siebie psa, który dostarczał jej trochę ciepła. Była półprzytomna. I jest w tym stanie do tej pory.

- A gdzie ty byłeś? - zapytała matka. - To do ciebie niepodobne, by zaniedbywać swe obowiązki.

Uśmiechnął się krzywo na myśl o tym, jakiej odpowiedzi na to pytanie udzieliłaby Charlotte. Jego poczucie obowiązku i miłość powinny iść ręką w rękę, więc dlaczego tak nie było? Czyżby uważał, że wychowanie córki to nie jest męska sprawa? A może nie pogodził się z tym, że żona urodziła mu córkę, podczas gdy on pragnął syna? Jeżeli to prawda, to było to niewybaczalne i powinien natychmiast położyć temu kres. Oczywiście jeżeli otrzyma od losu drugą szansę. Dopiero gdy jego córka stanęła na granicy życia i śmierci, zrozumiał, ile dla niego znaczy.

- Później to wytłumaczę - powiedział i wrócił do pokoju Julii.

Nadal siedział u jej wezgłowie, gdy w dwadzieścia cztery godziny później otworzyła oczy. Nie zauważył tego, bo drzemał w niewygodnej pozycji w fotelu, który przysunął do łóżka. Miał potargane włosy i trzydniowy zarost na twarzy.

- Tato. - Cichutki głos obudził go w jednej chwili. - To ty?

Drgnął, przeciągnął się, pochylił się nad córką i ujął jej dłoń.

- Tak, Julio. Moja kochana. - Jej oczy były przytomne, gorączka ustąpiła, pozostał tylko lekki rumieniec na policzkach. - Jak się czujesz?

- Dziwnie. Chce mi się pić.

Pomógł jej się napić, po czym położył ją delikatnie na poduszce.



- Co tu robisz? - zapytała ze zdumieniem, jakby to było ostatnie miejsce, w którym by się go spodziewała.

Poczuł bolesne ukłucie wyrzutów sumienia.

- Czuwam nad tobą. Napędziłaś nam wszystkim strachu, wiesz? - Cisnęły mu się na usta gniewne pytania, dlaczego była taką idiotką i uciekła, przyprawiając dziadków o śmiertelne przerażenie, ale nagle usłyszał w głowie głos Charlotte tak wyraźnie, jakby stała obok niego w pokoju: „To biedne dziecko nie potrzebuje karcenia. Była zziębnięta i przerażona, ale nie ustąpiła. Wykazała się nie lada odwagą. Powinieneś ją wesprzeć, a nie łąać”. Uśmiechnął się. - Ale jesteś już bezpieczna i tylko to się liczy.

- A piesek? Zabrali mi go.

- Byłaś chora i musiano cię położyć do łóżka, ale nie martw się, jest bezpieczny i pod dobrą opieką. - Wstał, pogładził jej rękę i wyszedł z pokoju. Po pięciu minutach wrócił ze szczeniakiem na rękach.

Pod jego nieobecność do pokoju weszła pielęgniarka. Na widok psa zerwała się z oburzeniem.

- Milordzie, nie wolno przynosić zwierząt do pokoju chorego!

- Owszem, wolno. Moja córkaomal nie umarła, żeby go ocalić, a on zrewanżował się, ratując jej życie. Szybciej wróci do zdrowia, mając tego psiaka przy sobie. - Mimo protestów pielęgniarki położył zwierzę na łóżku obok córki. Dziewczynka natychmiast przytuliła szczeniaka do siebie.

- Och, tato, dziękuję. - Po raz pierwszy uśmiechnęła się do niego serdecznie, a Stacey ogarnęło uczucie szczęścia.

- Zachowałaś się bardzo dzielnie, córeczko, a teraz musisz postarać się wyzdrowieć. Później porozmawiamy. Chcę się wykapać, ogolić i przebrać w czyste ubranie. Czuję się jak włóczęga.

Zachichotała.

- I wyglądasz jak włośczęga. - Była jeszcze jednak bardzo osłabiona, więc wymruczała sennie: - Ale chyba wolę cię takiego, niż kiedy jesteś taki surowy i nieskazitelny.

- Och, Charlotte - westchnął, wróciwszy do swego pokoju. - Miałaś rację i nie mogę się już doczekać, by ci o tym powiedzieć, ale muszę uzbroić się w cierpliwość. Ty, jak nikt inny, będziesz to w stanie zrozumieć.

## Rozdział siódmy

Powóz zatrzymał się przed drzwiami Bocianiego Gniazda i Stacey zeskoczył na ziemię, nie czekając, aż Jem zlezie z koźła i opuści schodek.

- Zaczekaj tutaj - powiedział do Julii, podbiegł do drzwi i zapukał.

Napisał do Charlotte na adres Easterley Manor, kiedy tylko Julia zaczęła wracać do zdrowia, ale nie otrzymał odpowiedzi. Zadawał sobie pytanie, czy wyjechała, nie zostawiając nowego adresu, czy też nadal mieszka we dworze, nie mogąc się wyprowadzić. Może ci łąjdacy przejęli jej korespondencję, dowiedzieli się, że dostała pieniądze i znaleźli sposób, by je odebrać? Niepewność doprowadzała go niemal do szaleństwa.

Nie mógł się doczekać, by sprawdzić, co się z nią działo, ale obiecał sobie, że już nigdy nie zostawi córki samej. I zamierzał dotrzymać tej obietnicy, więc czuwał nad Julią dzień po dniu, siadywał przy jej łóżku i przynosił smakołyki, aż wreszcie nabrała sił na tyle, by ubrać się i zejść na dół. Nadal jednak czuł się przy niej niepewnie, nie bardzo wiedział, o czym z nią rozmawiać. Zaczynał jej coś opowiadać, po czym dochodził do wniosku, że nie jest to historia przeznaczona dla uszu dziewczynki.

O czym, u licha, rozmawia się z dziewczynkami? O lekcjach? To ją wyraźnie nudziło. O modzie i życiu towarzyskim? Twierdziła, że to dla niej nieważne. O zwierzętach? To już lepiej. Ojciec Stacey'a nie mylił się, Julia rzeczywiście miała w sobie odrobinę kobiecości - a mianowicie miękkie serce dla ptaków i zwierząt. Susan Handy opowiadała mu, jak kiedyś jego córka zaryzykowała życie, by obronić małego liska osaczonego przez sforę psów gończych. Kochała również jazdę konną. To ich łączyło i gdy tylko dziewczynka odzyskała siły, wypuszczali się na długie przejażdżki. Galopowali po polach otaczających Malcomby Hall. W stajniach majątku było kilka wierzchowców, ale Stacey tęsknił za Ivozem i zamierzał odebrać go najszybciej, jak to będzie możliwe, a przy okazji zwrócić lady Hobart biżuterię. Na razie jednak musiał skoncentrować się na Julii.

Pomału zaczynała się przed nim otwierać i okazało się, że jest uroczą, inteligentną dziewczynką, która więcej wie o otaczającej ich przyrodzie niż on, natomiast załośnię mało o literaturze, matematyce, geografii czy historii. Nie interesowały jej kobiece zajęcia, na przykład ręczne robótki, i gdy ją do nich zmuszano, wychodziły jej skandalicznie krzywe i nierówne ścięgi, chociaż miała zręczne paluszki i dobrze rysowała. Widział jej szkice zajęcy i gronostajów, zadziwiająco trafnie uchwyconych.

Nadal nienawidziła wszelkich form dyscypliny. Poznawanie córki zapowiadało się na proces długi i niełatwy, choć Stacey odkrył w sobie takie pokłady miłości, jakich się nie spodziewał. Tęsknił jednak coraz bardziej za Charlotte. Nic nie pomagało powtarzanie sobie, że była silną kobietą i jeśli potrafiła okiełznać tuzin dzieciaków, to poradzi sobie z trzema źle wychowanymi mężczyznami, a jej szwagier, pomimo rozlicznych wad, nie pozwoli swym kompanom jej skrzywdzić.

Dreńczył go nie tylko niepokój o jej los, ale również poczucie, że pozwolił, by wymknęło mu się z rąk coś bardzo cennego, na co czekał całe życie. Pragnął być przy niej, chronić ją, sprzeczać się z nią i godzić, tulić i całować jej czerwone wargi, poznawać każdy cal jej ciała. To nie była tylko czysta żądza, choć niewątpliwie bardzo silna, ale prawdziwa, głęboka miłość.

Czy jednak zastanie ją w Parsons End? Czy będzie gotowa zrezygnować ze swych planów, by zostać jego żoną? A może skorzysta z szansy ucieczki od dotychczasowego życia i zostanie wicehrabiną? Nie wolno mu jednak zapomnieć o Julii. Jej wrogość mogła skutecznie uprzykrzyć jego żonie życie. To wszystko, oczywiście, tylko spekulacje. Bo nie wiedział przecież, co o nim sądziła Charlotte. Sprawił jej zawód i choć napisał do niej list z wyjaśnieniami, to najwyraźniej nie zdołał jej udobruchać, skoro nie odpisała, że rozumie i wybacza.

Takie myśli kłębiły mu się w głowie pewnego dnia pod koniec kwietnia, gdy nagle zauważył ogłoszenie w londyńskiej gazecie, którą przysyłano codziennie do Malcomby na zamówienie jego ojca:

*Szkoła sir Grenville'a Hobarta dla dziewcząt z najlepszych domów ma jeszcze kilka wolnych miejsc. Szkoła jest położona na własnym gruncie i zapewnia odpowiedni poziom edukacji dla młodych dam.*

Uśmiechnął się na słowo „odpowiedni”. Gotów był pójść o zakład, że Charlotte rozumiała pod tym określeniem zupełnie co innego niż większość matek jej uczennic. Ogłoszenie odsyłało zainteresowanych do prospektu i podawało adres Johna Hardacre'a. Więc Charlotte miała jednak własną szkołę. Natychmiast napisał do prawnika z prośbą o adres.

- Chciałabyś wybrać się ze mną na wycieczkę? - zapytał Julię

w dniu, kiedy otrzymał odpowiedź. Dziewczynka już całkowicie wróciła do sił, ale ponieważ Stacey obiecał sobie, że nigdy więcej jej nie opuści, więc musiała pojechać z nim. Była bardzo samodzielna, więc panna Handy mogła zostać w domu.

I oto stał przed drzwiami Bocianiego Gniazda, niepewny jak zostanie przyjęty, zdenerwowany ponad wszelkie wyobrażenie. Czy Charlotte odebrała jego list i postanowiła go zignorować? Może uznała, że nie warto zaprztać sobie Staceyem głowy? A jeśli znienawidziła go za to, że sprawił jej taki zawód? Może uznała go za złodzieja? Dotknął palcami schowanego w kieszeni woreczka. Czy te świecidełka przekonają Charlotte, że jednak nie był łajdakiem?

Drzwi zostały otwarte i Stacey zobaczył przed sobą jedną ze służących z Easterley Manor; Betsy, jeśli dobrze pamiętał jej imię. Nie powitała go zbyt życzliwie, bez wątpienia kojarzyła go z lordem Hobartem i jego gośćmi. Uśmiechnął się i dotknął runda kapelusza.

- Czy zastałem lady Hobart?

- Nie, milordzie - odparła sucho.

- A kiedy wróci? Mam za sobą długą podróż, a przyjechałem z córką. - Wskazał głową powóz. Julia w przekrzywionym czepku wystawiła głowę przez okno i rozglądała się ciekawie dokoła. - Czy możemy wejść do domu i poczekać?

- Nie mogę pana wpuścić pod nieobecność milady - odparła Betsy, zagrządzając drogę swą potężną sylwetką. - Proszę wrócić później.

- To przecież jest szkoła. Jak to możliwe, by nikogo nie było? - Stacey zaczynał już tracić cierpliwość, choć zdawał sobie sprawę, że to niesprawiedliwe. Betsy broniła tylko swojej pani, a zapewne otrzymała polecenie, by nie wpuszczać nikogo, szczególnie zaś gości z Easterley Manor.

- Wszyscy są na plaży.  
 - Rozumiem. Dziękuję. - Podeszedł do powozu, który kupił specjalnie na tę wyprawę. Był to lekki, dwukonny pojazd, którym mógł powozić Jem, jego osobisty służący. - Chodź, Julio - powiedział, otwierając drzwiczki. - Pójdziemy na spacer.

Charlotte nie miała na razie żadnej płatnej uczennicy, ale powtarzała sobie, że nie należy za wiele oczekiwać w tak krótkim czasie, tym bardziej że jej metody nauczania były dość niekonwencjonalne i musiała dopiero udowodnić ich skuteczność. Pan Hardacre obiecał powiedzieć o niej parę ciepłych słów rodzicom, mającym córki w wieku szkolnym, ale na razie nie doczekała się żadnej reakcji.

Wiejskie dzieci przychodziły codziennie na lekcje z Fanny i Lizzie. Zaczynały o dziewiątej, a kończyły o drugiej. Charlotte była nieustannie zajęta przygotowaniem się do zajęć i prowadzeniem lekcji, ponieważ na razie nie zatrudniła nauczycieli i do przedmiotów, których nie czuła się na siłach uczyć sama, angażowała, jak dawniej, wielebnego Fullera. Starła się jak najoszczędniej korzystać z otrzymanych od pana Hardacre'a środków, bo nie wiedziała, jak długo może potrwać ta sytuacja. Bez czesnego za naukę zamożnych uczennic zapewne niezbyt długo.

Jej życie codzienne toczyło się teraz gładko i spokojnie, ale pod względem emocjonalnym było równie nieuporządkowane jak dawniej. Rozczarowanie postępkami Stacey Dartona było bardzo głębokie, ale choć powtarzała sobie ciągle, że był dwulicowym draniem i podstępnie wyłudził od niej biżuterię, to nie mogła wyrzucić go z serca. Jego obraz nawiedzał ją w śnie i na jawie, w klasie szkolnej i w kuchni, w sypialni dziewczynek, gdy przychodziła wieczorami sprawdzić, czy córeczki

leżą już w łózkach, przeszkadzał jej nawet podczas modlitwy. Szczególnie podczas modlitwy.

Stacey stanowił jedyny jasny punkt w tamtych ponurych dniach spędzonych w Easterley Manor po przyjeździe Cecila wraz z kompanami i Charlotte nie mogła uwierzyć, że był równie zły i podły jak tamci. Wciąż wracała pamięcią do jego podyktowanych troską ostrzeżeń, do chwil, gdy odwracał od niej obelżywą uwagę pozostałych, do zwrotu pięciu gwinei, ukradzionych jej przez Cecila, do odzyskania biżuterii. Ciągłe czuła na ustach dotyk jego warg, rozbrzmiewały jej w uszach jego zapewnienia, że wróci... Lecz nie wrócił. Ależ musiał się z niej wyśmiewać! Czemu jednak zostawił w zajeździe cennego wierzchowca? Czy Ivor nadal tam stał, czy też został już odebrany? Dokąd Stacey pojechał? Czy stało mu się coś złego i dlatego nie mógł wrócić? Nie chciała nawet myśleć, że został ranny, ale czy nie byłoby to łatwiejsze do zniesienia niż podejrzenia, że ją oszukał?

Powtarzała sobie nieustannie, że nie ma sensu dręczyć się takimi pytaniami i coraz częściej udawało jej się odsuwać je od siebie. Dzisiaj jednak, z niewiadomych powodów, nie była w stanie myśleć o niczym innym, dlatego zabrała dzieci na plażę. Niestety, nie okazało się to najlepszym pomysłem, ponieważ to tu właśnie spotkała Staceya po raz pierwszy, to tu poczuła na sobie badawcze spojrzenie jego wesołych, brązowych oczu. Jakby był wszędzie, w wietrze wiejącym od morza, w falach rozbryzgujących się na brzegu, w powietrzu, którym oddychała, szedł ku niej brzegiem morza. To tylko wytwór twojej wyobraźni, powiedziała sobie surowo.

Tym razem jego obraz nie chciał jakoś rozwiązać się bez śladu. Zbliżał się tak powoli, że miała czas przyrzeć się każdemu szczegółowi jego stroju. Miał na sobie ciemnozielony surdut z wysokim kołnierzem, jasnobrązowe pantaloony i wypolero-



wane do połysku wysokie buty. Kapelusz trzymał w ręku, by nie porwał go wiatr, rozwiewający jego ciemne włosy. Był tutaj naprawdę! Wrócił!

Nie mogła się poruszyć z wrażenia. Fale przyływu obmywały jej stopy, podniecone dzieci umilkły i w ciszy przypatrywały się eleganckiemu przybyszowi, a ona nawet nie drgnęła. W jej sercu miłość i gniew toczyły zjadłą walkę. Nie wiedziała, co robić. Chciała biec ku niemu i ze łzami radości rzucić się w ramiona, a równocześnie pragnęła walić go pięściami w pierś i wyzywać od złodziei, zdrajców i nikczemników. Jednak głos również ją zawiódł, nie była w stanie wykrztusić ani słowa.

Zatrzymał się w odległości trzech stóp od niej, badał oczyma jej twarz.

- Witam, lady Hobart. - Zostało to powiedziane cicho, jakby z wahaniem, choć wicehrabia Darton był przecież zbyt pewny siebie, by odczuwać zdenerwowanie.

To rozdrażniło Charlotte. Czyżby spodziewał się, że powita go z otwartymi ramionami?

- Witam, milordzie. - Zdażyła już opanować się na tyle, by odpowiedzieć na jego powitanie. - Nie spodziewałam się już pana spotkać.

- Mówiłem, że wrócę. - Rozejrzał się wokoło, szukając wzrokiem płatnych uczennic, które Charlotte miała nadzieję zdobyć, ale zobaczył jedynie jej dwie córeczki i wiejskie dzieci. Czy to znaczy, że jej szkoła nie rozpoczęła jeszcze działalności?

- To prawda, ale między słowem a czynem jest znaczna różnica. Sześciotygodniowa różnica.

- Przykro mi z tego powodu. - Dopiero w tym momencie zauważyła, że nie przyszedł sam. Za jego plecami stała dziewczynka w bladuróżowej muslinowej sukience i jedwabnej perlerynie. Miała na głowie słomiany kapelusik, spod którego

wymykały się ciemnobrązowe włosy w tym samym kolorze co Stacey, ale jej oczy, również jak u ojca złocistobrązowe, pozbawione były wesołych iskierek. Prawdę mówiąc, wyglądała jak uparta oślica. Stacey wziął ją za rękę i pociągnął do przodu. - Pozwoli pani przedstawić sobie moją córkę, Julię. Julio, to lady Hobart.

Charlotte uśmiechnęła się do niej.

- Witaj, Julio. Tak wiele o tobie słyszałam, że cieszę się, iż mogę cię wreszcie poznać.

Stacey dotknął pleców córki, która z przymusem dygnęła i mruknęła:

- Milady.

- Chodź, poznasz dzieci. - Charlotte wzięła ją za rękę. - To Elizabeth, a to Frances. Ten łobuziak to Danny, a malutka dziewczynka przy nim to jego siostra, Meg. - Wymieniała imiona wszystkich dzieci po kolei, a w końcu dodała: - Zbieramy muszle, by zobaczyć, ile jest różnych rodzajów, a potem sprawdzimy w książkach, jak się nazywają. Chcesz się przyłączyć?

Wiejskie dzieci przyglądały się jej biernie, ale Lizzie, najbliższa jej wiekiem, wzięła Julię za rękę i zaczęła jej pokazywać znaleziska. Charlotte, która postanowiła być chłodna i pełna godności, zwróciła się w stronę Stacey.

- Co pana sprowadza do Parson s End, milordzie?

- Nie zakończyłem jeszcze wszystkich spraw w tej okolicy. - Dłaczego, na litość boską, prowadził z nią szermierkę słowną, zamiast porwać ją w ramiona, skoro o niczym innym nie marzył? No, na oczach tej gromadki dzieci nie bardzo mógł sobie na to pozwolić, powinien być jednak nieco sympatyczniejszy. - Być może pamięta pani, że szukałem szkoły dla swojej córki.

- Tak, ale pamiętam również, że zgodnie uznaliśmy, iż w Parsons End raczej pan takiej nie znajdzie.

- Nie przypominam sobie takiej zgody. Wręcz przeciwnie, pamiętam, że bardzo mnie zainteresowały pani pomysły. Zakładam, że ma pani szkołę, bo widziałem ogłoszenia...

- Szkoła istnieje. - Charlotte była zimna i opryskliwa, na co nic nie potrafiła poradzić. W końcu to on był nie w porządku! Nie zamierzała narazić się na kolejne upokorzenie i okazać mu, jak bardzo czuła się zraniona. - Na szczęście okazało się, że mogłam się obyć bez pieniędzy ze sprzedaży biżuterii, bo w przeciwnym razie do tej pory mieszkałabym w Easterley Manor, narażona na obelgi tamtych strasznych ludzi, a może nawet coś gorszego.

- Boże uchowaj.

- Owszem, Bóg mnie strzegł. Bóg to zrobił, bo na panu, jak się okazało, nie można polegać. Nie rozumiem tylko jednego. Skoro już uciekł pan z moją biżuterią, to po co pan teraz wrócił?

- Tak pani sądziła? Że uciekłem z pani biżuterią?

- A co miałam myśleć?

- Mogła mi pani zaufać.

- Zaufałam i od tej pory ciągle zadawałam sobie pytanie, dlaczego. Na szczęście pan Hardacre odkrył poniewczasie, że mój drogi, kochany Grenville jednak o mnie zadbał.

Stacey skrzywił się, słysząc ciepłe słowa Charlotte pod adresem zmarłego męża. Nie był to jednak odpowiedni moment, by powiedzieć jej, komu zawdzięczała szczęśliwą odmianę losu.

- Więc postanowiła pani zrealizować swój projekt założenia szkoły.

- Tak, oczywiście. Dlaczego miałabym zrezygnować?

- Skoro mąż zabezpieczył panią finansowo, to nie było potrzeby...

- Rzeczywiście, nie było potrzeby - rzuciła drwiąco. - Tyle że od dawna pragnęłam to zrobić. Wydawało mi się, że pan to rozumie, okazało się jednak, że nie najlepiej orientuję się, co się dzieje w męskich głowach. Myślą jedno, a robią drugie...  
- Spojrzała na Staceya i nagle pożałowała, że nie mogąc zacząć tej rozmowy od nowa. Tak bardzo pragnęła, by się wytłuma-  
czył, okazał choć odrobinę skruchy, przekonał ją, że niesłusz-  
nie w niego zwątpiła... Nie zrobił nic z tych rzeczy, patrzył  
tylko na nią w taki sposób, że osłabła. Nie zauważyła, że przy-  
pływ podniósł znacznie poziom morza, że wiatr wzbudził fale.  
Stacey, który stał zwrócony twarzą do morza, dostrzegł zbliża-  
jącą się ku nim wielką falę, więc złapał Charlotte w ramiona  
i zaniósł w bezpieczne miejsce.

Nie wypuszczając jej z objęć, odwrócił się, by sprawdzić,  
czy żadnemu z dzieci nic nie groziło, ale maluchy z piskiem  
radości i trwogi bezpiecznie uciekły przed ogromnym grzy-  
waczem. Teraz z otwartymi ze zdziwienia ustami przyglądały  
się nieznanemu, który trzymał w ramionach ich panią, nie  
zamierzając postawić jej na ziemi.

- Proszę mnie natychmiast puścić - syknęła mu do ucha  
Charlotte.

- Jeśli muszę - odparł z komicznym westchnieniem i psot-  
nym uśmiechem na ustach.

- Oczywiście, że tak. Nie jesteśmy tu sami. Dzieci...

No tak, dzieci. Nie zapominał o ich obecności i właśnie  
dlatego nie potrafił mówić z nią otwarcie o swych uczuciach.  
Charlotte zresztą okazywała mu taką niechęć, tak wyraźnie  
chciała go ukarać, że zrozumiał, iż jego uczucia nie były od-  
wzajemnione. Postawił ją na piasku, nie puszczając jednak jej  
ręki, bo zbliżała się ku nim kolejna, jeszcze większa fala.

- Biegiem, dzieciaki, biegiem! - zawołał i wolną ręką

podniósł małą Meg. Zapędził gromadkę w bezpieczne miejsce u podnóża klifu i dopiero tam niechętnie puścił dłoń Charlotte i postawił Meg na nóżkach. Kiedy dzieci zaczęły wkładać buciki, zauważył, że Julia stała na uboczu i bacznie mu się przyglądała. Jego zachowanie najwyraźniej ją zirytowało, a ostatnią rzeczą, jakiej pragnął, był antagonizm pomiędzy nią a Charlotte. Podszedł do córki, objął ją ramieniem i razem zaczęli wspinać się ścieżką prowadzącą do Bocianiego Gniazda.

Jego rozmowa z Charlotte została niespodziewanie przerwana, zanim padły jakiegokolwiek wyjaśnienia czy deklaracje. Bizuteria nadal spoczywała w jego kieszeni. Pomimo zniecierpliwienia musiał poczekać na bardziej odpowiedni moment.

- Lady Hobart prowadzi szkołę - wyjaśnił Julii. Szli przodem, wyprzedzając nieco pozostałych. - Nietypową szkołę.

- Rzeczywiście. Szkołę dla włóczęgów i pastuchów...

- I młodych dam. Elizabeth i Frances to młode damy. Nie czułaś się dobrze w ich towarzystwie?

- Nawet nie najgorzej, choć to prostaczki, a pozostałe dzieciaki są takie brudne i obdarte...

- To nie ich wina, że są biedne, Julio. Ty, na szczęście, nigdy nie zaznasz nędzy, ale powinnaś okazać współczucie tym, dla których los okazał się mniej łaskawy.

- Tato, chyba nie chcesz umieścić mnie w tej szkole, prawda?

- Myślisz, że nie spodobałoby ci się tutaj?

- Co za różnica, tu czy gdzie indziej. Przywieziesz mnie i zostawisz jak starą walizę, a potem wszyscy będą okropni, każą mi siedzieć spokojnie i wkuwać nudne lekcje. W końcu będę musiała uciec.

- To nie byłoby najmądrzejsze. - Zamilkł. Julia stała się ostatnio znacznie bardziej ustępliwa, więc myślał... miał na-

dzieję, że nie zgłosi sprzeciwu. Szczególnie gdy zobaczy, jak uroczą i otwartą jest Charlotte.

- W ogóle nie widzę powodu, by chodzić do szkoły. W domu też mogę się nauczyć wszystkiego, co powinnam wiedzieć.

- Znasz powód. - Nie był w stanie usunąć irytacji z głosu. Miał tyle planów, tyle marzeń, tyle nadziei... Tak bardzo pragnął, by jego córka pokochała Charlotte równie mocno jak on. Co zrobi, jeśli dwie najbliższe mu istoty nie będą w stanie się porozumieć? A przede wszystkim co zrobi Charlotte? Odmówi mu, co do tego nie miał wątpliwości. Trzeba również wziąć pod uwagę jej dzieci. Och, dlaczego miłość musi być tak skomplikowana? Jego małżeństwo z Anne-Marie zostało zawarte bez najmniejszych komplikacji, ale i bez miłości.

- W domu nie nauczyłaś się odpowiedniego zachowania. To nie matematykę i literaturę musisz przede wszystkim poznać, ale to, jak powinna postępować młoda dama...

- W kontaktach z pastuchami! Tato, jesteś niekonsekwentny. Nie podobało ci się, że zadawałam się z wiejskim chłopakiem z Malcomby, a przecież oni... - ruchem głowy wskazała wspinające się za nimi dzieci - ...w niczym się od niego nie różnią. Poza, oczywiście, tą panią. Choć musiałam najwyraźniej zostać źle poinformowana, bo wydawało mi się, że prawdziwa dama nie pozwala dżentelmenom brać się na ręce i nosić...

- Dosyć, Julio - rzucił Stacey stanowczo. - Zbyt wiele sobie pozwalasz.

- Panno Darton. - Nie zauważyli, że Charlotte szła tuż za nimi i musiała wszystko słyszeć. - Wcale nie chcę, byś tu została jako uczennica, tylko jako młodsza nauczycielka tych maluchów. Naprawdę potrzebuję pomocy.

Julia odwróciła się i spojrzała na Charlotte ze zdziwieniem.

- Dlaczego ja? Jestem ignorantką. Tata mi to ciągle powtarza. Nie boi się pani, że ich sprowadzę na złą drogę? Jestem okropna, wie pani? - Mówiła to, jakby się przechwalała.

- Okropna? - powtórzyła Charlotte, udając wielkie zdumienie. - Kto tak twierdzi?

- Wszyscy. Babcia, panna Handy, tata...

Charlotte posłała Staceyowi miażdżące spojrzenie. Już otwierał usta, by coś powiedzieć, ale nakazała mu wzrokiem milczenie.

- A co ty sama co o tym sądzisz? Uważasz, że naprawdę jesteś okropna?

Julia westchnęła.

- Chyba muszę być, skoro wszyscy mają do mnie pretensje.

- Jestem pewna, że to nieprawda. Może funkcjonowałybyś lepiej, gdybyś oderwała się na pewien czas od otoczenia, które zawsze doszukuje się w tobie jakiejś winy? A ja naprawdę potrzebuję pomocy przy maluchach.

- Serio?

- Tak. Ty pomożesz mnie, a ja postaram się pomóc tobie w pozbyciu się złej reputacji - stwierdziła Charlotte z serdecznym, szczerym uśmiechem, na co Julia zareagowała krótkim chichotem. - Umowa stoi?

- Jaka umowa?

- Zostań tu przez miesiąc na próbę. Jeśli ci się nie spodoba, to poproszę, by tata zabrał cię do domu i poszukał szkoły, która będzie ci bardziej odpowiadała. Nie widziałas jeszcze domu, prawda? Boże, jak ja mogłam oczekiwać, że podejmiesz tak ważną decyzję, nie sprawdzisz warunków, jakie oferuję. Chodź, jesteśmy już prawie na miejscu.

Złożenie na Julię ciężaru decyzji działo cuda. Kiedy dotarły na szczyt klifu, dziewczynka już się uśmiechała. Char-

lotte poprowadziła ją do budynku, całkowicie ignorując Stacey'a, który podążał za nimi w biernym milczeniu.

Zwiedzanie szkoły rozpoczęło się dopiero po wyprawieniu dzieci do domów. Jenkins, który chętnie zgodził się pracować przez parę godzin dziennie, zaprowadził konie i powóz Stacey'a do stajni, a jego służącemu, Jemowi, wskazał drogę do kuchni, gdzie Betsy podała mu posiłek. Potem Stacey i Charlotte zostawili Julię z Lizzie i Fanny w pokoju szkolnym, by sobie pogadały, i przeszli do bawialni, do której Betsy przyniosła tacę z zastawą do herbaty. Od wejścia do domu zamienili bardzo niewiele słów. Panujące między nimi napięcie sprawiało, że każda myśl, każdy początek rozmowy wydawał się pełen podtekstów i ukrytych znaczeń. Charlotte zajęła się nalewaniem herbaty, by ukryć skrepowanie.

- Jest pan zadowolony z ustaleń? - zapytała w końcu. Spojrzała na niego i natychmiast tego pożałowała. Wpatrywał się w nią tak intensywnie, jakby jego brązowe oczy pragnęły przeniknąć ją na wskroś, przejrzeć każdą jej myśl. Gdyby tylko wiedział! Och, czemu musiał tu wrócić i zniszczyć jej z trudem odzyskaną równowagę. Dlaczego nie trzymał się z dala i nie zostawił jej w spokoju? A przecież zaledwie pół godziny (emu tęskniła za nim, modliła się o jego powrót. Czyżby sama nie wiedziała, czego chce?

- Chodzi pani o Julię?

- Oczywiście. Przecież o niej rozmawiamy, prawda?

- Tak, o niej - przyznał. - Dlaczego powiedziała jej pani, że potrzebuje pomocy? Jakim sposobem mogłaby zostać nauczycielką? Ona jest...

- Córką wicehrabiego i wnuczką hrabiego - dokończyła za niego Charlotte. - A więc stoi ponad takimi przyziemnymi zajęciami.



Postanowił nie zdradzać, że wie o arystokratycznym pochodzeniu Charlotte. Nigdy mu o tym nie wspomniała, więc zapytałaby zapewne, skąd się o tym dowiedział, a nie mógł przecież przyznać się do wizyty u Hardacre'a. Zresztą nie chciał, by pomyślała, że miało to na niego wpływ.

- Nie to miałem na myśli, milady. Ciekawi mnie tylko, czego mogłaby nauczyć pani uczniów. Może tylko sprowadzić ich na złą drogę, jak sama powiedziała.

- Nic takiego nie powiedziała. Zapytała, czy nie boję się, że sprowadzi ich na złą drogę, a to zasadnicza różnica. Zresztą zapewniam pana, że nie zostanie pozostawiona bez nadzoru. - Podała mu filiżankę herbaty. - Julia potrzebuje dowartościowania, milordzie. Prosząc ją o pomoc, dałam jej do zrozumienia, że ją cenię.

Uśmiechnął się.

- Oto lekcja numer dwa.

- Przepraszam, milordzie, nie chciałam robić panu wykładów. Powiedział pan „lekcja numer dwa”, czyżby była kiedyś pierwsza? - Podała mu talerzyk i podsunęła ciasteczka.

- Owszem, była. Właśnie dlatego tak długo nie wracałem. Pierwsza lekcja była o tym, że muszę poświęcić córce więcej czasu.

- Och. - Poczują się tak, jakby uszło z niej powietrze, ale potem nagle zeszytniała. - Jednak to jeszcze nie wyjaśnia dlaczego nie przyjechał pan do Parson's End przed wyjazdem do domu.

- Wytłumaczyłem to w liście przesłanym do Easterley Manor, bo innego adresu nie miałem. Zostałem pilnie wezwany do domu, bo Julia bardzo poważnie zachorowała, obawiano się nawet o jej życie. Natychmiast pojechałem, by być przy niej, zaniedbując przyjęty na siebie obowiązek sprzedaży pa-

ni biżuterii. Myślałem, że załatwię to w Norwich i prześlę pani pieniądze przez posłańca, ale Julia była w takim stanie, że przez dwa tygodnie nie odchodziłem od jej łóżka, a potem czekałem, by nabrała sił przed podróżą.

Charlotte ugięła się pod ciężarem wyrzutów sumienia.

- Tak mi przykro, milordzie. Proszę o wybaczenie...

- Domyślam się, że nie otrzymała pani mojego listu?

- Nie. Ojej, czy przesłał mi pan również pieniądze? Jeśli tak, to obawiam się...

- Nie, wiedziałem przecież, jak się rzeczy mają w Easterley Manor. Zresztą zanim Julia wydobrzała na tyle, bym mógł ją zostawić na kilka godzin, zauważyłem w gazecie pani ogłoszenie o szkole i doszedłem do wniosku, że znalazła pani inne źródło sfinansowania. Pomyślałem więc, że być może wołałaby pani w tej sytuacji nie sprzedawać swoich precjozów i przywoziłem je z powrotem. - Wyjął z kieszeni aksamitny woreczek z biżuterią i podał Charlotte. - Oczywiście, jeśli nadal pragnie pani...

- Och, milordzie! - Wysypała na dłoń swoje klejnoty, jej oczy rozjaśniły się radością. - Jak to dobrze, że pan ich nie sprzedał! Dziękuję. Dziękuję. I przepraszam, że w pana zwątpiłam.

Stacey popijał herbatę i obserwował Charlotte, jak z miłością dotyka biżuterii, która miała dla niej tak wielką wartość sentymentalną, bo przywodziła wspomnienia o bardzo przez nią kochanym mężu. Poczuł ukłucie bólu nie tylko dlatego, że nie była jeszcze gotowa spojrzeć na niego z takim samym uczuciem, ale również dlatego, że w swoim małżeństwie tego nie zaznał.

- Wspomniała pani, że zmarły mąż jakoś panią zabezpieczył - powiedział, gdy Charlotte schowała biżuterię na powrót do woreczka. - Jak się pani o tym dowiedziała?

- Pan Hardacre zauważył to, przeglądając papiery Grenville'a. Mój mąż zrobił jakieś inwestycje tuż przed wyjazdem do Hiszpanii i przepisał je na mnie. Nie wiem, jak prawnik mógł to przeoczyć, ale dobrze się złożyło, bo nie mogłam już spędzić kolejnej nocy w Easterley Manor.

- Czy ci dwaj nadal tam są?

- Cecil, sir Roland i pan Spike zostali i pozostaną jeszcze przez pewien czas. Słyszałam, jak planowali nowe niegodziwości.

- Zamierzam ich odwiedzić.

- Dlaczego?

- Mówiłem pani, jeszcze nie zakończyłem pewnych spraw.

- Rozczarował mnie pan, milordzie. - Zadzwoiła leżącym na tacy dzwoneczkiem. - Myślałam, że odrobił pan lekcję.

Stacey wybuchnął śmiechem.

- Lekcja numer trzy. Zapomnij o hazardzie. Jednak hazard, droga lady Hobart, jest dopuszczalny, oczywiście pod warunkiem, że się wygrywa.

- Nie można zawsze wygrywać.

- Nie. - Nagle spowaźniał. - Nie można zawsze wygrywać i nie zawsze dostaje się to, czego się pragnie. - Urwał, bo do pokoju weszła Betsy.

- Możesz już zabrać tacę - powiedziała Charlotte.

- Przyjmie pani Julię, milady? - zapytał Stacey po długim milczeniu, które zapadło po wyjściu Betsy.

Oboje myśleli o znaczeniu jego ostatnich słów. On znał ich sens, ale czy dotarł również do lady Hobart?

- Jeśli się zgodzi.

- Niechętnie się z nią rozstaje. - Zauważył lekki uśmieszek Charlotte i roześmiał się na głos. - Wiem, co sobie pani pomyślała. Dotąd nie miałem oporów przed zostawianiem córki,

lecz teraz wszystko się zmieniło. Przez ostatnich kilka tygodni, gdy leżała chora, zacząłem ją trochę lepiej rozumieć.

- Wiele jeszcze przed panem.

- Właśnie to zamierzałem powiedzieć. Czyta pani w moich myślach, milady. - Uśmiechnął się trochę krzywo.

- Nie może pan tu z nią zostać, milordzie. To byłoby w najwyższym stopniu...

- Niestosowne?

Roześmiała się.

- W każdym razie wzbudziłoby pewne wątpliwości, na które nie mogę sobie pozwolić. Już i tak jestem postrzegana jako osoba dość niekonwencjonalna, a przecież muszę zdobyć płatne uczennice. Gdyby pan tu został, zburzyłby pan powszechnie akceptowany obraz szkoły, którego zachowanie jest istotne dla wszystkich, również dla Julii.

- Wiem. Właśnie dlatego powiedziałem, że wybieram się do Easterley Manor. Jeśli tam zamieszkać, będę mógł często widywać Julię, nie wchodząc pani w paradę.

- Tak, rozumiem - odparła Charlotte, trochę rozczarowana, że to nie ją chciał widywać. Coś się w nim zmieniło od czasu, gdy opuścił Easterley Manor. Coś sprawiło, że córka stała się dla niego ważniejsza niż miłość do ekscentrycznej nauczycielki. I słusznie... Postanowiła nie dopuścić, by zauważył, jak bardzo jest jej przykro. - Poszukam Julii.

Również wstał i podszedł do kominka. Zaczął się zastanawiać, jak dalej postępować z Charlotte. Zobaczywszy ją ponownie, utwierdził się w przekonaniu, że ją kocha i pragnie z nią spędzić resztę życia, ona jednak odgradzała się od niego rozmową o szkole, o Julii, o tym swoim cholernym mężu. Jakby za wszelką cenę próbowała powstrzymać go przed wyznaniem, co mu leżało na sercu.

Podszedł do okna i spojrzął na morze. Było bardzo wzburzone, fale rozbijały się o brzeg z miarowym łoskotem, nadpływały i cofały się niezmordowanie w odwiecznym rytmie. Pomyślał z nagłym gniewem, że Charlotte jest taka sama. To dawała mu nadzieję, to znów odtrącała, kiedy przestał być jej potrzebny, gdy odzyskała swoje klejnoty, a szkoła ruszyła. Co by powiedziała, gdyby wyszło na jaw, że to jemu zawdzięczała potrzebne środki, a nie temu swojemu zmarłemu sir Grenville'owi? Widok jej zaszokowanej twarzy sprawiłby mu niejaką satysfakcję, ale oznaczałby zapewne ostateczne pożegnanie się z nadzieją, że kiedykolwiek zdoła zdobyć tę kobietę.

Odwrócił się od okna, gdy do pokoju weszły Julia i Charlotte.

- No i? - zwrócił się do córki. - Zostaniesz tutaj?

- A mam jakiś wybór?

Westchnął ciężko.

- Tak, masz wybór.

Roześmiała się.

- To właśnie chciałam usłyszeć! - Widząc jednak ciemniejące z gniewu oczy ojca, dodała: - Tak, zostanę. Lady Hobart przekonała mnie, że jestem tu potrzebna, a chyba wiesz, że każdy chce się czuć potrzebny.

- Lekcja numer cztery - mruknął Stacey pod nosem, by nikt nie usłyszał.

Zostawił powóz w wozowni Bocianiego Gniazda i Jema pograżonego w rozmowie z Jenkinsem, i udał się spacerkiem do Easterley Manor.

- No, no, no, czy to nie kuzyn Darton - wycedził Cecil, gdy lokaj wprowadził Staceya do małego saloniku na tyłach domu, gdzie trzech kompani siedzieli przy stole. O dziwo nie grali

w karty, choć przy każdym z nich stał kieliszek koniaku. Sir Roland na widok gościa pośpiesznie zebrał rozłożone na stole papiery. - Czemu zawdzięczamy, że zaszczyliłeś nas wizytą?

- Niezakończonym sprawom. Mam plik twoich weksli...

- Za późno - zaśmiał się Augustus. - Już nic nie zostało.

- Nie powinieneś kontynuować gry, wiedząc, że posiadane przeze mnie weksle mają pierwszeństwo w terminie płatności. - Zostało to powiedziane spokojnie, ale w jego głosie pojawiła się niebezpieczna nutka.

- Wyjechałeś.

- Musiałem załatwić pewne sprawy.

- A tak, sprzedać biżuterię mojej bratowej. Założę się, że okazała się mniej warta, niż sądziłeś, i dlatego przyjechałeś z powrotem. Ten się jednak śmieje najlepiej, kto śmieje się ostatni. W tym wypadku my!

- Nadal jednak jestem w posiadaniu weksli lorda Hobarta, które w ten czy inny sposób muszą zostać wykupione. - Przed rozstaniem Charlotte ostrzegła go o planowanym przemyśle. Zaniepokoił się nie tylko ze względu na Julię, którą przywiózł na miejsce przyszłego przestępstwa, ale i w obawie o bezpieczeństwo Charlotte. Gerard uświadomił mu, jak groźni byli ludzie trudniący się tak zwanym wolnym handlem. Postanowił dowiedzieć się jak najwięcej, po czym wezwać przyjaciela. Na początek przygwoździ Hobarta, by wił się jak robak na szpilce.

- Nie wyciśnie pan krwi z kamienia, wicehrabio - oświadczył sir Roland. - Cecil nie ma kompletnie nic.

- A właśnie że mam! - zawołał lord i po raz kolejny udowodnił to, o czym wszyscy doskonale wiedzieli, że był nałogowcem całkowicie uzależnionym od hazardu. - Zagramy o te weksle. Jeśli wygram, to je podrzesz.

- A jeśli ja wygram?  
 - To zapłacę za nie o połowę drożej.  
 - Co mi zaproponujesz jako zastaw? - zapytał Stacey. - Dom?  
 - Nie bądź idiotą, Hobart - wtrącił się Spike. - Ten dom jest nam potrzebny.

- Tak? - Stacey zdradził lekkie zainteresowanie. - A co w nim takiego ciekawego? Jest stary, obskurny i położony z dala od świata.

Cecil roześmiał się.

- I to właśnie jest jego głównym atutem, kuzynie.  
 - Zamknij się, Hobart! - warknął Augustus.  
 - I co, milordzie? - zwrócił się Cecil do Staceya.  
 - Zagram, ale tylko o pieniądze. Twoja forsa za moje weksle, i to o wartości nominalnej, a nie tej, za jaką je kupiłem. - Stacey zdawał sobie sprawę, że w razie przegranej podwoi swoje straty, był jednak na to przygotowany. Ryzykował, by dowiedzieć się, skąd i w jaki sposób Cecil chce zdobyć pieniądze. - Powiedz mi jednak, skoro jesteś kompletnie spłukany, to skąd weźmiesz środki na wykup weksli?

- Będę je miał. - Cecil poklepał się po nosie. - To wymaga jednak pewnych zabiegów. Powiedzmy trzech dni, licząc od dzisiaj. Zasiądziemy do gry w niedzielę po drugim śniadaniu.

- Czy do tego czasu mogę się tutaj zatrzymać?

- Tak, ale moja bratowa nie jest już tu gospodynią, więc nie licz na ciąg dalszy flirtu.

- Szkoda - stwierdził Stacey lakonicznie. - Dokąd wyjechała?

- Niedaleko - odparł Cecil. - Przeniosła się do domu na klifie. Najwyraźniej woli towarzystwo dzieci niż dorosłych mężczyzn, którzy mieliby jej co nieco do zaferowania. Wpadniesz do niej?

- Możliwe. Do rozpoczęcia naszej gry nie będę miał nic innego do roboty, chyba że zaplanowałeś jakieś rozrywki.

Cecil zachichotał, ale Augustus uciszył go jednym groźnym spojrzeniem.

- Nie, nic nie planowałem - oświadczył. - Idź odwiedzić wdowę, trochę ją rozerwiesz.

Weszła pani Evans z informacją, że podano obiad i pytaniem, czy położyć dodatkowe nakrycie dla lorda Dartona.

- Tak - odparł Cecil. - I niech ktoś przygotuje dla niego pokój.

Kucharka była zbyt dumna ze swych umiejętności zawodowych, by przygotować marny posiłek, więc pomimo jej niechęci do pracodawcy zjedli znakomitą pieczeń wołową, a na deser tartę migdałową. Potem zagrali w wista o orzechy stojące na bocznym stoliczku. Stacey dał im satysfakcję i bardzo szybko przegrał cały swój zapas, po czym wstał, ziewnął i oznajmił, że jest zmęczony po podróży, więc idzie się położyć.

Zostawił ich w trakcie kłótni, kto na początku gry miał więcej orzechów i czy duże mają tę samą wartość co małe. Poszedł do swojego pokoju, ale nie rozebrał się i po kilku minutach znów zszedł na dół, by podsłuchiwać pod drzwiami. Były wykonane z grubego drewna, więc docierały do niego tylko pojedyncze słowa. „Księżyc i przypływ” padały kilkakrotnie, usłyszał również „tragarze na łajbę”, co chyba oznaczało, że potrzebowali ludzi do przeniesienia ładunku ze statku przemytniczego do kryjówki. Domyślił się, że zamierzają zatrudnić ludzi z wioski, gotowych dla zarobku na każde ryzyko. To postawiło przed nim dylemat. Jeśli zawiadomi Gerarda Tophama, to Staż Ochrony Wybrzeża aresztuje wszystkich złapanych na gorącym uczynku, nie tylko przywódców. Czy



tego właśnie pragnął? Wrócił do pokoju i wyciągnął się na łóżku, by przemyśleć ten problem.

Rano, po zjedzeniu śniadania, wybrał się spacerkiem do Bocianiego Gniazda, Betsy oświadczyła jednak, że milady prowadzi lekcję i nie wolno jej przerywać.

- Nie zamierzam przeszkadzać - zapewnił Stacey, zdejmując kapelusz. - Będę siedział na tym krześle, dopóki milady nie wyjdzie z klasy. - I zanim zdążyła zaprotestować, usiadł na małym krzeselku stojącym przy drzwiach pokoju, w którym odbywały się zajęcia.

- Jak pan sobie życzy - mruknęła służąca z rozdrażnieniem. - Ten świat naprawdę schodzi na psy, skoro już nawet dżentelmen nie rozumie, że nie jest mile widziany. - Po czym odmaszerowała do kuchni, w której przygotowywała klops na obiad.

Słyszał przez drzwi stłumiony głos Charlotte i cienkie głosiki dzieci, odpowiadających na jej pytania. Była to niewątpliwie lekcja geografii, bo opowiadała uczniom o pierwszych odkrywcach Ameryki, o tym, że kraj ten należał początkowo do Korony Brytyjskiej, ale potem jego mieszkańcy wywalczyli sobie niepodległość, mówiła również o towarach, które eksportowano i importowano. Nie mógł oprzeć się pokusie i zajął przez dziurkę od klucza.

Charlotte stała twarzą do drzwi, ubrana jak zwykle w żałobną suknię. Prosty fason podkreślał zgrabną sylwetkę, wąską talię, pełny biust i kształtne biodra. Stacey puścił wodze fantazji i wyobraził ją sobie w eleganckiej, modnej kreacji - w odcieniu nasyconej czerwieni, pomyślał, lub niebieskim jak wiosenne niebo, albo na przykład cytrynowym. Tak, cytrynowym z jasnozielonymi i kremowymi wstawkami. Gładka

fryzura pasowała dyrektorze szkoły, Stacey widział ją jednak oczami duszy uczesaną w luźny, grecki kok. A czarną, koronkową narzutkę na włosy zastąpił niewielkim, przypinanym z tyłu głowy kapelusikiem, który podkreślał kształtne czoło, piękne oczy i długą szyję.

- Czy ktoś umie powiedzieć, ile trwałaby podróż z Ameryki do Ipswich? - zapytała Charlotte, pokazując palcem trasę na globusie.

- To zależy, psze pani, od wiatru i prądów morskich, nie? - zgłosił się Danny White.

- Tak, to prawda - przyznała, nie zwracając uwagi na formę, w jakiej się do niej zwrócił. - A gdyby i wiatr, i prądy były przychylne?

- Osiem tygodni, milady - powiedziało jakieś dziecko, którego Stacey nie widział, podobnie zresztą jak Julii. - Tak twierdzi mój tatko, a on się na tym zna, bo przecież jest marynarzem.

Charlotte uśmiechnęła się do chłopca i Stacey pomyślał, że ten uśmiech rozjaśnił wszystko dokoła, jakby słońce wyszło zza chmur. Gdybyż to do niego uśmiechała się w taki sposób! Ona jednak rezerwowała uśmiech dla uczniów; przy nim była albo zagniewana, albo z trudem powstrzymywała łzy.

Usłyszał, że ktoś nadchodzi, więc niechętnie oderwał oko od dziurki od klucza i wrócił na krzeselko. Pokójówka ze sterłą czystej bielizny pościelowej przeszła obok niego i zaczęła wchodzić na piętro. Nagle otworzyły się drzwi klasy i dzieci wybiegły na korytarz, a za nimi wyszły Charlotte i Julia, tak pogrążone w rozmowie, że go nie zauważyły.

- Może później będziemy mogły wyjść z domu - mówiła Charlotte. - Kiedy dzieci rozejdą się już do domów, opowiesz mi o sobie.

- Myślałam, że tata wszystko pani powiedział.

- Nie. Zresztą chcę to usłyszeć od ciebie. - Roześmiała się lekko. - Przecież ojcowie nie wszystko wiedzą. Są mężczyznanami, więc skąd mają wiedzieć, co myślą i czują damy... - Urwała gwałtownie, gdy zauważyła Stacey, który wstał z krzesła na powitanie. Na jej twarz wypłynął ciemny rumieniec. - Nie wiedziałam, że pan tu jest, milordzie.

- Niewątpliwie - odparł z udawaną surowością - bo nie buntowałyby pani córki przeciwko mnie.

- Co tu robisz, tato? Czyżbyś przyjechał, żeby już dziś przekonać się, jak się sprawuję?

- Nie, dotrzymuję tylko obietnicy, że cię nie opuszczę.

- Zaraz siadamy do obiadu - powiedziała Charlotte. - Wiem, że wpół do drugiej to raczej pora na drugie śniadanie niż na obiad, ale chcę dać dzieciakom porządny posiłek, zanim rozejdą się do domów. Zje pan z nami?

- Miałbym usiąść z nimi przy stole? - zapytał Stacey ze zdumieniem.

- Tak, nauka zachowania przy stole stanowi część ich edukacji. Nie wystarczy mówić im, co jest dobre, a co złe, należy im to pokazać, dać przykład.

- Zgadza się, że nasze córki mogą odnieść korzyść z takiej nauki, ale z pewnością nie dzieci wieśniaków.

- Może nie zawsze będą wieśniakami. Bardziej inteligentni spośród nich mogą wspiąć się na wyższy poziom drabiny społecznej.

Julia roześmiała się, więc Stacey zwrócił się do niej z rozdrażnieniem:

- Co cię tak rozbawiło, młoda damo?

- Ty przy jednym stole z dziećmi! Ja nigdy nie jadałam z tobą posiłków, nie wolno mi było wchodzić do jadalni.

- Nie ma zwyczaju, by dzieci...

- Jeśli nie ma pan ochoty usiąść do posiłku z nami, milordzie - powiedziała pośpiesznie Charlotte, by nie dopuścić do kłótni ojca i córki, która musiałaby nieuchronnie zakończyć się ukaraniem Julii - to proszę wrócić, kiedy maluchy rozejdą się już do domów. Potem przyjdzie wielebny Fuller na lekcję łaciny ze starszymi dziećmi, a ja będę miała wolną chwilę, by z panem porozmawiać.

- Ależ będę zachwycony, mogąc dzielić z wami posiłek. - Postanowił ją rozbawić, by znów wkraść się w jej łaski.

Charlotte ustawiła dzieci w pary, po czym zaproponowała mu z uśmiechem:

- Poprowadzimy je do stołu, milordzie?

Udało mu się utrzymać powagę w drodze do jadalni, ale nie zdołał powstrzymać się od śmiechu, gdy chłopcy z wyszukaną grzecznością odsuwali dziewczynkom krzesła i czekali, by usiądły, zanim sami zajęły miejsca. Charlotte nałożyła sobie z podsuniętego przez Betsy półmiska i dopiero kiedy wszyscy zostali obsłużeni, sięgnęła po nóż i widelec. Dzieci obserwowały ją i starały się naśladować jej ruchy, choć niektóre, nieprzyzwyczajone do dostatniego jedzenia, pochłonęły swoje porcje łapczywie. Charlotte nie upomniała ich.

- Przestaną tak się rzucać na jedzenie, kiedy zrozumieją, że jutro znowu dostaną obiad, i pojutrze, i jeszcze następnego dnia - szepnęła do Stacey, który zerkał na dzieci z pewnym zdumieniem, jakby nie do końca wierzył, że tu jest.

Ucieszył się, gdy posiłek dobiegł końca i dzieci zostały odesłane do domów, a Julia, Lizzie i Fanny wróciły do klasy, by zająć się łaciną pod okiem wielebnego Fullera. Wreszcie został sam na sam z Charlotte.

## Rozdział ósmy

- Może przejdziemy się po klifie? - zaproponował. - Tam będziemy bardziej na osobności.

Serce jej podskoczyło, ale zaraz wróciło na swoje miejsce. Pragnienie znalezienia się z nią sam na sam wcale nie musiało oznaczać tego, o czym marzyła. Nigdy nie zauważyła u Stacey'a najmniejszych oznak miłości. Nie była już pensjonarką, więc nie łudziła się, że czułe słówka i pocałunki miały dla niego jakieś szczególne znaczenie. Wicehrabia Darton nie zniżyłby się do małżeństwa z kimś tak lichym jak nauczycielka, a skoro nie potrafił zaakceptować jej taką, jaka była, to lepiej dać sobie z nim spokój. Koniecznie musiała przekonać o tym samą siebie, bo jeśli nie, to będzie zgubiona. Teraz jednak pójdzie z nim na ten spacer i wysłucha, co miał jej do powiedzenia.

- Bardzo chętnie. Wezmę tylko czepek i płaszcz. Wiatr jest nadal bardzo silny.

Zaczekał w holu, a Charlotte po pięciu minutach wróciła gotowa do wyjścia. W milczeniu ruszyli obok siebie dróżką biegnącą szczytem klifu. Żadne z nich nie wiedziało, jak przezwyciężyć kłębiącą się ciszę.

- Był pan w Easterley Manor? - zapytała w końcu.
  - Tak.
  - Jego lordowska mość zdziwił się na pana widok? A może się ucieszył?
  - Myślę, że rzeczywiście był zaskoczony, choć nie jestem pewien, czy się ucieszył. Zaprosił mnie jednak do domu, bo mam kilka jego weksli, które chciały ode mnie odegrać.
  - Nie rozumiem, co ciągnie do hazardu człowieka, który przegrał już wszystko.
  - To chyba jakiś wewnętrzny przymus, irracjonalna pewność, że następne rozdanie odwróci zły los, a kiedy znów się nie udaje, przegrany ryzykuje ponownie w przekonaniu, że zła passa musi minąć. Jeśli, choć zdarza się to bardzo rzadko, to następuje, prawdziwy hazardzista ryzykuje nadal, zamiast odejść od gry.
  - Czy pan tak to odczuwa?
  - Nie, ja nie muszę w taki sposób zdobywać pieniędzy i nigdy nie stawiam więcej, niż mogę przegrać. - Czy teraz także prowadził ryzykowną grę? Czy stawiał własne szczęście i spokój ducha, byle ją tylko zdobyć?
  - Pamiętam, jak mówił pan kiedyś, że wszyscy czasem ryzykujemy, podejmując decyzje. Ja też tak zrobiłam, bo wynajmując Bocianie Gniazdo, nie wiedziałam jeszcze o legacie męża. Nigdy nie czułam takiej ulgi i wdzięczności jak w chwili, gdy otrzymałam wiadomość, że mogę sobie pozwolić na wynajem.
- Uśmiechnął się. Znowu zaciekawiło go, jak zareagowałyby na informację, od kogo naprawdę otrzymała ten legat.
- To dowodzi, że nie ma pani natury hazardzistki, milady.
  - Myślałam zawsze, że Cecil jest po prostu słaby i gdyby nie tamci dwaj, udałoby się nam dojść do porozumienia.

- Może ma pani rację.

Spacerowali dalej w przyjacielskiej atmosferze.

- Jak długo zamierza pan zostać w Easterley Manor?

- Nie wiem. To zależy.

- Od czego, milordzie?

- Od pani - powiedział cicho.

- Ode mnie? - Aż zatrzymała się zdumienia. Odwróciła się, by spojrzeć na Staceyę. Uśmiechał się i patrzył jej w oczy z takim natężeniem, że musiała odwrócić wzrok. - A, już rozumiem. Chce się pan przekonać, jak się sprawdzę w roli preceptorki pana córki.

Zupełnie co innego miał na myśli, ale powstrzymał się od sprostowania jej pomyłki.

- Między innymi. Jak się sprawuje Julia?

- Jest ze mną zbyt krótko, bym ją mogła oceniać - odparła, podejmując spacer.

- A pierwsze wrażenie? Proszę powiedzieć mi prawdę. Jest pani jej nauczycielką i mentorką, więc oczekuję całkowitej szczerości.

- Zapewniam, że może pan liczyć na szczerość - oznajmiła stanowczo. - Z moich dotychczasowych obserwacji wynika, że Julia to inteligentna i żywa młoda dama. Zauważyłam jednak, że bywa uparta, gdy jej się czegoś zabroni lub poprosi, by zrobiła coś, na co nie ma ochoty.

- Szybko to pani zauważyła. Czego nie chciała zrobić?

Charlotte uśmiechnęła się.

- Nie chodziło o nic ważnego. Nie chciała iść do łóżka o tej samej porze co Lizzie i Fanny. Twierdziła, że w domu zawsze kładła się spać, kiedy miała ochotę i że jest już na tyle dorosła, by wiedzieć, kiedy jest śpiąca.

- To вина mojego ojca. Do późnej nocy opowiadał jej nie-

stworzone historie o swych wojennych wyczynach. Panna Handy, guwernantka Julii, bała się hrabiego i nie ośmieliła się protestować. Jak rozwiązała pani ten problem?

- Powiedziałam, że skoro jest tak dorosła, by sama wiedzieć, kiedy jest śpiąca, to powinna też wiedzieć, że długa podróż, całkowita zmiana otoczenia i zawieranie nowych znajomości to wyjątkowo wyczerpujące doświadczenia i że w tej sprawie musi się chyba ze mną zgadzać.

-I zgodziła się?

Charlotte wybuchnęła śmiechem.

- Ledwie trzymała się na nogach, ale z dumnie podniesioną głową oświadczyła, że może się położyć do łóżka, ale nie spodziewa się zasnąć o tak wczesnej porze, więc poczyta, jeśli pozwolę jej palić światło. Zabrała do łóżka powieść sir Waltera Scotta „Waverley”, ale kiedy pięć minut później weszłam do pokoju, by powiedzieć jej dobranoc, spała już kamiennym snem. A książka leżała nawet nieotwarta.

- A dzisiaj?

- Wykonała wszystkie polecenia.

- Bez dyskusji?

- Dlaczego miałyby protestować, skoro tak bardzo się stara pana zadowolić? Ona uważa, że jeśli będę z niej zadowolona, to ją przed panem pochwałę, a wówczas pan pozwoli jej wrócić do domu.

- Tak pani powiedziała?

- Oczywiście że nie, ale nietrudno to wydedukować. Wszystkie dziewczynki są łase na pochwały. - Roześmiała się. - Chłopcy zresztą też. Czasem nawet całkiem duzi chłopcy. Czy pan nie starał się zadowolić ojca, żeby zasłużyć na jego pochwały?

-Owszem!



Dotarli do ścieżki, którą można było zejść na plażę. Stacey zastanowił się, której drogi użyją przemytnicy. Najpewniej tej, która prowadzi przez sosnowy las, bo tam będą najbardziej osłonięci, choć jest dłuższa od innych.

- Możemy zejść na dół? Chciałbym coś zobaczyć.

Wziął Charlotte pod rękę, by podtrzymać ją, gdyby pośliznęła się podczas schodzenia na plażę, i ten drobny dotyk niemal ją obezwładnił. Dotychczas udawało jej się trzymać uczucia na wodzy głównie dzięki temu, że rozmawiali o Julii i szkole, nie była jednak pewna, jak się zachowa, jeśli wicehrabia poruszy tematy bardziej osobiste. Na szczęście nie zdradzał takich zamiarów, co, paradoksalnie, mocno ją rozczarowało.

Chciała wiedzieć, co czuł, zostawiając ją na pastwę losu, by jechać do chorej córki. Nie miała o to do niego żalu, bo inaczej nie mógł postąpić. Nie zamierzała się skarżyć, ale pragnęła usłyszeć, że choć trochę dręczyło go sumienie, że czasami jednak o niej myślał. Tymczasem Stacey wydawał się zainteresowany jedynie umieszczeniem córki w jej szkole i powrotem do alkoholu i hazardu.

- Czy we dworze zdołał się pan czegoś dowiedzieć o szmuglerach, milordzie?

- Starali się z niczym przede mną nie zdradzić, ale udało mi się co nieco podsłuchać. Myślę, że kontrabanda ma przypłynąć w ciągu najbliższych trzech dni, jeśli księżyc, wiatr i prądy będą sprzyjające. - Spojrzał w morze. Na horyzoncie majaczyły sylwetki kilku statków pod pełnymi żaglami. Czy jeden z nich wiozł kontrabandę? Nie sposób się dowiedzieć.

- Co pan zrobi? Doprowadzi do ich aresztowania?

- Jeszcze nie wiem. Jednym z przemytników jest pani szwagier, a skandal może rzucić cień na wszystkich mieszkańców Easterley Manor, również na panią i pani szkołę.

- Przecież wyprowadziłam się stamtąd.
- Tak, ale Bocianie Gniazdo to idealny punkt obserwacyjny, więc mogą się zacząć spekulacje, że zamieszkała tam pani, by służyć szmuglerom pomocą.
- Nikt, kto mnie zna, nie uwierzy w takie gadanie. Dziwię się, że przyszło to panu do głowy.
- Przecież nie powiedziałem, że w to wierzę, prawda? Proszę się tak szybko nie obrażać, milady. Pewnie zaraz mi pani powie, że sir Roland posłużył się panią, by zmusić Cecila do wyrażenia zgody, choć nie jestem przekonany, czy to miało dla niego znaczenie.
- Myślę, że on się ich boi.
- Na pewno. I to jeden z powodów, dla których nie chcę zrobić nic, co mogłoby narazić panią i dzieci na niebezpieczeństwo.
- Niebezpieczeństwo? Nic nam nie grozi. Dlaczego mieli by zawracać sobie nami głowę? - Starła się, by w jej głosie brzmiało przekonanie, ale raczej bez powodzenia.
- Z całego serca pragnę, by tak było, ale błagam panią, proszę trzymać się z dala od plaży i klifu, i dopilnować, by dzieci się tu nie zapuszczały. Ci ludzie to desperaci.
- Ci trzej? - Roześmiała się lekko, ale przeszły ją dziwny dreszcz.
- Nie działają przecież sami. Zatrudniają byłych żołnierzy, bandziorów, ludzi obeznanych z bronią i gotowych jej użyć. Zrobią wszystko, by uniknąć aresztowania, posuną się nawet do morderstwa.
- Morderstwa? - Odwróciła się ku niemu z takim przerażeniem, że ujął jej dłonie.
- Jeśli ktoś stanie im na drodze, będą do tego zdolni. W przemyt mogą być zamieszani również mężczyźni z wioski. Nietrudno namówić przymierającego głodem nędzarza, by

przeniósł towar ze statku do dworu za godziwą opłatą. Nawet ci, którzy mają pracę, skwapliwie skorzystają z szansy zarobienia w ciągu jednej nocy równowartości miesięcznego wynagrodzenia. Jeśli zostaną aresztowani, ucierpią na tym ich rodziny, również te dzieci, które pani uczy, milady.

Tym razem Charlotte nie odsunęła się. Stała bez ruchu, wpatrując się w jego twarz, by coś z niej wyczytać. Daremnie. Czy Stacey nie zamierzał podejmować żadnych działań przeciwko przemytnikom? To oznaczało pójście po linii najmniejszego oporu, choć niewykluczone, że stanowiło najlepsze rozwiązanie. Jeśli dzięki temu wieśniakom nie stanie się nic złego, ich żony nie zostaną wdowami, a dzieci takie jak Danny i Meg White'owie, jej ulubieńcy, nie będą pozbawione ojców.

- Więc postanowił pan przyknać na to oko i pozwolić im robić, co zechcą? Zapewne wiele osób tak postępuje.

- Jeszcze nie wiem, co zrobię, ale nie dopuszczę, by jakkolwiek krzywda spotkała panią, Julię czy którekolwiek z dzieci. Przysięgam. - Kontynuowali spacer, ale tym razem Stacey wsunął sobie jej rękę pod ramię i przyciągnął ją bliżej. Na horyzoncie zaczęły gromadzić się chmury zapowiadające deszcz, a wiatr przybrał na sile. Na coraz bardziej wzburzonym morzu pojawiły się wysokie fale, zakończone białymi, spienionymi grzywami. - Nie tej nocy - mruknął. - Morze jest zbyt wzburzone.

- Ma pan rację, że Bocianie Gniazdo to doskonały punkt obserwacyjny - powiedziała nagle Charlotte. - Z wieży jest doskonały widok na morze, a w dodatku kapitan MacArthur zainstalował na jej szczycie potężny teleskop. Można obserwować morze na wiele mil od brzegu i większość ścieżek na klifie. Kapitan prosił, bym nie pozwalała dzieciom wchodzić na górę, ale mnie wolno. Mogę trzymać wartę.

Uśmiechnął się pobłaźliwie i mocniej przycisnął jej dłoń.

- I co potem?

- Dam panu znać, co zobaczyłam. Możemy ustalić jakiś sygnał, na przykład świetlny.

- Nie, bo ktoś mógłby zauważyć. Przemysłowcy doszliby do wniosku, że nasyła pani na nich Straż Ochrony Wybrzeża, a Straż Ochrony Wybrzeża, że współpracuje pani z przestępcami. Proszę trzymać się od tego z daleka. Zabraniam pani mieszać się do tego.

- Zabrania pan, milordzie? - zapytała ostrym tonem. - Jak pan może mi cokolwiek zabraniać? Nie muszę się przed panem tłumaczyć.

- Owszem, musi pani. Jest pani... - Urwał, uświadomiwszy sobie, że popełnił wielki błąd. Jak ją przekonać? Jak zburzyć mur, który wokół siebie wzniosła? Zmieniła się od czasu, gdy wyjechał z Easterley Manor. Była wówczas w sytuacji bez wyjścia. Podziwiał ją za odwagę i hart ducha, zakochał się w niej, całował ją, a ona nie protestowała, nie uważała tego za ujmę dla siebie. Wyobrażał sobie... miał nadzieję, że oznaczało to zgodę na jego zaloty. Przyjmowała jego pomoc, mówiła, że mu ufa. Teraz przestała go potrzebować, więc odsuwała go od siebie, trzymała na dystans. Zdawał sobie sprawę z tego, że ją zawiódł, ale przecież wszystko jej wyjaśnił, więc dlaczego nie mogli pozostać na tej samej stopie, na której byli przed jego wyjazdem?

Zorientował się nagle, że Charlotte przygląda mu się i wyraźnie czeka, by dokończył zdanie.

- Proszę o wybaczenie - powiedział z oficjalnym ukłonem. - To była arogancka wypowiedź, ale proszę zrozumieć, że szczęście i bezpieczeństwo pani oraz pani domowników leżą mi na sercu i byłbym największym niegodziwcem, gdybym,

mogąc temu zaradzić, dopuścił, by stała się pani jakakolwiek krzywda. - Och, jak strasznie sztywno to zabrzmiało!

- Rozumiem. - Tak jej się wydawało. Troszczył się o swoją reputację, swoją dumę, swój honor, swoją córkę. Ciagle to: swoją! - Zapewniam pana, że nie narażę na niebezpieczeństwo Julii, swoich córek czy pozostałych dzieci.

Ruszyli znowu brzegiem morza. Stacey patrzył przed siebie, szedł sztywno wyprostowany, napięty; Charlotte była zgnębiona i smutna, łykała łzy, ale głowę trzymała wysoko. Napięcie między nimi stawało się trudne do zniesienia.

- Wracamy? - zaproponował.

- Wydawało mi się, że chciał pan coś zobaczyć.

- Widziałem już wszystko, co chciałem zobaczyć.

- I powiedział pan wszystko, co chciał powiedzieć. Najwyraźniej przyprowadził mnie pan tutaj, by zrobić mi wykład.

- Nie, ale widzę, że nie ma pani ochoty słuchać, więc nie będę nadaremnie strzępił języka.

Jak do tego doszło? - pytał się w duchu, gdy ruszyli w drogę powrotną do domu. Nic nie działało się zgodnie z planem. Był skończonym idiotą, sądząc, że Charlotte padnie mu w ramiona tylko dlatego, że oddał jej biżuterię. Dlaczego w ogóle tu wrócił? Mógł znaleźć Julii inną szkołę, a precjoza wysłać przez kuriera. Znał odpowiedź na to pytanie. Nie potrafił trzymać się z dala od tej kobiety. Jego życie związało się z jej życiem nieodwołalnie i wcześniej czy później ona również to zrozumie.

Wiejskie dzieci odnosiły się całkiem bez respektu do szlachetnie urodzonej Julii Darton, więc dziewczynka uświadomiła im wyniosłe, że przysługuje jej ten tytuł. Kiedy zaś jej ojciec zostanie lordem Malcomby, ona będzie tytułowana lady Ju-

lią. Jej bagaże, których rozładowywaniu dzieci przyglądały się z oszołomieniem, składały się z ogromnego kufra, który Jenkins i Betsy z trudem podnieśli, oraz z dwóch toreb podróżnych. Nie mogły sobie nawet wyobrazić, że ktoś mógł mieć aż tyle ubrań. Nawet Lizzie i Fanny były pod wrażeniem.

- Jestem tutaj, aby was uczyć - oświadczyła następnego dnia dzieciom, czekającym w klasie na rozpoczęcie lekcji. - Wszyscy musicie robić, co wam powiem.

Charlotte, która wchodziła właśnie do klasy z naręczem książek, usłyszała te słowa i zastanawiała się, czy skomentować je w jakiś sposób, czy też powstrzymać się od reakcji. Rozejrzała się po klasie. Julia wyglądała na bardzo z siebie zadowoloną, a reszta ze skruszonymi minami usiadła na miejscach.

- Dzień dobry, dzieci - powiedziała.  
 - Zabrać książki, psze pani? - wyrwał się Danny.  
 - Psze pani! - prychnęła Julia pogardliwie, bardzo udatnie naśladowując jego wymowę. - Nie wiesz, jak należy się zwracać do damy? Powinieneś powiedzieć: „Czy mogę wziąć od pani książki, milady”.

Danny popatrzył na nią ze zdumieniem, ale rozpromienił się, gdy Charlotte z uśmiechem podała mu książki.

- Dziękuję, Danny. - Zawsze zwracał się do niej „psze pani”, a ona go nie poprawiała. Teraz jednak miała w klasie uczennicę, której ojciec na pewno nie życzyłby sobie takiej poufałości; to zobowiązywało ją do nauczenia dzieci, jak należy się do niej zwracać. Z drugiej jednak strony złośliwość Julii ją zirytowała.

Zaczerwieniony na twarzy Danny położył książki na jej biurku i wrócił na swoje miejsce. Charlotte stanęła twarzą do klasy. Poza Julią i jej córkami wszystkie dzieci były biednie

ubrane i niedożywione, a w życiu najprawdopodobniej czekało je bardzo niewiele radości, za to dużo ciężkiej pracy.

- Julio, Lizzie, Fanny - powiedziały. - O ile się nie mylę, wielebny zadał wam wczoraj jakieś ćwiczenia z łaciny. Idźcie odrabiać je w jadalni.

- Jak to, teraz? - zapytała Lizzie.

- Tak, teraz.

- Ale mówiła pani, że mam pomagać uczyć maluchy - wtrąciła Julia.

- I będziesz. Po obiedzie porozmawiamy o tym, czego będziesz je uczyć.

Dziewczynki wyszły z pokoju, a wówczas Charlotte zwróciła się do pozostałych dzieci:

- A teraz powiedzcie, czy znacie imię króla Anglii? - zapytała.

- Jerzy - odpowiedział jeden z chłopców. - Ale to wariat, tak twierdzi mój tata.

- Jest chory, ale nie przestaje być naszym królem. A powiedzcie, jak zwrócilibyście się do niego, gdybyście go kiedyś spotkali?

Dzieci roześmiały się, słysząc tak absurdalny pomysł.

- Panie królu? - zaproponowało jedno z nich.

Z uśmiechem poprawiła je i od tego zaczęła się rozmowa o rozmaitych tytułach, uszeregowanych według hierarchii ważności: król, książę, markiz, hrabia, wicehrabia, baron i baronet. Mówiła również, w jaki sposób należy się zwracać do utytułowanych osób. Szybko rozprawiła się z tematem, zdając sobie sprawę, że pewnie niewiele z tego zapamiętają i właściwie nie ma powodu, by pamiętać, po czym przeszła do lekcji czytania. Nauczyciele biednych dzieci posługiwali się zazwyczaj Biblią, starając się wychować uczniów na dobrych chrześ-

cijan, Charlotte uważała jednak, że tekst Księgi jest zbyt trudny dla maluchów, które szybko tracą zainteresowanie, czytając niezrozumiałe słowa. Sięgnęła więc po „Waverley” sir Waltera Scotta, powieść przygodową, której wartka akcja przykuwała uwagę i mogła skłonić dzieci po samodzielnej lektury.

- Chodź, Danny. Stań tutaj - poprosiła, starając się zrekompenzować mu doznane upokorzenie. - Pokaż nam, jak należy to robić.

Chłopiec czytał bardzo dobrze. Początkowo dość wolno, ale z czasem zyskał pewność siebie. Potem przekazywała książkę innym, by każdy z uczniów przeczytał urywek. Po zakończeniu lekcji zaprowadziła dzieci do jadalni na obiad, przy którym dołączyły do nich starsze dziewczynki.

Podczas posiłku Charlotte nie mogła opędzić się od myśli o przemytnikach. Może właśnie w tej właśnie chwili ojcowie jej uczniów odbierali instrukcje? Może będą się kryli ze swymi działaniami przed potomstwem, a może wezmą nawet starszych synów do pomocy? Czy należało się spodziewać znacznej ilości kontrabandy? Chyba nie da się tego przenieść na ląd w taki sposób, by nikt nie zauważył?

- Idźcie prosto do domów - powiedziała dzieciom po obiedzie. - Nie zatrzymujcie się nigdzie po drodze i nie rozmawiajcie z obcymi.

- Dlaczego, psze... to znaczy milady? - Danny poprawił się pośpiesznie, bo dzieci zachichotały. - Taki obcy mógł na przykład zabłądzić i chce zapytać o drogę. Tutaj prawie nikt nie przyjeżdża, pojawiają się tylko tacy, którzy pomylili drogę. Bo tutaj droga się kończy i nigdzie już nie prowadzi.

- Tylko na morze - powiedział Joseph Bowker, którego ojciec był marynarzem.



- Wiem - przyznała, a nie chcąc ich niepokoić, dodała: - Naturalnie możecie wskazać drogę człowiekowi, który zabłądził.

Nikt nie czuł się chyba tak zagubiony jak ja, myślała, patrząc w ślad za dziećmi. Niektóre biegły do domu w podskokach, inne wlokły się noga za nogą, niechętnie wracając do czekających je obowiązków.

- Chciałabym mieć tu swojego konia - mówiła Julia, gdy Charlotte wróciła do saloniku, w którym dziewczynki siedziały nad szyciem. Lizzie cerowała pończochy, Fanny haftowała powłoczkę na poduszkę, choć Charlotte miała poważne wątpliwości, czy ta powłoczka będzie się nadawała do użytku. Na kolanach Julii leżał kawałek materiału i stos motków, ale jej ręce były beczynne. - Marzę o galopie wzdłuż plaży. Poproszę tatę, by posłał po Ebony. Moglibyśmy jeździć razem.

- Pamiętam, że kiedy wicehrabia był tu poprzednio, miał ogromnego, białego ogiera - powiedziała Charlotte. Ciekawe, czy odebrał już go z zajazdu w Ipswich, pomyślała.

- To Ivor. Dostał imię po rosyjskim księciu, który go sprzedał tacie.

- Tym razem chyba nie wzięł go ze sobą.

- Tata gdzieś go zostawił, jadąc do domu. Nie mam pojęcia gdzie. Tak się do mnie śpieszył, że postanowił jechać dyliżansem. Byłam wtedy bardzo chora.

- Wiem. Mam nadzieję, że już całkowicie wróciłaś do zdrowia.

- Tak. Nigdy przedtem nie chorowałam, choć całe dni spędzałam na dworze, niezależnie od pogody. Doktor powiedział, że wyzdrowiałam tylko dzięki silnemu organizmowi.

- Bardzo się cieszę.

- Skoro nie możemy przejechać się konno, to może wyszłybyśmy na spacer?

- Nie dzisiaj. Pamiętasz, miałyśmy porozmawiać, czego mogłabyś uczyć maluchy. Musimy starannie zaplanować plan lekcji, nie zapominając przy tym, że ty sama również musisz się uczyć.

- Jak można równocześnie uczyć siebie i innych?

- Bardzo łatwo. Ja to robię cały czas.

- Pani? - Julia roześmiała się.

- Uczymy się przez całe życie, od momentu narodzin aż do śmierci. Poznajemy nowe przedmioty, nowe widoki, nowe smaki, nowych ludzi i jeśli jesteśmy mądrzy, to staramy się ich zrozumieć. Jesteśmy różni, ale nie przestajemy przez to być istotami ludzkimi, od największych tego świata poczynając, a na najmniejszych kończąc. I każdego z nas może zranić okrucieństwo innych.

- Rozumiem, że to ma być reprimenda.

- Uważasz, że na nią zasługujesz? - zapytała Charlotte spokojnie.

- Nie, dlaczego? - Pytanie zostało zadane ostrym tonem. - Jeśli ktoś nie może znieść, że się go poprawia... - Urwała. - Czemu się pani uśmiecha?

- Nie wiesz?

- Nie.

- Mama uśmiechnęła się, bo to działa w obie strony - wyjaśniła Lizzie. - Ty poprawiałaś Danny'ego, a mama poprawia ciebie.

Julia odwróciła się do niej.

- A tobie nie przeszkadza, że ten łobuziak mówi do twojej mamy „pże pani”?

- Nie, skoro mamie to nie przeszkadza. Z jego strony to nie był brak szacunku, natomiast z twojej tak. Jesteś okropnie arogancka.

- Lizzie! - upomniała córkę Charlotte.  
 - A ty jesteś lizuską, taką małą, rozdeptaną pieczarką! - wrzasnęła Julia.

- Dosyć tego! - Charlotte klasnęła w dłonie.

Dziewczynki zamilkły i wbiły wzrok w trzymane na kolanach robótki. Lizzie zaczęła z wściekłością dźgać pończochę igłą, ale Julia odrzuciła od siebie szycie.

- Nie zostanę tu, nie pozwolę się obrażać! - Wybiegła z pokoju.

Charlotte poszła za nią.

Julia siedziała na łóżku w swoim pokoju z buntowniczą miną, ale w jej wbitych w ścianę oczach błyszczały łzy.

- Nie płacz, Julio. - Charlotte usiadła obok niej i objęła ją ramieniem. - Lizzie nie chciała tego powiedzieć.

- Wcale nie płaczę! Nie płaczę! - zawołała, a potem nagle podała się i przytuliła się do Charlotte. - I nie chodzi o Lizzie...

- Włęc o co?

- O... och, sama nie wiem. Tęsknię za babcią i dziadkiem, za Malcomby i panną Handy, i za wszystkimi zwierzętami. Chcę wracać do domu. Nie cierpię siedzieć zamknięta w czterech ścianach! Powiedziałam, że tu zostanę, żeby zrobić tacie przyjemność, ale on wcale nie będzie zadowolony.

- Dlaczego nie?

- Bo pani mu powie, że byłam niegrzeczna i tata mnie zbije.

- Zbije? - zapytała Charlotte z niedowierzaniem. Nie przypuszczała, by wicehrabia Darton, nawet w chwilach zdenerwowania, mógł podnieść rękę na swoją córkę. - Czy on cię kiedykolwiek uderzył?

- Nie, ale powiedział, że to zrobi, jeśli otrzymam od pani złe oceny.

- Na pewno nie mówił poważnie.

- Mówił - oświadczyła dziewczynka z przekonaniem.
- W takim razie musimy się postarać, żebym nie musiały przedstawiać mu złej oceny. Wytrzymaj oczy i zejdź na dół. Musimy przecież zaplanować twoje lekcje.

Julia zadziwiająco szybko odzyskała spokój i zeszła z Charlotte do saloniku, gdzie przez dłuższy czas omawiały jej rolę pomocnicy nauczycielki. Niewiele czasu zajęło Charlotte odkrycie, że dziewczynka miała spory zasób wiedzy o przyrodzie, o polnych kwiatkach, dzikich zwierzętach, ptakach i ich gniazdach, a że i wiejskie dzieci posiadały praktyczną wiedzę w tej dziedzinie, postanowiła to połączyć i sprawdzić, co z tego wyniknie. Zanim podano herbatę, Julia z entuzjazmem zasiadła nad książką o ptakach, by przygotować się do jutrzejszej lekcji. Charlotte odetchnęła z ulgą i doszła do wniosku, że nie ma potrzeby informować Stacey o zachowaniu jego córki wobec Danny'ego White'a i sprzeczce z Lizzie, która z własnej inicjatywy przeprosiła Julię, otrzymując w zamiar trochę burkliwie przeprosiny Julii.

Następnego dnia młodsze dzieci skupiły się wokół Julii, zaabsorbowane książką o ptakach, a Lizzie i Fanny pisały esej o jakobińskiej rewolucji w 1745 i przyczynach jej upadku, więc Charlotte uznała, że może zostawić uczniów pod okiem Betsy, Joan Quinn oraz Jenkinsa i wybrać się do Parsons End. Musiała zrobić zakupy, a przy okazji dowiedzieć się, czy we wsi nie zdarzyło się coś szczególnego. Wicehrabia Darton kazał jej trzymać się z dala od przemysłowców, nie wspominał jednak o zakazie odwiedzania wsi. Troszczył się głównie o to, by nikt nie chodził na plażę. A zresztą, dlaczego miała by przejmować się jego zakazami? Wszyscy wieśniacy ją znali i na pewno nie zrobią jej nic złego.

Od dawna nie była we wsi i natychmiast wyczuła atmosferę tłumionego podniecenia. Wszyscy zajmowali się swymi zwykłymi sprawami, pracowali na roli, obrządzali zwierzęta, rozwieszali pranie i sprząтали domy, byli jednak bardziej ożywieni niż zwykle, często zatrzymywali się, rozglądali się wokół, a pani White podśpiewywała, trzepiąc wycieraczki na podwórku. Wiedzieli, co się święci, wiedzieli wszyscy. Czy powinna coś powiedzieć? Czy powinna ich przestrzec przed poważnymi konsekwencjami, gdyby zostali ujęci z kontrabandą? Przecież doskonale o tym wiedzieli.

- Dzień dobry, milady. - Stacey stał przed nią, uchylając cylindra. Jego brązowe oczy rozświetlone złocistymi iskierkami przesunęły się po jej postaci.

Charlotte zarumieniła się, ale nie spuściła wzroku, jej słodkie oczy koloru morskiej wody wytrzymały jego badawcze spojrzenie.

- Dzień dobry, milordzie.

- Czy w Bocianim Gnieździe wszystko w porządku? - Jak zwykle miała na sobie czarną suknię i czepek. Zastanawiał się, kiedy wreszcie zdecyduje się zdjąć żałobę. Miał nadzieję, że przywdziała ją po śmierci teścia i nie ubierała się na czarno przez całych osiem lat, które upłynęły od straty męża. Kobieta o takiej urodzie i figurze nie powinna przejść przez życie spowita w kir.

- Tak, milordzie. Przyszłam do wioski, żeby uzupełnić zapotrzebowanie. - Uniosła koszyk, w którym miała resztę klopsa z wczorajszego obiadu. Zamierzała go zanieść staruszce, która nie opuszczała domu na skutek reumatyzmu, i dopiero zrobić zakupy. Wiejskie dzieci rzadko odmawiały zjedzenia czegokolwiek, ale starsze dziewczynki były bardziej wybredne, a Betsy zawsze gotowała więcej niż trzeba.

- Musi pani robić to sama? Z pewnością mogła pani ko-  
goś wysłać?

- Lubię odwiedzać chorych. Staram się ulżyć ich losowi.  
Dzieci uczą się pod nadzorem panny Quinn i Betsy.

- Zrobiła już pani zakupy?

- Jeszcze nie, milordzie. Wybieram się na farmę po jajka  
i kurczaki na obiad dla dzieci.

Gdy Stacey wziął od niej koszyk, pani White przestała nu-  
cić i odprowadzała ich wzrokiem.

- Pogoda dzisiaj się uspokoiła - zauważył.

- Tak. Sądzi pan, że to będzie dziś w nocy? - zapytała szep-  
tem, choć nikogo nie było w pobliżu.

- Nie, wszystko wskazuje na to, że nastąpiło niewielkie opóź-  
nienie. Nie wiem, może chodzi o zmylenie czujności strażników.

- Którzy są na ich tropie?

- Nie wiem. - Wzruszył ramionami i nagle zmienił temat. -  
Czy w Ipswich nie dostałaby pani wszystkiego taniej i w lep-  
szym gatunku?

- Możliwe, wolę jednak w miarę możliwości wspierać miej-  
scowych. Poza tym nie mam środka transportu. Muszę po-  
życzać gig od wielebnego Fullera, a nie chcę nadużywać jego  
grzeczności. Wkrótce jednak będę zmuszona wybrać się do  
miasta po pewne rzeczy do szkoły, których we wsi nie dosta-  
nę. Słyszałam dzisiaj, że państwo Tyler zamierzają przysłać do  
mnie swoją córkę.

- Z przyjemnością zabiorę panią moim powozem. Mam coś  
do załatwienia w Ipswich.

- Och, ja nie... nie prosiłam... - Zamilkła zmieszana.

- Wiem, ale muszę się tam wybrać i pani również, więc dla-  
czego nie? - Uśmiechnął się. - Obiecuję nie robić pani żad-  
nych wykładów.

Propozycja była kusząca, ale kiedy Charlotte rozejrzała się dokoła, wyczuła wiszące w powietrzu napięcie i choć nikt nie wspomniał jej ani słowem, że coś się święci, czuła, iż nie powinna zostawiać dzieci bez nadzoru, szczególnie jeśli ich rodzice zamierzali pomagać przemytnikom. Marzyła, żeby już było po wszystkim i by wiesz wróciła do normalnego życia.

- Jestem panu bardzo zobowiązana, milordzie, ale nie mogę zostawić dzieci.

- Pastor z pewnością chętnie poprowadzi lekcje przez jeden dzień, a jego żona zaopiekuje się naszymi córkami. Co pani na to?

Zawahała się. Naprawdę powinna wybrać się do Ipswich, a perspektywa podróży wygodnym powozem była niezwykle pociągająca.

- Nie mogliśmy zabrać ze sobą dziewczynek? Z pewnością ucieszyłyby się z wycieczki, a Lizzie potrzebuje nowych butów.

Niezupełnie tak to sobie wyobrażał, ale lepsze to niż odmowa! Poza tym będzie miał okazję przekonać się na własne oczy, jakie były stosunki pomiędzy Julią i Charlotte.

- Będzie trochę ciasno. Powóz jest czteroosobowy.

- Tak, ale dziewczynki są jeszcze małe.

- Dobrze. Więc wyjeżdżamy jutro.

- Sądzi pan, że do tego czasu nic się nie wydarzy?

- Nie, i z pewnością nic się nie wydarzy w dzień.

- W takim razie porozmawiam z wielebny.

Nie spodziewała się, że wicehrabia Darton będzie jej towarzyszył, ale poszedł z nią do chaty starej pani Warton, gdzie zostawiła klops, a potem wyruszył z nią po jajka i kurczaki. I zaniósł jej kosz na plebanię.

- Oczywiście, że tak, milady - odpowiedział wielebny Fuller na jej prośbę. Zaprosił ich do salonu i poprosił żonę o przyniesienie jakiegoś poczęstunku. Wkrótce cała czwórka raczyła się herbatą i ciasteczkami. - Idziecie na Bal Majowy?

- Bal? - zdumiała się Charlotte. Od dwóch lat, czyli od czasu, gdy stan lorda Hobarta znacząco się pogorszył, zapomniała o balach i wszelkiego rodzaju spotkaniach towarzyskich, chociaż za życia Grenville'a chodziła z nim czasem na bale. W taki właśnie sposób poznali się. Ojciec zabrał ją i matkę na bal w Portsmouth wydawany przez Admiralicję. Była wówczas taka szczęśliwa... ale to już przeszłość, piękne wspomnienie. Posmutniała na myśl, że może już nigdy nie zatańczy. Gdyby spotkała wicehrabiego Stacey'a Dartona w którymś z londyńskich salonów, ich znajomość mogłaby potoczyć się zupełnie inaczej! Gdyby...

- Tak. - Głos pastora szczęśliwie wyrwał ją z zamyślenia. Nie powinna bujać w obłokach. - Pamięta pani, że corocznie wyprawiany jest w Salach Miejskich.

- Pamiętam, ale nie mogę iść na bal, wielebny. Po pierwsze jestem w żałobie, a po drugie musielibyśmy zostać tam na noc.

Pastor uśmiechnął się do Stacey'a, który w milczeniu siedział obok niej na kanapie.

- Te wszystkie problemy można z łatwością przezwyciężyć, milady. Prawda, milordzie?

Stacey stwierdził z zaskoczeniem, że pastor najwyraźniej ich swata i uśmiechnął się.

- Jeśli lady Hobart wyrazi chęć uczestniczenia w balu w Ipswich, będę zaszczycony, mogąc jej towarzyszyć - odparł. - Natomiast jeśli chodzi o nocleg, to da się go bez problemu załatwić, jeżeli pojedzie z nami również pokojówka mila-



dy. Z pewnością można zamówić pokoje w hotelu dla lady Hobart i dziewczynek, a ja znajdę sobie inne lokum.

- Bez wątpienia zmarły lord Hobart nie życzyłby sobie, by z jego powodu odmawiała sobie pani wszelkich przyjemności - dodał pastor, który poczuł sympatię do wicehrabiego Dartona. Był na tyle przyzwoiły, że postanowił zatrzymać się na noc w innym miejscu niż milady. - Powiedziałyby, tak jak ja, że należy się pani odrobina rozrywki.

Charlotte przenosiła wzrok z jednego na drugiego. Obaj się uśmiechali.

- To spisek! - zawołała, tylko trochę zirytowana, bo przecież wiedziała, że pastor chciał dla niej jak najlepiej.

- Och, zaraz spisek - obruszył się wielebny. - Po prostu ostatnio zbyt ciężko pani pracowała i zasłużyła sobie na odrobinę lenistwa. Zajmę się jutro uczniami, a pojutrze wypada sobota, więc i tak nie byłoby lekcji.

- No dobrze... ale w powozie nie starczy miejsca dla panny Quinn.

- Mogę usiąść na koźle, obok stangreta - powiedział Stacey. - Ile jeszcze zgłósi pani obiekcji?

- Już żadnej. Przyjmuję pańską uprzejmą propozycję.

Dopiero w drodze powrotnej do Bocianiego Gniazda uświadomiła sobie, że pastor prawdopodobnie wiedział o przemyśle i za cichym przyzwoleniem wicehrabiego starał się odesłać ją jak najdalej od miejsca zagrożenia. Wcale nie była pewna, czy jej to odpowiada.

Stacey przyjechał następnego dnia po śniadaniu. Dziewczynki, które już od godziny były gotowe do wyjazdu, podbiegły do powozu. Po jednej stronie usiadły Julia i panna Quinn, a po drugiej Lizzie, Fanny i Charlotte. Podniecone dziewczyn-

ki opowiadały sobie, co kupią za te kilka miedziaków, które miały do wydania. Stacey wsunął niewielką torbę podróżną Charlotte pod siedzenie stangreta, obok swojej, i wspiał się na kozioł, by zająć miejsce przy Jemie, który podał mu leżce. Lubił powozić, więc wykorzystywał każdą okazję. Wkrótce powóz toczył się rażno wąskimi, wiejskimi drogami w stronę Ipswich.

Na szczęście pogoda była piękna, choć jeszcze nieco wietrzna. Przybyli do miasta wczesnym popołudniem. Nazwisko i prezencja Staceya, poparte garścią złotych suwerenów, w jednej chwili wyczarowały dla pań apartament w zajeździe Pod Wielkim Białym Koniem, składający się z dwóch sypialni i saloniku.

- Jeśli mnie pani teraz nie potrzebuje, milady, to oddałę się i załatwię swoje sprawy - powiedział Stacey. - Wrócę o ósmej, by zabrać panią na bal.

- To mi jak najbardziej odpowiada, milordzie - odpowiedziała Charlotte równie oficjalnym tonem.

- Bal, mamó? - zapytała Lizzie, jak tylko zamknęły się za nim drzwi. - Nie wiedziałam, że wybierasz się na bal.

- To był pomysł pastora - odparła Charlotte z uśmiechem. - Uznał, że zbyt ciężko pracuję i należy mi się trochę odpoczynku. Poprosił lorda Dartona, by mi towarzyszył, a lord Darton, jako prawdziwy dżentelmen, nie mógł odmówić. Chyba nie masz nic przeciwko temu? Razem spędzimy popołudnie i zjemy obiad, a potem zaopiekuje się wami Quinny. - Mówiąc to, spojrzała na Julię, by sprawdzić jej reakcję, ale dziewczynka miała nieprzeniknioną minę.

- Jestem głodna - zawołała Fanny, całkiem nieświadoma podtekstów tej rozmowy.

- W takim razie zamówimy posiłek, a potem wybierzemy

się na zakupy i zwiedzanie. Wieczorem, jeśli będziecie chciały, pomożecie mi się wystroić.

Gdyby nie obecność córek, czułaby się jak siedemnastolatka, która wybiera się na pierwszy bal. Dlaczego perspektywa pójścia na zabawę w towarzystwie wicehrabiego Stacey'a Dartona miałyby ją denerwować? A jednak Charlotte denerwowała się, i to bardzo.

Stacey poszedł do stajni i wreszcie ponownie spotkał się z Ivorem.

- Upaś się - powiedział do koniuszego.
- Proszę o wybaczenie, milordzie, ale nikt nie mógł na nim jeździć. Chłopak stajenny próbował, ale zleciał z siodła.
- Mam nadzieję, że nic mu się nie stało?
- Nie, milordzie, spadł na stertę siana.
- Zabiorę konia, jak tylko skosztuję pysznego jedzenia w waszej gospodzie - obiecał Darton. - Niech za godzinę czeka już na mnie osiodłany. - Ruszył do gospody i zamówił solidny posiłek, potem wysłał Jema do zajazdu Pod Lwem i Jągnięciem, by zamówił dla nich pokoje, sam zaś ruszył do doków i Izby Celnej. Nie śpieszył się, bo Ivor odwykł od ruchu i potrzebował czasu, by odzyskać dawną formę.

Jechał stępa pogrążony w rozmyślaniach. Gdyby nie zastał Gerarda, to czy powinien zostawić wiadomość? Nie chciał, by do wsi wdarła się gromada obrońców prawa i aresztowała wszystkich, którzy się nawiną. Dziesięć do jednego, że prawdziwi złoczyńcy zdołaliby umknąć, zostawiając wieśniaków na pastwę losu, i to właśnie ci nieszczęśnicy zostaliby osadzeni w więzieniu. Alternatywą było jednak zachowanie milczenia i akceptacja tego, co się miało dokonać. Oznaczało to, że

sir Roland i Augustus Spike ujdą sprawiedliwości. Może zostaną ujęci następnym razem?

Czy będzie ten następny raz? Z pewnością, bo przestępcy łatwo nie zrezygnują z tak znakomitej kryjówki jak Easterley Manor, natomiast ryzyko dla wieśniaków będzie przy każdej operacji coraz większe. Zajmująca Bocianie Gniazdo Charlotte znajdzie się w poważnym niebezpieczeństwie.

Ipswich nie było już tak wielkim portem jak dawniej, nadal jednak panował tu spory ruch i w dokach stało kilka jednostek, między innymi wspaniały statek towarowy. Stacey zatrzymał się, by zamienić kilka słów z pracującym na jego pokładzie marynarzem.

- Prawda, sir, to piękny statek - z dumą stwierdził marynarz. - Jeden z największych w swojej klasie, od dziobu po rufę ma sto pięćdziesiąt trzy stopy. Pan też pływa, sir?

- Nie, jestem żołnierzem. Szukam Izby Celnej, mógłby mi pan wskazać drogę?

Po chwili ruszył w stronę budynku na końcu nabrzeża. Z ulgą zastał tam Gerarda, który powitał go entuzjastycznie.

- Co się z tobą działo, stary druhu? - zapytał, gdy już przedstawił go porucznikowi Tarrentowi. - Mówiłeś, że mnie dogonisz?

- Niestety zostałem zatrzymany. - Stacey wyjaśnił, co się z nim działo. - Właśnie przyjechałem z Parsons End - zakończył.

- Musi być wyjątkowo piękna, skoro ściągnęła cię z powrotem do tej zabitej deskami dziury.

- Ta dziura nie jest taka całkiem zabita deskami - odparł Stacey, ignorując jawną kpinę, po czym dodał, pozornie zmieniając temat. - A co z przemytem?

- Kwitnie. Problem w tym, że ludność nie widzi w nim nic

złego, więc nie śpieszy się z udzielaniem informacji, a nawet jeśli ktoś nie aprobeuje kontrabandy, to boi się, że zostanie ukarany przez bandytów. Zrobiliśmy jednak pewien postęp, choć na razie niewielki. Wiemy z wiarygodnego źródła, że właśnie płynie do nas z kontynentu statek z kontrabandą. Niestety nie wiemy, gdzie ma przycumować.

- Ja wiem - stwierdził Stacey.
- Wiesz?! - wykrzyknął Gerard. - No, dalej!
- Sytuacja jest dość delikatna.
- Jak zawsze. Jesteś w to zamieszany?
- Oczywiście, że nie, ale mam bliskie kontakty z mocodawcami. Obawiam się, że niewinni ludzie zostaną ujęci wraz ze sprawcami.
- Myślisz, że moi agenci są tak źle wyszkoleni, że nie odróżnią winnych od niewinnych?
- Mogą nie odróżnić. Pozwól, że ci wszystko opowiem i może razem znajdziemy sposób, by ująć przestępców, a srowadzonym na złą drogę pozwolić wrócić do domów i cieszyć się, że zdołali uciec z zasadzki.

Gerard i porucznik uważnie go wysłuchali, a potem uzgodnili sposób postępowania. Była już szósta, kiedy Stacey opuścił Urząd Celny i wrócił do zajazdu, by się przebrać w strój wieczorowy. Nie miał pojęcia, jaki impuls kazał mu zabrać z Malcomby wieczorowe ubranie, ale bardzo się z tego cieszył. Na tę noc zamierzał zapomnieć o przemytnikach i knąbrnych córkach.

## Rozdział dziewiąty

Na długo przed ósmą Charlotte osiągnęła stan gorączkowego podniecenia. Perspektywa zabawy, zrzucenia żałobnej czerni i tańca z przystojnym mężczyzną kłóciła się z jej przekonaniem, że jako szacowna matrona i wdowa powinna jedynie wspominać takie chwile, a nie przeżywać je na jawie. Zaczęła powątpiewać, czy dobrze zrobiła, zgadzając się iść na ten bal. Zaproszenie nie wyszło przecież od wicehrabiego Dartona, a od pastora Fullera. Stacey był po prostu zbyt dobrze wychowany, by odmówić, a pewnie wcale nie miał ochoty jej zaprosić.

Zaledwie dwa dni temu ostro się starli, potraktowała go z góry i zbeształa za to, że zabronił jej chodzić na plażę, dlaczego więc miałyby zawracać sobie nią głowę? Potraktowała go jak jednego z kompanów Cecila, zachowała się niegrzecznie i niewdzięcznie. Lecz jeśli naprawdę był jednym z nich? Może skorzystał z szansy, by wywieźć ją z dziewczynkami z Parsons End na czas wyładunku kontrabandy? Zamierzał pozwolić, by dokonano przestępstwa, gdy oni będą tańczyć w Salach Miejskich? Czy powinna być wdzięczna, że wywiózł ją wraz z córkami z niebezpiecznego terenu? Ile wiedział pastor Ful-

ler? Nie byłby pierwszym duchownym, który zgadzał się przy-  
mknąć oko na przemyt w zamian za skrzynkę brandy.

Takie oto myśli kłębiły się w głowie siedzącej w koszulce i peniuarze Charlotte, podczas gdy panna Quinn układała jej włosy. Dziewczynki obserwowały przygotowania z łóżka, tak bardzo podniecone, jakby same wybierały się na bal.

- Tata prawie co tydzień chodził na bal, kiedy po raz pierwszy wrócił z wojny do domu - oznajmiła Julia i przekrzywiła głowę, żeby pochwycić w lustrze wyraz twarzy Charlotte. - Słyszałam, jak dziadek mówił do babci, że tata zgodził się rozejrzeć za nową żoną i że lady Hortensia Carstairs byłaby dla niego idealna. Jest córką markiza i mogłaby mu dać dziedzica, co jest dla nich najważniejsze.

-I co się stało? - Lizzie zadała pytanie, na które Charlotte pragnęła poznać odpowiedź. Słowa Julii uświadomiły jej, że wicehrabia nie miał męskiego potomka i jeśli rozważał powtórny ożenek, to niewątpliwie przede wszystkim z tego właśnie powodu. Ona dobiegała już trzydziestki, więc nie wchodziła w rachubę, nawet gdyby dowiedział się o jej pokrewieństwie z lordem Falconerem.

- Przyjechała do Malcomby Hall z dłuższą wizytą, ale nie spodobała mi się, a ja nie spodobałam się jej, więc nic z tego nie wyszło.

- Dlaczego ci się nie spodobała? - zapytała Fanny. - Była paskudna?

- O, wyjątkowo! I zarozumiała. Nawet nie wiesz, jak okropnie zadzierała nosa. Miała strasznie długi nos i patrzyła na mnie z góry. Mówiła, że nie powinno mi się pozwalać biegać swobodnie po całym domu i że kiedy ona obejmie nade mną kontrolę, to będę siedziała w pokoju dzieciennym. - Wybuchnęła śmiechem. - Wydaje mi się, że tatę zirytowała jej kryty-

ka, choć starał się tego po sobie nie pokazać. Odesłał mnie do mojego pokoju, więc się rozzłościłam.

- I co zrobiłaś?

- Wysłałam przez okno, zesłałam po bluszczu, a potem wzięłam ze stajni końskie łajno i wymazałam nim śliczne, aksamitne siedzenia jej powozu.

- Niemożliwe! - zawołała Lizzie.

- Owszem, możliwe! Żałuj, że nie słyszałaś jej wrzasku, kiedy się o tym dowiedziała. Skrzeczała jak czarownica, a potem spakowała manatki i wyniosła się, jak tylko służba doczyściła powóz. Tata oskarżył o to jednego z chłopców stajennych.

- Nieładnie się zachowałeś, pozwalając, by stajenny poniósł karę - prychnęła Lizzie.

- Wcale nie pozwoliłam. Zaraz po wyjeździe lady Carstairs powiedziałam tacie, że nie ma co obwiniać Saula, a tata odparł, że ani przez chwilę nie podejrzewał stajennego, od razu wiedział, że to moja sprawka. Przez tydzień zabronił mi wychodzić z domu, ale pewnie w głębi duszy cieszył się, że pozbyłam się tamtej jędzy.

- Nie masz czym się chwalić, Julio - upomniała ją łagodnie Charlotte.

- No, to już pani wie.

Czy w jej głosie naprawdę zabrzmiało ostrzeżenie, by Charlotte zostawiła jej ojca w spokoju? Zrobiło jej się żal tego dziecka. Julia do tego stopnia nie była pewna uczuć ojca, że w każdym widziała zagrożenie, przez co zachowywała się tak okropnie.

- Tak, teraz już o tym wiemy i możemy zmienić temat rozmowy. Co chcecie zjeść na kolację?

Każda zażyczyła sobie czegoś innego i panna Quinn zesłała



na dół, by złożyć zamówienie. Pod jej nieobecność Charlotte włożyła suknię balową.

Suknia miała już trzy lata, ale była ulubioną kreacją Charlotte. Wierzchnia warstwa została uszyta ze zwiewnego, lekkiego jak piórko, zielononiebieskiego woalu pokrytego drobnymi, wyhaftowanymi srebrną nicią kwiatami. Spodnia warstwa była z niebieskiego jedwabiu. Całość nasuwała skojarzenie z taflą spokojnego jeziora, roziskrzoną blaskiem księżycy. Wysoki stan podkreślała ciemnoniebieska szarfa, spod wyciętego w ząbek rąbka wierzchniej spódnicy wyłaniał się na dole pas spodniej. Łódkowaty dekolt był bardzo głęboki, ale mogła okryć ramiona długim szalem z tej samej, zielononiebieskiej zwiewnej materii.

- Och, mamusiu! Ślicznie wyglądasz! - zawołała Fanny, której zachwyty najwyraźniej podzielała Lizzie.

- Będziesz musiała opędzać się od tancerzy - oświadczyła starsza córka.

- Wcale nie, przecież idzie na bal pod opieką mojego taty - zaznaczyła Julia, przypominając Charlotte, że wicehrabia wkrótce po nią przyjedzie.

Znów ogarnął ją niepokój.

Panna Quinn wróciła i z zachwyty znieruchomiała w progu.

- Jak przyjemnie znowu zobaczyć panią w czymś kolorowym, a nie w czerni - powiedziała. - Pamiętam tę suknię. Nosiła ją pani, gdy lord Hobart zabrał panią do Londynu na wielki bal wydany z okazji pierwszej kłęski Napoleona. Pomyślałam wtedy, iż doskonale pasuje do pani oczu.

Radosne uroczystości nie potrwały wtedy długo, bo pokonany cesarz wrócił na scenę i trzeba było Wellingtona i bitwy pod Waterloo, by przekonać go, że popełnił błąd. Za drugim razem już nie brała udziału w wielkim narodowym świętowa-

niu, bo lord Hobart bardzo podupadł na zdrowiu. Nie przypuszczała wówczas, że jego odejście tak radykalnie odmieni jej życie. Spojrzała na dzieci i poczuła przypływ ogromnej miłości, a że nie należała do osób ukrywających swe uczucia, to uściskała je mocno, nawet tę trudną Julię. Potem usiadła przy toaletce i wyjęła z pudełeczka szmaragdowy naszyjnik.

- Zapniesz mi go, kochanie? - zwróciła się do Julii.

Dziewczynka zeskoczyła z łóżka i podeszła do niej z miłą wyraźnie wskazującą, że bardzo ją ucieszyło to wyróżnienie. Gdy tylko naszyjnik otoczył jej szyję, rozległo się pukanie i wszystkie pobiegły do przyległego saloniku, do którego panna Quinn wpuściła Staceyę.

Dosłownie zamarł, wpatrując się w Charlotte tak, jakby ją widział pierwszy raz w życiu. Zrzuciła czern i włożyła coś jasnego i lekkiego, co miękko opływało jej figurę i wirowało wokół nóg. Uświadomił sobie ze zdumieniem, że jeśli nie liczyć ich pierwszego spotkania na plaży, nigdy nie widział jej włosów. Zawsze były schowane pod czarną koronkową narzutką lub pod czepkiem, a jeśli jakiś kosmyk zdołał na chwilę wyrwać się na swobodę, był natychmiast stanowczo wsuwany pod osłonę. Teraz wreszcie widział je w całej okazałości, skręcone nad uszami i zaczesane wysoko do góry, upięte na czubku głowy spinkami tak jednak, by swobodne loczki opadały na uszy i kark. Cudowne, gęste, lśniące włosy i piękna, smukła, długa szyja. Zniknęła gdzieś nauczycielka, jej miejsce zajęła najpiękniejsza i najbardziej wyniosła kobieta, jaką w życiu widział.

Zrobił krok w jej stronę i dopiero uzmysłowił sobie, że mieli widownię. Panna Quinn i dziewczynki nie spuszczały z nich wzroku. Nie spodziewał się takiego komitetu powitalnego, było jednak typowe dla Charlotte, że pozwoliła dzie-

ciom uczestniczyć w przygotowaniach. Natychmiast przywołał na twarz uśmiech i wykonał dworny ukłon.

- Milady, sługa uniżony.

Dygnęła, nagle onieśmielona. Miał na sobie czarny frak z najlepszej wełny, białą jednorzędową kamizelkę i czarne spodnie do kolan oraz białe pończochy. Wykrochmalony krawat był idealnie związany. Jego włosy, niezbyt długie, ale starannie uczesane, wiły się nad czołem i przy uszach.

- Witam, milordzie.

- Pani powóz zajechał, milady.

Julia zachichotała, co rozbawiło również pozostałe dziewczynki. Usta panny Quinn także drgnęły, a Charlotte wreszcie się odprężyła.

- Jestem gotowa, milordzie. - Uśmiechnęła się i wyciągnęła do niego rękę, którą Stacey położył na swym zagiętym ramieniu.

- Jeżeli będziecie grzeczne - rzucił dziewczynkom przez ramię - to jutro zabiorę was do portu i pokażę wam nowy, wspaniały statek. - Sam był zaskoczony tą propozycją. Wicehrabia Stacey Darton, który nigdy nie miał czasu dla dzieci, obiecał zająć się tą trójką!

- Nie śpieszy się panu z powrotem do Parson's End? - zapytała Charlotte, zмирając u jego boku do oczekującego na nich powozu.

- Nie. - Przyjrzał się jej w świetle lamp wiszących nad wejściem do hotelu. Jej oczy błyszczały, na policzkach pojawił się delikatny rumieniec. Wyglądała o dziesięć lat młodziej niż w żałobnej czerni. - Zauważyłem, że atrakcje Ipswich z każdą chwilą bardziej mnie pociągają.

Nie bardzo wiedziała, co sądzić o tej odpowiedzi, uznała jed-

nak, że rozsądek nakazuje nie doszukiwać się w tych słowach czegoś więcej niż tylko lekkiego, niezobowiązującego flirtu.

- Cieszy się pan na ten bal? - zapytała. - Uprzedzam, że na pewno nie dorówna londyńskim balom.

Jem wyrósł jak spod ziemi, otworzył przed nimi drzwi-ki powozu i zamaszystym gestem opuścił schodki, potem odsunął się, by pozwolić swemu panu pomóc damie wejść do środka.

- Za to moja piękna towarzyszka nie tylko dorównuje, ale przewyższa tamtejsze damy - odparł Stacey, sadowiąc się przy Charlotte.

Powóz gładko potoczył się po bruku.

- Pan ze mną flirtuje, sir.

- A dlaczego nie?

- Mogłabym zaprotestować.

- Nie robi pani tego, prawda? - zapytał cicho. - Mówię tylko prawdę. Jest pani tak piękna, że przyćmi pani wszystkie damy, a mnie olśniła pani do tego stopnia, że z pewnością nie zauważę ewentualnych braków sali balowej.

- No nie, sir! - zawołała Charlotte z rozbawieniem, świadczącym, że i ona nie całkiem jeszcze zapomniała, jak flirtować. - Przyprawia mnie pan o rumieniec.

- Bardzo piękny rumieniec, madame.

Takie przekomarzanie się nadało ton całemu wieczorowi. Chcieli dobrze się bawić i nie myśleć o poważnych sprawach, więc uśmiechnięci i rozpromienieni stanęli na progu udekorowanej wiosennymi kwiatami i zielenią Sali Miejskiej. Wy-polerowana podłoga lśniła jak lustro, na podium ulokowano orkiestrę, która braki w wyszkoleniu rekompensowała niekłamnym entuzjazmem. Wszyscy, od wodzireja po odzwierne-

go, dokładali starań, by ten wieczór był niezapomniany, ale Charlotte i Stacey i bez tego nie mogłoby o nim zapomnieć.

Tańczono kadryle, tańce ludowe, galopy i walce. I choć Stacey odstępował niekiedy swą partnerkę innym panom, to najczęściej tańczyli razem, beztrąsco ignorując zasadę, że jeśli mężczyzna prosi niezamężną damę do tańca więcej niż dwa razy, to jest to niemal równoznaczne z oświadczeniami. Charlotte doszła do wniosku, że byli już dojrzałymi ludźmi, do tego owdowiałymi, więc te zasady ich nie obowiązywały. Jeśli zaś chodzi o Staceya, to zamierzał się oświadczyć w pierwszym sprzyjającym momencie. Ten moment musiał jednak zostać naprawdę starannie wybrany, bo nie chciał ryzykować odrzucenia.

- Ludzie na nas patrzą - szepnęła, wirując z nim w ostatnim walcu przed przerwą na kolację.

- Patrzą na najpiękniejszą kobietę na balu. Będę chyba musiał się bić z młodymi ludźmi, pragnącymi przetańczyć z panią choć jedno kółeczko wokół sali.

- Ależ z pana komplementarz! Jestem na to za stara!

Ucieszył go jej śmiech. Był swobodny i szczerzy, świadczył, że wreszcie się odprężyła.

- Stara? - mruknął. - Jest pani w kwiecie wieku, w najlepszym dla kobiety okresie, gdy z głupiutkiej, bezmyślnej nastolatki przeradza się w istotę piękną, inteligentną, mądrą i sądcę, że... nie, jestem pewien, że... - Spojrzał na jej twarz. - Kocham panią.

Charlotte potknęła się, zaszokowana słowami, które tak bardzo pragnęła usłyszeć. Stacey podtrzymał ją i przyciągnął do siebie.

- Milordzie...

- Mam na imię Stacey. Proszę, by zwracała się pani do mnie po imieniu, przynajmniej gdy jesteśmy sami.

- Nie jesteśmy sami, tylko w sali pełnej ludzi i budzimy powszechne zainteresowanie.

- Więc chodźmy gdzieś, gdzie będziemy sami. - Wziął ją za rękę i ruszył ku drzwiom. Próbowwała się opierać, ale czuła na sobie ciekawskie spojrzenia, więc nie pozostawało jej nic innego jak iść za nim.

- Pewnie myślą, że to sprzeczka kochanków - powiedziała, gdy wyszli na pusty korytarz.

- To niemożliwe, bo nie jesteśmy przecież kochankami. - Wciągnął ją do niszy i odwrócił twarzą do siebie. Położył jej ręce na ramionach, czuł pod palcami miękkość jej ciała. Z największym wysiłkiem powstrzymał pragnienie, by zastąpić dłonie ustami. - Choć nie mogę powiedzieć, bym tego nie pragnął.

A więc pragnął jej jako kochanki, chwilowej zabawki, nic więcej. Dlaczego to nią tak wstrząsnęło? Czyżby spodziewała się, że Stacey okaże się inny od sir Rolanda i tego wstrętnego pana Spike'a? Cóż, prawdę mówiąc, tak! Rozczarowanie okazało się tak bolesne, że łzy napłynęły jej do oczu.

- Milordzie, zgodziłam się, co prawda, na mały, niewinny flirt, ale to nie oznacza, że jestem gotowa zaakceptować jakieś libertyńskie wybryki.

- To zależy od interpretacji określenia libertyńskie wybryki. - Przyciągnął ją bliżej i unióśł jej twarz, by spojrzeć jej prosto w oczy. - Czy miała pani na myśli to? - I zanim zdążyła zaprotestować, nakrył wargami jej usta. Pocałunek był z początku gwałtowny, bo Stacey włożył weń swój gniew i frustrację, kiedy jednak Charlotte przestała się wrywać, złagodził nacisk swych ust i delikatnie pieścił jej wargi, potem zsunął je w dół, na szyję i nagie ramię, aż poczuł jej drżenie. Dopiero wtedy uzmysłowił sobie, co robi, podniósł głowę i spoj-

rzał w jej twarz. - Mój Boże, bardzo przepraszam - szepnął ochryple. - Proszę o wybaczenie.

Nie miała mu nic do wybaczenia. Przecież mogła go odepchnąć i wrócić do jasno oświetlonej sali balowej, nie trzymać jej tu siłą. Był bardzo delikatny i chciała - tak bardzo chciała - by dla niego znaczyło to tyle samo co dla niej. Nie musiała wybaczać ukochanemu mężczyźnie, że ją całował, przecież całe jej ciało tego pragnęło... a właściwie pragnęło czegoś więcej. Drżała z tłumionej namiętności. Już od lat nie doświadczała fizycznej tęsknoty za mężczyzną, dopiero gdy spotkała Staceyę Dartona, zaczęła dojmująco odczuwać ten brak. Gdyby nie znajdowali się w miejscu publicznym, byłaby zgubiona. Pozwoliłaby mu na wszystko, ale to nie była jego wina.

- Charlotte? - odważył się szepnąć, nie doczekawszy się odpowiedzi.

Przełknęła z trudem, a kiedy wreszcie była w stanie wydobyć z siebie głos, zabrzmiał dziwnie ostro.

- Sir, nie upoważniłam pana do zwracania się do mnie po imieniu. - Dlaczego była taka wściekła? Dlaczego go zbeształa? Jej gniew był skierowany przeciwko niej samej, za to, że okazała się taką idiotką. Powinna przecież wiedzieć, że flirt to niebezpieczna gra.

- Proszę o wybaczenie, milady - powiedział sztywno. Chciało mu się płakać.

- Widzę, że tańce dobiegły końca - zauważyła. Nieprzerwany strumień ludzi wylewał się z sali balowej na korytarz, kierując się do pokoju, w którym podawano kolację.

- Pójdziemy coś zjeść? - Co innego mógł powiedzieć? Właśnie stracił okazję, wykazał brak wyczucia.

Ruszyli wraz z tłumem. Stacey znalazł Charlotte miejsce przy stole i bez słowa ruszył, by przynieść dwa talerze jedze-

nia. Kelner roznosił kieliszki z białym winem, Stacey wzięła dwa i postawił je na stole.

- Dziękuję. - Nie mogła przełknąć ani kęsa, ale wino wypiliła i podniosła kieliszek, by go powtórnie napełniono.

Piła zdecydowanie zbyt szybko. Staceyowi serce się ścisnęło na myśl, ile niepokoju wprowadził w jej duszę. Nie odzywał się w obawie, że mógłby jeszcze pogorszyć sytuację. Po kolacji ofiarował Charlotte ramię, by wrócić na salę balową. Tańce rozpoczęły się ponownie, jednak tym razem nie próbował odsuwać od niej mężczyzn, pragnących stanąć z nią w szeregu. Oparty o filar obserwował ukochaną w tańcu, widział jej błyszczące oczy, uśmiechnięte wargi, lekkie uwagi, jakimi kwitowała słowa partnerów. Ani razu nie zmyliła kroku, choć wiedział, że była lekko zdezorientowana.

Ostatnim tańcem miał być walc i Stacey postanowił naprawić, co się tylko da. Gdy ostatni partner podziękował jej za tańiec, podszedł i skłonił się przed nią.

- Czy zaszczyli mnie pani tym tańcem? - zapytał i wyciągnął do niej rękę.

Przyjęła ją z takim samym olśniewającym uśmiechem, jakim obdarzała innych parterów; uśmiechem nieco zuchwałym. Wszystko wydawało się trochę nierealne. Otaczający ich ludzie byli jakby zamgleni, niewyraźni, także jego twarz, jego najdroższa twarz zdawała się jakby rozmyta, a wyraz jego ciemnych oczu nieprzenikniony. Jakby cały ten wieczór był tylko snem, jakby z chwilą, gdy zrzuciła z siebie żałobną czerń i włożyła przejrzystą suknię balową, przestała być sobą, Charlotte Hobart, szanowaną wdową i matką, a stała się kimś całkiem innym, rozflirtowaną, występłą kobietą. Czy tego właśnie pragnęła? Czy chciała przekreślić Parson's End i Easterley Manor, szkołę, dzieci, przeszłość i przyszłość? Czy chciała, by



cały świat sprowadzał się do zakochanej kobiety i mężczyzny, którego dręczyła?

Zgrali się w tańcu idealnie. Charlotte czuła na plecach ciepło dłoni Stacey. Marzyła, by być bliżej niego niż przepisowych dwanaście cali. Żadne z nich nie odezwało się w tańcu ani słowem. Po zakończeniu Stacey skłonił się nisko, a ona dygnęła.

- Dziękuję, milady.

Uśmiechnęła się smutno i ruszyła do kobiecej szatni, by odebrać płaszcz. Jem czekał na nich z powozem w długim rzędzie ekwipaży ustawionych wzdłuż ulicy. Zeskoczył z koźła, by otworzyć przed nimi drzwi i opuścić schodki. Weszli do środka w milczeniu, więc zerknął z ukosa na swego pana, ale zamiast zwykłego uśmiechu dostrzegł chmurną minę.

- Milady - odezwał się Stacey, gdy powóz ruszył w stronę hotelu. - Przeprosiłem. Czy nie otrzymam przebaczenia?

- Wybaczylaam panu. I nie mówmy o tym więcej.

Bardzo pragnął dalej o tym mówić, tłumaczyć się, wyjaśnić, że całował, bo ją kocha, zdawał sobie jednak sprawę, że taka deklaracja nie spotkałaby się z ciepłym przyjęciem. Nie mógł jednak znieść milczącego potępienia. Można by pomyśleć, że próbował ją zgwałcić!

- Więc dlaczego ton pani głosu kłóci się ze słowami? - zapytał. - W końcu nie jest pani przecież kompletnym niewiniątkiem, była już pani całowana. Również przeze mnie... - Przerwał na chwilę. - Dopóki to wszystko się nie skończy, będziemy zmuszeni znosić swoje towarzystwo i byłoby nam obojgu łatwiej, gdybyśmy robili to w przyjaznej atmosferze.

- Dopóki się nie skończy? Niby co? Ma pan na myśli drogę do domu?

- Nie tylko. Chodziło mi o wszystko. Przemyt, moje problemy z Julią, szkołę, lorda Hobarta...

- A, mówi pan o tej waszej wielkiej grze. Miałam nadzieję, że zapomni pan o niej choćby na jeden wieczór.

- Zapomniałem. Od wyjazdu z Parsons End nie pomyślałem o tym ani razu. Byłem zaprzątnięty czym innym.

- Wierzę.

- Skoro mi pani wybaczyła, to czemu nadal patrzy pani na mnie z góry?

- Wcale nie patrzę na pana z góry. Siedzę całkiem spokojnie obok pana.

Parsknął z rozbawieniem. Spokojna to ona z pewnością nie była. Wyczuwał jej napięcie, choć wcale się nie dotykali. Otaczała ją wyczuwalna, ostrzegawcza aura.

- Widzę, że uznał mnie pan za śmieszna.

- Odrobinę, milady.

Wyjrzała przez okno, choć nie było nic ciekawego do oglądania. Jak to się stało, że wieczór zakończył się taką kłęską? Na co liczyła? Stacey był przecież tylko mężczyzną. Pełnym życia, zmysłowym mężczyzną, którego nie powinna była zachęcać, jeśli nie zamierzała przyjąć jego zalotów. A przyjmowała je! Przyjęła je z szeroko otwartymi ramionami! Powinna to przyznać przynajmniej przed sobą. Wybuchnęła urywanym śmiechem.

- Pańska córka nie będzie musiała się fatygować, by pana ode mnie odsunąć, sam pan to zrobił.

- O czym pani mówi? Co Julia ma z tym wspólnego?

- Opowiadała nam o swych metodach postępowania z damami, które aspirowały do pozycji pańskiej żony. Przypominam sobie coś o końskim łajnie...

Stacey roześmiał się głośno.

- Wyświadczyła mi wtedy przysługę, co jednak nie oznacza, że pozwolę jej dyktować, z kim się mam spotykać. Liczę, że słowa Julii nie mają wpływu na panią.

- To bez znaczenia, nie mam tak wygórowanych aspiracji.

Kusiło go, by przełożyć ją sobie przez kolano i przez inną część ciała wbić jej odrobinę rozumu do głowy. Czyżby sądziła, że jej udawana niższa pozycja miała dla niego jakiegokolwiek znaczenie? A jeśli tak, to czemu nie powiedziała mu prawdy? A może tylko mu się wydawało, że nie był jej obojętny?

Powóz zatrzymał się przed wejściem do hotelu. Stacey nie czekał, aż Jem zejdzie z koźła, wyskoczył na pobocze i sam otworzył drzwi. Opuścił schodki i wyciągnął rękę, by pomóc Charlotte wysiąść.

Przyjęła jego dłoń, a gdy stanęła na dole, przez moment patrzyli na siebie zmieszani, nie potrafiąc wyrazić tego, co im leżało na sercu. Milczenie z każdą chwilą było cięższe do zniesienia.

- Dobranoc, milordzie - powiedziała.

Uniósł jej dłoń do ust.

- Dobranoc, milady. Przyjadę po was o jedenastej. Nie możemy sprawić rozczarowania naszym córkom, nawet jeśli sprawiliśmy je sobie nawzajem.

Idąc do drzwi hotelu, czuła na sobie wzrok Dartona, wyprostowała więc plecy i dumnie podniosła głowę, ale gdy tylko znalazła się wewnątrz, siły ją opuściły. Jego ostatnie słowa ciągle jeszcze brzmiały jej w uszach. Tak, była rozczarowana, podobnie jak on. Ten wieczór, który tak wiele zapowiadał, zakończył się katastrofą. Jak do tego doszło? Była jednak zbyt zmęczona, by to teraz analizować. Marzyła tylko o łóżku.

Joan Quinn czekała w sypialni Charlotte, by pomóc jej się rozebrać.

- Dobrze się pani bawiła, milady?
- Tak, Quinny, dziękuję. To był uroczy wieczór. - Rzeczywiście był, aż do walca poprzedzającego przerwę na kolację.
- Dziewczynki chciały czuwać aż do pani powrotu, żeby od razu się wszystkiego dowiedzieć, ale powiedziałam im, że będzie pani zbyt zmęczona. I że jeśli nie pójdą zaraz spać, to nie wstaną jutro, żeby wybrać się z jego lordowską mością do portu.
- Z całego serca dziękuję, Quinny. Jestem wykończona.
- Czyli przetańczyła pani wszystkie tańce?
- Tak, wszystkie.
- To cudownie! Wicehrabia to naprawdę wspaniały dżentelmen. Nie myślałam tak o nim, kiedy po raz pierwszy przyjechał do dworu, ale on jest inny od pozostałych, prawda?
- Tak, zupełnie inny.
- Proszę się dobrze wyspać, milady. Jutro wstanie nowy dzień.

Tak, pomyślała, padając na łóżko. Panna Quinn okryła ją i wyszła z pokoju. Jutro wstanie nowy dzień, a potem następny, i jeszcze następny, i jeszcze...

Stacey podjechał pod hotel punktualnie o jedenastej, ubrany w brązowy frak i spodnie w prążki. Był tak pogodny i radosny, że nikt by się nie domyślił, iż miał za sobą nieprzespaną noc. Swobodnie przywitał się z Charlotte, jakby nic między nimi nie zaszło.

Zachował się niewłaściwie, to nie ulegało wątpliwości, nie zdołał oprzeć się pokusie. Charlotte, która w zabitym deskami Parson s End opiekowała się wiekowym teściem i małymi córeczkami, nie przywykła do swobodnych obyczajów obowiązujących w wielkim świecie. Powinien był to zrozumieć i nie

brać braku oporu za przyzwolenie. Teraz znowu przywdziała czarne jedwabie, a włosy ukryła pod prostym, czarnym czepkiem. Była nieco blada, lecz pełna godności. Skłonił się.

- Dzień dobry, milady. Mam szczerą nadzieję, że czuje się pani dobrze.

- Bardzo dobrze. Dziękuję, milordzie.

Odwrócił się i zmierzył wzrokiem trzy dziewczynki. Córki Charlotte miały na sobie podobne, jasnoniebieskie muślinowe sukienki w groszki, a Julia zieloną z żakonetu.

- Mój Boże, ależ z was ślicznotki - zawołał. - Wszyscy mi będą zazdrościć.

Roześmiały się, poza Julią oczywiście. Postanowił porozmawiać z nią na osobności i wbić jej do głowy, że cokolwiek by zrobiła i powiedziała, on i tak ożeni się z lady Hobart, choć miał nadzieję, że córka pokocha macochę. Nie wiedział jeszcze tylko, w jaki sposób skłonić Charlotte do wyrażenia zgody.

- Jesteście gotowe? - zapytał.

- Tak - zawołały chórem.

Pogoda była wspaniała, wprost wymarzona na spacer, więc z uśmiechem poprowadził je Upper Brook Street do doków. Robotnik, z którym rozmawiał poprzedniego dnia, podszedł i uchylił kapelusza.

- Czy młode damy chciałyby wejść na pokład? - zapytał.

Rozległ się chórny pisk, więc pomógł im wejść po trapie. Zostali oprowadzeni po całym statku, zwiedzili kabinę kapitałną, kwatery załogi, kubryk i pełni podziwu wrócili na pokład. Przewodnik opowiadał z dumą, że statek został wybudowany w rekordowo krótkim czasie piętnastu miesięcy, a na kadłub zużyto dwa tysiące pni najlepszych dębów z Suffolk.

Stacey dał mu pół gwiney za fatygę i bardzo zadowoleni z wycieczki ruszyli w drogę powrotną do hotelu. Wicehrabia

czuł, że jego notowania znacznie wzrosły. Małe dziewczynki bywały naprawdę urocze, jak mógł kiedykolwiek w to wątpić? Nawet Charlotte znowu się do niego uśmiechała.

Na nadbrzeżu spotkali Gerarda Tophama, który na widok dziewczynek stanął jak wryty.

- Darton! - zawołał swym grzmiącym głosem. - Nie widziałem cię dotąd w roli opiekunki do dzieci.

Stacey już miał mu rzucić jakąś ciętą ripostę, ale po zastanowieniu uśmiechnął się szeroko i odwrócił się do Charlotte.

- Milady, pozwoli pani przedstawić sobie mego przyjaciela i towarzysza broni, kapitana Gerarda Tophama. Kapitanie, to lady Hobart z Parson s End.

- Sługa uniżony. - Kapitan Topham strzelił obcasami.

- A to moja córka, Julia - kontynuował Stacey. - Oraz panna Elizabeth Hobart i panna Frances Hobart.

Trzeba oddać Gerardowi sprawiedliwość, że zdołał ukryć rozbawienie i z powagą skłonił się przed panienkami.

- Szedłem właśnie do ciebie - powiedział do Staceya. - Mam nowiny.

Charlotte popatrzyła na nich. Mieli tajemnicze miny i wyraźnie nie chcieli rozmawiać w jej obecności.

- Dziewczynki - powiedziała - pójdziemy przodem, pozwolimy lordowi Dartonowi porozmawiać swobodnie z panem kapitanem.

- Statek z kontrabandą stoi zaledwie kilka mil od brzegu - oświadczył Gerard zaraz po ich odejściu. - Ma przeciwny wiatr, ale powinien dotrzeć do Parsons End jutro we wczesnych godzinach porannych.

- W niedzielę. Myślisz, że zajmą się rozładunkiem w niedzielę?

- A dlaczego nie? Może jednak przyplłyną zbyt późno, by

przed świtem przewieźć cały towar na plażę i będą stali na kotwicy do następnej nocy.

- Muszę wracać do Parson s End i dopilnować, by wszyscy mieszkańcy wsi pozostali w domach. Ilu będziesz miał ludzi?

- Wystarczająco dużo.

- Koniecznie dopilnuj, żeby trzymali się z dala od domu na klifie, dobrze?

- Otrzymają odpowiednie rozkazy.

- Dobrze. Chcesz dopaść przemytników na plaży czy dopiero jak zabiorą towar do Easterley Manor?

- Raczej na plaży. Nie chciałbym, żeby ukryli go w innym miejscu.

- Bentwater i Spike mogą nie zejść na plażę, a jak im wtedy udowodnisz, że są w to zamieszani?

- Musisz ich przekonać, że ich obecność jest tam absolutnie konieczna. Chyba sobie z tym poradzisz?

- Jasne. Jeśli dowiedzą się, że wieśniacy nie stawili się na miejscu zgodnie z umową, to będą chcieli zrozumieć dlaczego.

- Oczywiście. A więc do zobaczenia.

Stacey ruszył śpiesznie za Charlotte i dziewczynkami, i już po chwili przekomarzał się z nimi wesoło.

Zaraz po obiedzie w zajęzdzie Pod Wielkim Białym Koniem Stacey poszedł do gospody, w której nocował, by przebrać się w strój do konnej jazdy, zostawiając na głowie Jema pakowanie bagaży do powozu i siodłanie Ivora. Nie minęła godzina, a opuścili miasto, kierując się z powrotem do Parson s End. Tym razem to Jem powoził, natomiast Stacey jechał obok na swym rumaku.

Julia aż pisnęła z radości na widok konia, głaskała go i ocierała się buzią o jego szyję.

- Proszę, tato, poślij Jema po Ebony. Moglibyśmy jeździć razem. Jakie to musi być cudowne uczucie galopować po plaży, kiedy fale rozbijają się o brzeg!

- Czy mam przez to rozumieć, że postanowiłaś zostać w tej szkole?

- Jeśli mi przyślesz Ebony, to zostanę.

- To szantaż.

- Wcale nie! To obietnica.

- Zgodzę się, jeśli po zakończeniu miesiąca próbnego usłyszę od lady Hobart pozytywną opinię.

- To strasznie długo!

- Taką podjąłem decyzję.

Dojechali do Bocianiego Gniazda już po ciemku. Betsy i panna Quinn natychmiast położyły dziewczynki do łóżek. Były tak śpiące, że nawet nie protestowały.

- Bardzo panu dziękuję - powiedziała Charlotte, gdy zostali sami. - Wspaniale spędziłyśmy czas.

- Nawet pani? - zapytał cicho.

- Szczególnie ja. Przepraszam za swoje zachowanie. Okazał mi pan tyle uprzejmości, a ja marudziłam.

Uprzejmości? Czyżby? Uśmiechnął się trochę łobuzersko.

- Cała przyjemność po mojej stronie, milady.

- Ten kapitan Topham... On mówił coś o przemytnikach, prawda? Już się pojawili? Czy wszystko odbyło się podczas naszego wyjazdu?

- Nie, zdaniem kapitana cała operacja opóźniła się z powodu przeciwnego wiatru. Mogą przyplłynąć tej nocy albo dopiero jutro. Proszę pozostać w domu i nie wypuszczać na dwór dziewczynek, dobrze?

- Oczywiście. - Czy uważał ją za kompletną idiotkę, któ-



ra zabiera dzieci na plażę w środku nocy? - Co zamierza pan zrobić?

- Ostrzegę mieszkańców wioski, że jeżeli cenią sobie wolność, powinni pozostać w domach. Mam nadzieję, że mnie posłuchają.

- Może to wielebny Fuller powinien z nimi porozmawiać? Bardzo się z nim liczą.

- Dobry pomysł. Zaraz pójde do niego, jeszcze przed powrotem do Easterley Manor.

- Czy Cecil domyśla się, że pan wie?

- Możliwe. Muszę mu dać do zrozumienia, że nie widzę w przemyśle nic złego. Może dzięki temu dowiem się czegoś więcej.

- Robi pan to dla mnie? - zapytała Charlotte.

- Nie tylko dla pani. - Uśmiechnął się. - Również dla siebie. Kiedyś to pani wyjaśnię, teraz nie ma czasu. - Sięgnął po jej rękę i ucałował wnętrze dłoni. Dotyk jego ust wywołał w całym jej ciele dreszcze i udowodnił, jeśli w ogóle potrzebowała dowodu, że pożądanie nadal było w niej żywe, zdolne całkowicie ją zafascynować. Jedynym sposobem, by nad nim zapanować, było stać sztywno i udawać, udawać...

Spojrzał na nią, ale nie odważyła się spotkać jego wzroku.

- Dobranoc, milady - powiedział łagodnie. - Jutro lub pojutrze będziemy musieli poważnie porozmawiać i może zdołamy wreszcie się nawzajem zrozumieć. - Uwolnił jej rękę i ruszył do wyjścia.

- Milordzie - szepnęła, gdy znalazł się przy drzwiach. - Proszę uważać na siebie.

Odwrócił się ku niej z uśmiechem, który rozświetlił całą jego twarz.

- Będę uważał, kochanie, obiecuję. Do jutra.

Zniknął, a ona została w miejscu, nie pojmując, jak mogła tak wiele zdradzić w tak niewielu słowach. Oraz że Stacey odpowiedział tak, jak odpowiedział. To przecież musiało być coś więcej niż tylko niezobowiązujący flirt...

Szedł po ciemku do wsi, uśmiechając się do siebie. Ivor nie był jeszcze w najlepszej kondycji, a miał za sobą długą drogę, więc Darton postanowił już go tego dnia nie siodłać. Na plebanii paliło się jeszcze światło, widocznie wielebny Fuller pracował nad jutrzejszym kazaniem. Wicehrabia zapukał. Pokojówka zaprowadziła go do gabinetu pastora. Wielebny siedział przy zawalonym książkami i papierami biurku, ze szklaneczką brandy przy łokciu.

- Przepraszam, że przeszkadzam - powiedział Stacey. - Potrzebuję pańskiej pomocy.

Pastor poprosił, by usiadł i podsunął mu szklaneczkę brandy, której wicehrabia nie omieszkął przyjąć.

- Co mogę dla pana zrobić, milordzie?  
 - Czy wie pan o szykującym się przemyście, wielebny?  
 - Czy człowiek, który łamie prawo, chciałby mnie o tym informować?

- Nie, ale z pewnością niejedno pan słyszy.  
 - Czasem lepiej trochę niedosłyszeć.  
 - Zgadza się, niestety jednak do brzegów Parsons End zbliża się właśnie statek z kontrabandą, a Straż Ochrony Wybrzeża została zaalarmowana. Mogą pojawić się problemy, którym chciałbym zapobiec.

- A pan sądzi, że jestem w stanie to zrobić? Musi pan posiadać ogromną wiarę w cuda, milordzie.

- Nie w cuda, lecz w pańską siłę perswazji. Jestem pewien, że mężczyźni z wioski zostali skaptowani jako tragarze i mam

nadzieję, że zdoła ich pan powstrzymać przed robieniem głupstw i namówi, by pozostali w domach.

- Pokusa zdobycia gwinei czy dwóch może być silniejsza od mojej siły przekonywania, milordzie. To biedni ludzie.

- Wiem. Proszę im obiecać, że straty, jakie poniosą, zostając w domu, zostaną im zrekompensowane. Nie chcę, by mężczyźni z tej wioski zostali aresztowani, a ich żony i dzieci znalazły się bez środków do życia. To przekreśliłoby całą pracę, jaką włożył pan wraz z lady Hobart, by im pomóc.

- A, lady Hobart - mruknął wielebny. - To cudowna kobieta, pełna współczucia. - Po czym dodał z uśmiechem: - Jak się udał bal?

- Bardzo - odparł Stacey, zastanawiając się, czy pastor celowo zmienił temat. - Poprosiłem lady Hobart, by do czasu wyjaśnienia sprawy nie wypuszczała dziewczynek z domu. Nie widziałem blisko brzegu żadnego statku, nie sądzę więc, by nastąpiło to dzisiaj. Raczej stanie się to jutro. Wiejskie dzieci będą zapewne robiły to, co w każdą niedzielę...

- Czyli zwagarują z kościoła, jeśli tylko im się uda - odparł sucho wielebny.

- Musimy dołożyć wszelkich starań, by trzymać je z dala od klifu i plaży. Ich rodziców również.

- Poślę służącego na wieś, by zawiadomił wszystkich po kolei, że czekam na nich rano w kościele, nawet na tych, których noga od lat nie powstała w murach świątyni. - Zachichotał. - Potem odprawię najdłuższe nabożeństwo, jakie w życiu widzieli. A kiedy skończę, będą tak się trzęśli ze strachu o swe dusze nieśmiertelne, że żaden nie odważy się tknąć palcem trefnego towaru.

Stacey uśmiechnął się.

- Chętnie bym tego posłuchał, niestety muszę zostać we dworze.

- Czy to tam mają zostać złożone towary?  
- Tak, i to kolejny powód, by udaremnić ten przemysł. Wprawdzie lady Hobart już tam nie mieszka, ale to był przez wiele lat jej dom, więc zapewne powiązано by ją ze skandalem. Chcę temu zapobiec.

- To prawdziwa hańba, że musiała opuścić Easterley Manor.  
- Owszem, chciałbym zobaczyć za kratkami tych, którzy ją tak podle potraktowali, ale nie wieśniaków, których ona kocha.  
- Właśnie ze względu na dobro dzieci została w Parson's End po śmierci starego lorda Hobarta, choć mogła pojechać do ciotecznego dziadka.

- Do lorda Falconera?  
- Z pewnością nie ma pojęcia, co się tutaj dzieje. Zastanawiałem się nawet, czy go o tym nie poinformować, ale wiedziałem, że lady Hobart nie życzyłaby sobie takiej ingerencji w jej sprawy. Poczuję prawdziwą ulgę, gdy pan przyjechał i wzięł ją pod opiekę.

Pod opiekę! Stacey uśmiechnął się do siebie. Charlotte Hobart nie dopuściłaby do tego. Ciekawe, czy Hardacre rzeczywiście napisał do jego lordowskiej mości, jak obiecywał, i jaką otrzymał odpowiedź. Czy Charlotte nadal będzie ignorowana przez dziadka? To zresztą nieważne. Zależało mu już tylko - oczywiście poza Julią i powstrzymaniem tych łotrów z Easterley Manor - na przeprowadzeniu zapowiedzianej rozmowy z Charlotte i rozwiązaniu ich problemów.

## Rozdział dziesiąty

Charlotte obeszła cały dom, sprawdziła, czy wszystkie okna i drzwi były porządnie pozamykane, a lampy wygaszone, potem położyła się do łóżka i rozmyślała o Staceyu. Martwiła się również o przemytników, a ściślej biorąc o mieszkańców wioski. Nie mogła zasnąć, więc w końcu wstała, włożyła szlafrok i weszła na wieżę, by obserwować przez teleskop horyzont. Dostrzegła sylwetki kilku statków, ale żaden z nich nie zbliżał się do brzegu, nie była więc pewna, czy znajdował się wśród nich ten z kontrabandą. Wróciła do łóżka, kiedy świt zabarwił niebo na różowo.

Zaprowadziła dziewczynki do kościoła i ze zdumieniem stwierdziła, że wszystkie ławki były pełne. Wyglądało na to, że tej niedzieli na mszy stawili się wszyscy mieszkańcy wioski, brakowało tylko panów z Easterley Manor, w tym również Stacey. Odśpiewano więcej hymnów niż zazwyczaj i odmówiono więcej modlitw, przeważnie odnoszących się do nieczynienia zła i niewspółdziałania z tymi, którzy je czynią, oraz na wiekuistym potępieniu tych, którzy czerpią zyski z przestępstwa. Wielebny Fuller wspiął się na wyżyny krasomówstwa

i grzmiał jak nigdy dotąd. Jednak dopiero w trakcie kazania Charlotte zrozumiała, dlaczego w kościele było tylu wiernych i dlaczego tak wielu z nich wierciło się niespokojnie i miało bardzo nietęgę miny. Pastor nie mówił wprost, ale dawał do zrozumienia, że wie, co się święci i stanowczo to potępia, ostrzegał również, że ci, którzy nie zrezygnują, poniosą karę.

- I nie mam na myśli kary w życiu przyszłym - grzmiał - ale jeszcze tu, na ziemi. Karząca dłoń jest tuż-tuż, bliżej, niż wam się wydaje. - Cały kościół wstrzymał oddech ze strachu. - A teraz pomódlmy się do Pana o wskazanie właściwej drogi.

Wreszcie pozwolił wiernym wyjść, ale stanął przy drzwiach i zamieniał parę słów z każdym mężczyzną.

- Czynienie dobra powinno być dla nas nagrodą samą w sobie - mówił surowo. - Gdyby tak jednak nie było, to utracone zarobki z niecných uczynków zostaną w pełni pokryte uczciwą monetą. Jeśli będziecie wolni od grzechu, a myślę, że rozumiecie, co mam na myśli, przyjdźcie do mnie jutro po południu. A teraz idźcie do domu i zastanówcie się nad tym, co powiedziałem.

Uśmiechnął się do Charlotte, która wyszła z kościoła, prowadząc dziewczynki.

- Piękny dzień, milady, prawda?

- Tak, wielebny, wyjątkowo piękny.

- Jednak nie na tyle, by za dużo spacerować po okolicy. Zapowiadane są szkwały. - Te słowa niosły przesłanie, które bez trudu pojęła.

- Rzeczywiście, mogą się pojawić... niewykluczone jednak, że martwimy się niepotrzebnie i dzień minie bez żadnych wydarzeń.

- Módlmy się o to. I o nadchodzącą noc. Czy otworzy pani jutro szkołę?

- Tak. Powinniśmy zachowywać się jakby nigdy nic, prawda?

Zabrała dziewczynki do domu, zastanawiając się, czy i kiedy pojawi się Stacey, ale nie dawał znaku życia. Pewnie wolał grać w karty niż ją odwiedzić, choć poprzedniego dnia zapowiadał, że przyjdzie porozmawiać. Ukrywała rozczarowanie nawet przed sobą i skoncentrowała się na zabawie z dziećmi. Dziewczynki, skazane na siedzenie w domu pomimo pięknej pogody, stały się kłótlive i niesforne.

Rozwiązywały zagadki, robiły przedstawienia kukiełkowe, grały w inteligencję i urządziły loterię, w której wygraną były małe rybki z macicy perłowej. Wygrała Julia, a było przy tym hałasu co niemiara. O trzeciej zjadły obiad, a potem kolejno głośno odczytywały ustępy z Biblii, co bardzo je znudziło. Julia zapytała, czy nie mogłyby poczytać „Waverleya” zamiast Pisma Świętego. Charlotte ustąpiła. Na dworze świeciło słońce i zaniedbany ogród, którego stan Jenkins starał się choć trochę poprawić, wyglądał niezwykle pociągająco.

- Dlaczego nie możemy wyjść na dwór, mamó? - zapytała Lizzie. - Wiem, że dziś niedziela, ale chyba mały spacer to nie orzech? Przecież dawniej wychodziłyśmy.

- Dlatego, że wicehrabia Darton prosił, bym zatrzymała was dzisiaj w domu.

- Dlaczego?

- Pewnie zamierza przyjść z wizytą i chciałby nas zastać w domu.

- Cały dzień siedzimy w domu, a on nie przyszedł - wtrąciła Julia. - Zawsze tak z nim jest, coś obiecuje, a potem nie dotrzymuje słowa. Pewnie znalazł sobie ciekawsze towarzystwo.

- Nie powinnaś tak mówić o tacie, Julio. Zawsze chce tego, co dla ciebie najlepsze. Wczoraj spędziłaś uroczy dzień, zwiedzałaś piękny statek, prawda?

- Pewnie zaproponował to tylko dlatego, żeby spotkać się na nabrzeżu z przyjacielem.

- Nie sądzę, by spodziewał się spotkać kapitana Tophama. Obaj wyglądali na zaskoczonych. Powinnaś mieć więcej wiary w swego ojca, Julio.

- Będę, jeśli na to zasłuży. Jak przyśle mi Ebony, to zacznę wierzyć w jego obietnice. - Wydała głębokie westchnienie.

- Pewnie teraz galopuje na Iworze wzdłuż brzegu. O niczym bardziej nie marzę!

- Przecież wiesz, że nie jeździ - powiedziała Charlotte. - Koń stoi w stajni.

- A może pobawimy się w chowanego? - zapytała Fanny, która zawsze starała się łagodzić konflikty i napięcia.

Fanny chowała się jako pierwsza i bardzo szybko została odnaleziona w spiżarni, Lizzie została odkryta pod biurkiem w bibliotece; kiedy jednak przyszła kolej na Julię, nie można jej było nigdzie znaleźć. Charlotte przestraszyła się, że dziewczynka mogła wyjść z domu, więc przeszukała ogród, wozownię i stajnie, ale nigdzie jej nie znalazła. Jem, który polerował siodło Ivora, twierdził, że jej nie widział. Charlotte już miała wracać do domu, gdy nagle zauważyła błysk słońca odbity przez szkło teleskopu na wieży. Wbiegła po schodach i rzeczywiście znalazła Julię przy okularze lunety.

- Julio, co robisz? Przecież zabraniałam wam tutaj wchodzić.

Dziewczynka przesuwająca lunetę, obserwując wybrzeże.

- Rozglądam się za tatą.

- Przyjdzie tu, Julio, na pewno przyjdzie.

- Tyle przez to widać - ciągnęła, jakby nie słyszała słów Charlotte. - Wszystkie statki na morzu i nawet małe łódki. O, i kilku panów na plaży, tak trochę dalej. Nie widać tylko tego, co jest tuż pod nami. Myśli pani, że tata może tam być?



- Nie sędę. Chodź, Julio. Dałam słowo kapitanowi Mac-Arthurowi, że nikt nie będzie tu wchodził. Jak się tu dostałaś? Drzwi są zamknięte na klucz.

- Nie były zamknięte nawet na klamkę. Szukałam kryjówki i zajrzałam do środka. I zauważyłam to. - Wskazała na teleskop. - Nic złego nie zrobiłam, tylko patrzyłam.

Charlotte uświadomiła sobie, że to ona nie zamknęła drzwi.

- Zostaw to, Julio. Chodź na dół. Czas na kolację.

Dziewczynka z ociąganiem opuściła pokój. Charlotte starannie zamknęła drzwi i schowała klucz do kieszeni spódnicy, po czym zeszła za Julią na dół. Skłonna była przyznać jej rację. Stacey najprawdopodobniej już się nie pojawi. Próbowwała sobie wyobrazić, co mogło się teraz dzieć w Easterley Manor. Czy nadal grali w karty? Pastor powinien wygłosić kazanie skierowane przeciwko hazardowi, bo właśnie od hazardu zaczęło się całe zamieszanie.

Stacey marzył o wizycie w Bocianim Gnieździe, ale nie śmiał opuścić Easterley Manor, dopóki sir Roland i Augustus Spike nie znajdą się tam, gdzie chciał ich widzieć: na plaży, przy przemycanych towarach, ujętych przez Gerarda. Na razie jednak sir Roland, który unikał wszelkiego ruchu jak najgorszej zarazy, siedział w pokoju, natomiast Augustus Spike wyszedł z domu i, jak przypuszczał Stacey, patrolował klif.

Czy pastor zdołał skłonić wieśniaków do dezercji? W żaden sposób nie mógł się tego dowiedzieć. Znowu musiał grać w karty na orzechy, bo Cecil, oczywiście, nie miał pieniędzy.

- Nastąpiła niewielka zwłoka - wyjaśnił Staceyowi, rozłupując jeden z orzechów leżących przy jego łokciu. - Jutro będę je miał.

- Spodziewasz się, że pieniądze spadną ci z nieba?
- Nie twoja sprawa.
- Może jakiś drobny handelek? Mała sprzedaż na boku i czysta gotówka do kieszeni?
- Oczywiście. A co myślałeś? - zaśmiał się Cecil.
- Myślałem, że ta zwłoka może mieć coś wspólnego z północnym wiatrem.

Stacey usłyszał gniewny pomruk sir Rolanda i natychmiast odwrócił się ku niemu ze swobodnym uśmiechem.

- Czyżby uważał mnie pan za półgłówka, który uwierzy, że tkwi pan tutaj ze względu na czarujące towarzystwo?

Cecil wybuchnął ochrypłym śmiechem.

- A dlaczego ty tu tkwisz? A może nie potrzeba pytać? Choć naprawdę nie wiem, co ty w niej widzisz. Ona nie ma nawet pensa przy duszy. Albo udaje, że nie ma.

Stacey miał ochotę uderzyć go w twarz. Nie, zbić na miazgę.

- To nie ma nic wspólnego z tą damą - oświadczył spokojnie, choć zapanowanie nad głosem sporo go kosztowało. - Bardzo wiele natomiast z plikiem bezużytecznych weksli. I jeżeli nie zostaną wykupione, to ogłoszę na cały świat, że lord Hobart nie spłaca długów.

- Zawarliśmy umowę - przypomniał Cecil. - Chcesz ją teraz zerwać?

- Nie, jestem tu zwarty i gotowy. A ty?
- Do usług, ale dopiero jutro.
- Zakładam więc, że towar zostanie dostarczony tej nocy i jeszcze przed świtem trafi do odbiorców. Tak się to odbędzie, prawda?

Sir Roland stanął nad nim z butelką wina w jednej, a kieliszkiem w drugiej ręce. Każdym gestem wyrażał groźbę.

- Agent skarbowy! Powinienem się tego domyślić!

- Bynajmniej - odparł Stacey spokojnie. - O celnikach mam nie lepszą opinię niż wy.

- Mniejsza o to. Co pan słyszał? I od kogo?

- Od pańskiego przyjaciela, Cecila - odparł Stacey z uśmiechem. - Ma wyjątkowo donośny głos. Kiedy usłyszałem słowa „tragarze do rozładunku łajby”, wiedziałem już, co się święci. Tacy tragarze to z reguły miejscowi chłopci, więc posiedziałem sobie trochę w tawernie Pod Psem i Lisem.

- Wieśniacy! - Sir Roland ponownie opadł na krzesło ku ogromnej uldze Staceya. - Sami nic nie wiedzą, więc co mogli panu zdradzić?

- Nic mi nie powiedzieli, ale to i owo wydedukowałem, słysząc ich rozmowy, na co przeznaczają pieniądze, które mają wpaść im do ręki.

- Mówiłem, że nie możemy im ufać - warknął sir Roland do Cecila. - Nie potrafią trzymać języka za zębami.

- Ludzie z zewnątrz kosztowałiby znacznie więcej i zwróciliby na siebie uwagę - stwierdził lord.

- Nic się nie stało - odezwał się Stacey. - Musicie tylko włączyć mnie do swoich planów.

Spojrzeni na siebie, próbując obliczyć, co im się bardziej opłaca: ponieść konsekwencje niedopuszczenia go do spółki czy też wypłacić mu część swojej doli. Niemal widział, jak obracają się trybiki w ich głowach, jak kombinują, by pozornie wyrazić zgodę, a potem go oszukać. Uśmiechnął się.

- Skąd mamy wiedzieć, że można panu zaufać? - zapytał sir Roland.

- Czy to ważne? Nigdzie się nie wybieram, a przynajmniej nie tej nocy. Chyba że na plażę, by popatrzeć na tę całą zabawę.

- Ja nie zejdę nad morze - sapnął sir Roland. - Ktoś musi tu

być, kiedy przyniosą towar. Jeśli chce pan mieć w tym udział, Darton, może pan pilnować tragarzy, żeby nie zwinęli po drodze części ładunku.

- O której spodziewacie się statku?

- Zaraz po zmroku, kiedy zacznie się odpływ. To wielka dostawa, a musimy zabrać wszystko z plaży przed świtem.

- Kupcy przyjadą po towar tutaj?

Cecil zarechotał ochryple.

- Wyprawię w domu kolejne przyjęcie i ulżymy trochę ich portfelom. Będiesz mógł sobie pograć, kuzynie, nic się nie bój, ale nie mogę ci zagwarantować, że będziesz potem bogatszy.

Stacey roześmiał się.

- Niczego więcej nie żądam. Teraz się przejdę się i rzucę okiem, co się dzieje.

- Niech pan weźmie raketnicę. - Sir Roland podał mu pistolet z uciętą lufą. - Po naciśnięciu spustu wystrzeli niebieska raca. To sygnał. Tylko niech się pan upewni, że statek „The Kentish Maid” nadpłynął i że nigdzie w pobliżu nie czatuje łódź ochrony wybrzeża. Jeśli popełni pan błąd, to przysięgam, że nie dożyje pan następnego świtu.

- A spodziewa się pan kutra Ochrony Wybrzeża?

- Nie, są zajęci patrolowaniem brzegów Kentu.

- Spryciarz z pana! - zaśmiał się Stacey. Poszedł do swojego pokoju, włożył buty i ciemny płaszcz, po czym wsunął dziwny pistolet do kieszeni. Jeśli „The Kentish Maid” będzie na miejscu, to da sygnał, a następnie wyśle do dworu wiadomość, że wieśniacy nie stawili się do pracy, a na plaży zalega sterta kontrabandy, której nie ma kto zabrać. To powinno ich zwabić na brzeg, gdzie zostaną ujęci przez Gerry'ego i jego ludzi, którzy już tkwili w ukryciu. Na tym zakończy się jego

udział i będzie mógł pójść do Bocianiego Gniazda, by rozmówić się z Charlotte. W ten czy inny sposób musieli wreszcie dojść do porozumienia.

Charlotte szalała z niepokoju. Julii nie było w jej pokoju, wcale się nie kładła, o czym świadczyło porządnie zaścielone łóżko. Nie wiedziała, dlaczego akurat tej nocy postanowiła zajrzeć do pokoju dziewczynki i sprawdzić, czy Julia śpi, czy też jeszcze czyta przy świecy. Po krótkich poszukiwaniach przekonała się, że nie ma jej w domu. Dokąd poszła? Tylne drzwi, które Charlotte starannie zaryglowała, stały otworem, uciekła więc tamtędy. Och, nie mogła wybrać gorszej nocy na ucieczkę! Żadna noc nie byłaby dobra, ale dzisiaj, kiedy należało oczekiwać wyładowania kontrabandy, groziło to poważnym niebezpieczeństwem. Może jednak ukryła się w wozowni lub w stajni?

Charlotte narzuciła płaszcz na ramiona i pobiegła do budynków gospodarskich. Nie znalazła Julii, zauważyła natomiast zniknięcie Ivora. Chyba dziecko nie mogło pojechać na tym ogromnym ogierze? Wróciła do domu i obudziła Betsy i pannę Quinn.

- Musi pani poinformować jego lordowską wysokość - stwierdziła Joan Quinn, kiedy usiadły przy kuchennym stole, uprzednio starannie zasłoniwszy okna, żeby z zewnątrz nie było widać światła. Betsy i panna Quinn nie wiedziały, czemu to takie ważne, więc Charlotte wymyśliła na poczekaniu, że marynarze mogliby pomylić to światło z latarnią morską. Nie wydało im się to prawdopodobne, ale ich pani znajdowała się najwyraźniej w takim stanie, że przestała jasno myśleć.

- Sprawdźmy, czy nie zdołamy jej same znaleźć - powiedziała Charlotte, rozglądając się dokoła z szaleństwem

w oczach, jakby Julia mogła w każdej chwili wyskoczyć z kredensu. - Na pewno nie odeszła daleko. Jest ciemno. Będzie przerażona.

- Nie ona - oświadczyła panna Quinn. - Ona nie zna strachu. Napyta sobie kiedyś biedy.

- Idę po Jenkinsa i Jema - stwierdziła Betsy. - Pomogą w poszukiwaniach.

Po jej wyjściu Charlotte jeszcze raz przeszukała cały dom, zajrzała nawet na wieżę, ale wszystko na próżno. Obudziła tylko własne córki, które usiadły w łóżeczkach i zaczęły domagać się wyjaśnień.

- Czy Julia powiedziała wam, że chce wyjść? - zapytała je Charlotte. - W co była ubrana? Czy wiecie, dokąd mogła się udać? - Niestety, dziewczynki nic nie wiedziały. Julia nie zdradziła się przed nimi ani słowem, poszła do swojego pokoju w tym samym czasie co one, jednak wyslizgnęła się z niego, kiedy stwierdziła, że droga wolna. Patrzyły na matkę oczami rozszerzonymi z podniecenia, zazdrości i trwogi. Julia chwaliła się zawsze, że może stąd uciec, ale nigdy jej nie wierzyły.

Jem i Jenkins przyszedli z latarniami sztormowymi.

- Ivor zniknął ze stajni - powiedziała. - Czy lord Darton mógł po niego przyjść?

- Mógł - odparł Jem - ale nie wspominał, że chciałby się przejechać. Postanowił dać koniowi porządnie wypocząć po wczorajszej drodze, bo biedak kompletnie stracił kondycję.

- Julia nie mogła na nim pojechać, prawda?

- Ona może jeździć na każdym koniu, milady. Powinna urodzić się chłopcem. Wiele razy jej to mówiłem. Jej wierzchowiec jest niewiele mniejszy.

- O ile wiem, w stajni nie ma damskiego siodła.

- Ona jeździ po męsku, milady. Kiedy ledwie co zaczęła

chodząc, pan hrabia kupił jej małego kucyka. Tak się rwała, by nauczyć się jeździć, więc posadziliśmy ją w siodle, którego używał w dzieciństwie jej ojciec. Pana hrabiego to tylko rozbawiło.

- W takim razie chyba rzeczywiście wybrała się na przejażdżkę. Marzyła o galopie wzdłuż plaży. Ale po ciemku?

- Pewnie jak wychodziła, nie było jeszcze ciemno, milady.

- Tak, ale zmrok zapadł już co najmniej przed godziną, - Charlotte złapała płaszcz. - Chodźmy na plażę, może uda nam się ją odnaleźć. Betsy, poszukaj dla mnie latarenki.

- Nie zamierza pani zawiadomić jego lordowskiej mości? - zapytała panna Quinn.

- Nie, dopóki nie będzie to konieczne. - Za nic nie chciała przyznać się Staceyowi, że nie dopełniła obowiązków względem jego córki. Wpadłby w furję i cała bliskość, jaka zaczęła się między nimi tworzyć, zniknęłaby bezpowrotnie. A i jej szkoła ucierpiałaby poważnie, gdyby rozeszła się wieść, że jedna z jej podopiecznych zniknęła. Musiała sama odnaleźć Julię. Jeszcze nie wiedziała, czy potem powie o tym jej ojcu. - Najpierw sami spróbujemy ją odnaleźć. Jeśli Julia galopuje wzdłuż brzegu, to bez problemów przyprowadzimy ją do domu. - Wzięła od Betsy latarnię. - Ty i Betsy zostanieiecie w domu. Zamknijcie za nami drzwi. - Wybiegła na zewnątrz, a za nią Jenkins i Jem.

- Milady - powiedział Jenkins. - Nie powinna pani schodzić na plażę w nocy. Szczególnie dzisiejszej nocy. Proszę iść do domu i zostawić poszukiwania Jemowi i mnie. Nikt nie zwróci uwagi na dwóch mężczyzn na plaży, wezmą nas za tararzy.

- Tak, ale ze szczytu klifu powinniśmy dostrzec konia, prawda? Jeżeli tam jest... - Urwała, bo nagle uderzyła ją myśl,

że Julia mogła spaść wraz z koniem w przepaść. Czy próbowałyby sprowadzić konia tą stromą ścieżką, czy może miała dość rozumu, by pojechać na skraj wsi, gdzie była pochylnia, z której korzystały łodzie rybackie?

- Może jednak to jego lordowska mość wziął Ivora - włączył się Jem. - Należałoby chyba najpierw to sprawdzić.

Charlotte westchnęła.

- Idźcie dalej - poleciła im. - Może uda się wam ją odnaleźć. Ja pobiegnę do Easterley Manor, by sprawdzić, czy jest tam lord Darton. Należy go powiadomić.

Szybkim krokiem ruszyła do dworu. Modliła się, by Stacey był w domu i nie wpadł w gniew. Mówił jej z naciskiem, by trzymała dziewczęta w domu i starannie zaryglowała okna i drzwi, bo bardzo się o nie bał. Lecz oto Julia wyszła na dwór, co gorsza, najpewniej na plażę. Wkrótce zaroi się tam od mężczyzn, przemytników i agentów celnych, może nawet dojsć do strzelaniny. I ktoś, na przykład Julia, może zostać ranny lub nawet zabity. Znów zaczęła biec. Upuściła latarenkę. Szybko ją podniosła, ale płomień zgasł. Rzuciła ją więc i pobiegła dalej.

Skreśliła w bramę Easterley Manor. Dwór był ciemny, od frontu nie dostrzegła najmniejszego światełka. Ciężko dysząc, obiegła dom i stanęła w kuchennych drzwiach. Zaskoczona pani Evans, która drzemała przy ogniu, ocknęła się i krzyknęła:

- Milady! Ależ mnie pani przestraszyła!

- Przepraszam, pani Evans. Czy wicehrabia jest w domu? Muszę się z nim pilnie zobaczyć.

- Nie ma go, milady. Wyszedł przed godziną, może nawet trochę wcześniej.

- Był konno?

- Nie, milady, na piechotę.



A więc byli już na plaży. A także Julia, chyba że Jem i Jenkins ją znaleźli.

- Jeśli wkrótce nadejdzie, niech mu pani powie, by przyszedł do Bocianiego Gniazda. To ważne.

- Tak, milady. Czy jeszcze w jakiś sposób mogłabym pomóc?

Lecz Charlotte już wybiegła z kuchni. Tak się śpieszyła, że nie zwróciła by pewnie uwagi na zaprzężony w czwórkę koni powóz, który zatrzymał się na drodze przed bramą, gdyby jego pasażer nie krzyknął wychylony prze okno:

- Czy to droga do Bocianiego Gniazda, madame?

Wysiadł z powozu, ona zaś zatrzymała się i spojrzała na niego. Był starszym, niezbyt wysokim mężczyzną, ubranym we frak i bryczesy, ale rysów jego twarzy nie widziała zbyt wyraźnie. To jeden z przemytników czy raczej agent celny? Dla czego chciał jechać do jej domu?

- Dlaczego pan o to pyta?

- To chyba moja sprawa. - Stał teraz naprzeciw niej, mierząc ją badawczym spojrzeniem ciemnych oczu spod krzaczystych brwi, jakby nie był pewien, czy ją zna.

- Moja również. Bo Bocianie Gniazdo to mój dom.

- W takim razie musi pani być Charlotte, córka Elizabeth. Powinienem poznać. Zawsze była awanturnicą i najwyraźniej córka to po niej odziedziczyła.

- Co pan wie o mojej matce, sir? - spytała zaintrygowana.

- Wiem, że była idiotką, która popełniła mezalians. Ostrzegłem ją wówczas...

- Och, czyżby lord Falconer?

- Oczywiście.

- Co pan tu robi?

- Przyjechałem do pani. Odebrałem list od pewnego prawnika, że jestem tu potrzebny.

- Nie teraz, teraz już nie. Proszę mnie przepuścić, milordzie. Ogromnie się śpieszę. Muszę znaleźć Stacey'a.

- Kim jest ten Stacey, jeśli wolno zapytać?

- Wicehrabia Darton. Mieszka u mnie jego córka, ale uciekła. Wzięła jego konia i trzeba ją znaleźć, zanim przemytnicy wyładują.

- Przemytnicy? - Potrząsnął ją za ramiona. - Co się tu dzieje, u licha?

- Jeżeli weźmie mnie pan do swego powozu, to wskażę drogę do domu. Może okaże się, że Julia wróciła albo będzie tam Stacey...

- Widzę, że posługuje się pani jego imieniem.

- Naprawdę? - Dopiero teraz uświadomiła sobie, że tak go zawsze nazywała w myślach. - To daleki kuzyn Cecila, ale kompletnie do niego niepodobny. On jest... - Zamilkła. Dziadek pomógł jej wsiąść do powozu i wszedł w ślad za nią. - Proszę powiedzieć stangretowi, by na rozwidleniu, które znajduje się sto jardów przed nami, skręcił w lewo. Droga jest trochę wyboista, ale jeżeli będzie jechał powoli, to karcie nic się nie stanie. Powóz lorda Dartona przejechał bez najmniejszych problemów.

Falconer podał stangretowi instrukcje i usiadł przy niej.

- Czekam na wyjaśnienia. Co pani zamierza i, przede wszystkim, dlaczego przez te wszystkie lata nie napisała pani do mnie ani razu?

- Dlaczego miałabym pisać? Zerwał pan kontakty z moją matką. Powiedział jej pan, że nigdy więcej nie chce jej widzieć na oczy.

- Tak powiedziałem - przyznał ponuro - ale powinna była wiedzieć, że nie mówiłem serio i że bardzo chciałbym poznać jej córkę, szczególnie jeśli znalazła się w tarapatkach. Gdyby ten prawnik do mnie nie napisał...

- Pan Hardacre?
- Zawiadomił mnie, że została pani zmuszona do opuszczenia Easterley Manor ze względu na nowego lorda Hobarta...
- Nie mogłam tam zostać. To okropny człowiek, a jego przyjaciele jeszcze gorsi. To pospolicci przestępcy.
- Dlaczego nie przyjechałaś do mnie, dziecko?
- Nie mogłam. Nie miałam pieniędzy nawet na dyliżans, bo Cecil mnie okradł. To hazardzista.
- Przysłałbym ci pieniądze, gdybyś poprosiła.
- Skąd miałam o tym wiedzieć? Zresztą rzeczywiście napisałam list z prośbą o pomoc, ale zanim zdążyłam go wysłać, otrzymałam wiadomość od pana Hardacre'a, że Grenville złożył pewną sumę na moje nazwisko, więc już nie musiałam prosić. Wynajęłam Bocianie Gniazdo i przeprowadziłam się tam z córkami i uczennicami. - Uśmiechnęła się melancholijnie. - Bo ja mam szkołę, ale Julia uciekła i musimy ją odnaleźć, zanim spotka ją coś złego.
- Myślisz, że uciekła z kochankiem?
- Roześmiała się nerwowo.
- Ma dopiero trzynaście lat. Jeśli z kimś uciekła, to z wielkim, białym wierzchowcem.
- Zaczynam podejrzewać, że masz zapalenie mózgu.
- Powóz stanął.
- Dalej nie pojedziemy, milordzie - zawołał woźnica. - Stoimy na krawędzi klifu.
- Znajdowali się przed Bocianim Gniazdem. Charlotte wyskoczyła i podbiegła do drzwi.
- Wpuść mnie, Betsy - zwołała, bijąc w nie pięściami.
- Zasuwa została odsunięta i w progu stanęła Betsy.
- Znalazła ją pani, milady? - Po tym pytaniu Charlotte upadła na duchu.

- Nie, ani jej, ani wicehrabiego. Czy Jem i Jenkins wrócili?
- Nie, milady. A nie poszli z panią? - Dostrzegła stojącego za plecami Charlotte mężczyznę. - Kto to?
- Mój cioteczny dziadek, lord Falconer.

Dziadek popchnął ją lekko do domu obok osłupiałej słuchającej.

- Proszę o filiżankę herbaty dla milady - zarządził, po czym zwrócił się do Charlotte: - Którędy do salonu?

- Nie mam tu salonu, tylko niewielką bawialnię - odparła ze słabym uśmiechem. - I jeśli sądzisz, milordzie, że będę spokojnie popijała herbatkę w takiej chwili, to jesteś w błędzie. Zagineła moja uczennica i nie spocznę, dopóki jej nie znajdę. Betsy zaraz poda coś do jedzenia. - Owinęła się płaszczem i wybiegła z domu, kierując się w stronę klifu.

Lord Falconer podążył za nią. Wielkie nieba, będzie musiał przywołać ją do porządku, kiedy zakończy się wreszcie ta noc. I tego Stacey Dartona także. Przed laty poznał przelotnie hrabiego Malcomby'ego, natomiast jego syna nigdy nie widział. O ile sobie przypominał, to został żołnierzem i zdobył uznanie za odwagę, ale jeśli był kuzynem tego łobuza Hobarta i współdziałał z nim w wyrzuceniu Charlotte z domu, to gorzko tego pożałuje.

Czy to dlatego Charlotte tak bardzo się obawiała jego gniewu? Lecz w takim razie dlaczego mówiła o nim po imieniu, jakby byli sobie bliscy? I dlaczego Charlotte znalazła się bez grosza przy duszy? Trudno uwierzyć, że mąż kompletnie jej nie zabezpieczył i że w swej głupocie przypuszczała, iż zdoła prowadzić szkołę. Damom nie wolno mieszać się do interesów. Cóż, nie powinien był tracić kontaktu z jej matką, teraz jednak nadszedł czas, by tę sprawę ostatecznie zakończyć.

Dogonił ją, gdy stała na wierzchołku klifu, rozglądając się

po morzu. W niewielkiej odległości od brzegu stał na kotwicy statek, z którego właśnie spuszczano na wodę szalupy.

- Są - powiedziała. - Przypłynęli.
- Przemytncy. Wiedziałaś o nich? Spodziewałaś się ich?

Zaczęła zbiegać po stromych, kamiennych stopniach w takim tempie, że nie mogła się zatrzymać. Niezgrabnie ruszył za nią.

Stacey był zaskoczony łatwością, z jaką udało mu się zrealizować swój plan, choć nie do końca, bo od opuszczenia Easterley Manor nie udało mu się spotkać z Augustusem Spikiem. Zauważył kołyszący się na falach statek. Przez lornetkę sprawdził, czy to na pewno „The Kentish Maid”. Zerknął w stronę latarni morskiej z nadzieją, że Gerard i jego ludzie już tam dotarli, nie dostrzegł jednak nic poza snopem światła skierowanym na morze. Przeniósł wzrok na leżące nieco dalej na klifie Bocianie Gniazdo. Odetchnął z ulgą. Charlotte posłuchała jego ostrzeżenia i zamknęła się w zaciemnionym domu.

Pozwolił sobie pofantazjować przez chwilę na temat tego, co się tam wewnątrz działo: Charlotte czytała, dziewczynki szyły, Betsy szykowała kolację, a panna Quinn porządkowała ubrania. Trochę przypominała Susan Handy, pomyślał, obie robiły mnóstwo zamieszania i uważały się za niezastąpione. A Julia? Czy kiedykolwiek nabierze dobrych manier i polubi Charlotte? Nieźle będzie musiał się natrudzić, by jego córka zaakceptowała macochę, ale jeśli w ogóle ktoś mógł mu w tym pomóc, to właśnie lady Hobart.

Uśmiechnął się i skinał na Joego White'a, ojca Danny'ego. Mężczyzna wyłonił się z cienia zalegającego u podnóża klifu.

- Milordzie?
- Wiesz, co robić?

- Mam zapukać do dworu i powiedzieć, że wieśniacy się rozmyślili i nie mogłem ich namówić do przyjsia. I co mam teraz robić? Sam nie wniosę na górę całego ładunku.

- Dobrze. Dodaj jeszcze, że szyper zszedł na ląd i chce ich widzieć. Nie zgadza się wyładować towaru, dopóki się z nimi nie spotka. I jest wściekły z powodu braku tragarzy. Jak będziesz pewien, że już schodzą, wracaj do domu. Nikt poza twoją żoną nie powinien wiedzieć, że nie spędziłeś całej nocy pod pierzyną.

- Tak, milordzie. I dziękuję. - Schował do kieszeni dwie gwinee i spiesznie się oddalił. Stacey wyjął z kieszeni rakiety i dał sygnał. W odpowiedzi ze statku wystrzeliły trzy flary i wkrótce zaczęto spuszczać szalupy na wodę. Uśmiechnął się z satysfakcją. Miał nadzieję, że Gerard nie rozpocznie akcji, zanim sir Roland i Augustus Spike nie zejną na plażę. Nie zdecydował się jeszcze, co zrobić z Cecilem, gdyby i on również tu się pojawił.

Odwrócił się na dźwięk osypujących się z klifu drobnych kamyków i zobaczył jakąś postać, zbiegającą po stromej ścieżce w takim tempie, że omal nie sturlała się na dół. To kobieta, tyle na razie mógł dostrzec, nie miał jednak wątpliwości, kto to. Podbiegł i złapał ją dosłownie w ostatniej chwili, by nie wyłożyła się jak długi.

- Charlotte! Co ty, na litość boską, wyprawiasz? - zapytał ochryłym głosem, po pierwsze z obawy o jej bezpieczeństwo, a po drugie z irytacji, że jednak go nie posłuchała. - Jesteś ranna? - przeraził się.

- Nie. To Julia...

- Co z Julią? - Łodzie zbliżały się już do brzegu, ścieżką powoli i ostrożnie schodziło trzech ludzi, najprawdopodobniej sir Roland, Augustus Spike i Cecil. Powinien natychmiast za-

brać ją z plaży. W chwili przybycia przywódców gangu miał dać Gerardowi znak, przyjaciel nie podziękuję mu za zwłokę.

- Zniknęła.

- Kiedy? Jak? - Szmuglerzy natychmiast wylecieli mu z głowy.

- Wykradła się z domu wieczorem. Chyba wzięła Ivora.

- Mój Boże! Nie mogliście jej pilnować? Trzy kobiety i dwoje dzieci nie zdołało zatrzymać w domu jednej głupiej dziewczyny? Dawno zniknęła?

- Nie wiem. Szukaliśmy jej wszędzie. Jem i Jenkins zeszedli na plażę, bo wiem, że chciała pogalopować brzegiem morza. Nie widział ich pan?

- Nie. Boże wszechmogący, kobieto, czy w niczym ci nie można zaufać? - To własny niepokój, troska, może nawet poczucie winy, że powierzył jej zadanie okiełznania jego nieokiełznanej córki sprawiły, że odezwał się do niej tak szorstko. Poczuli, że drgnęła i natychmiast pożałował swego wybuchu.

- Nie waż się odzywać w taki sposób do damy - dobiegł go z tyłu zimny głos. - I puść ją natychmiast.

Odwrócił się. To nie był Cecil ani sir Roland, choć ich sylwetki majaczyły w oddali, ani Augustus Spike. Nie znał tego człowieka. Stacey zerknął na morze. Łodzie nie przybiły jeszcze do brzegu, więc ten mężczyzna nie mógł również przypłynąć ze statku.

- Będę zwracał się do niej w sposób, jaki uznam za stosowne, sir - odparł gniewnie. - Miała pod opieką moją córkę, ale ją zgubiła.

- Więc niech pan lepiej zacznie jej szukać, zamiast napychać sobie kieszenie pieniędzmi należącymi do państwa. Dopilnuję, by pan za to zapłacił.

Stacey przypomniał sobie o Gerardzie, który cierpliwie

czekał na sygnał, że wszyscy organizatorzy przemytu zgromadzili się już na plaży. Czy powinien dać ten sygnał? Czy będzie on miał wpływ na bezpieczeństwo Julii czy Charlotte? Mała pojechała na Iworze, a na plaży nie było śladów konia, więc najprawdopodobniej udała się w inną stronę.

- Nie sądzę, bym miał już przyjemność - wycedził przez zęby sir Roland, zwracając się do lorda Falconera.

- Ani ja - wpadł mu w słowo Stacey. - Kim pan jest, sir?

- To mój cioteczny dziadek - wyjaśniła Charlotte.

- Lord Falconer? - Charlotte roześmiałyby się na widok mi-ny Staceya, gdyby nie była tak kompletnie wytracona z równowagi.

- Ten sam. A teraz proszę puścić moją wnuczkę i szukać swojej córki. - Spojrzał na łodzie, które dopływały do brzegu, i wyskakujących z nich ludzi. Rozglądali się w poszukiwaniu tragarzy, nie dostrzegli jednak nikogo. Stacey powinien dać sygnał, teraz albo nigdy.

- Stacey - szepnęła Charlotte, patrząc na niego. - Musimy szukać Julii...

Nagle pojawili się agenci celni, nadbiegali brzegiem morza, część zmierzała w stronę łodzi, reszta kierowała się ku grupce osób, kryjących się pod osłoną klifu. Marynarze z łodzi uznali, że to przybywający z opóźnieniem tragarze, więc nie uczynili nic, by się ratować. Dopóki nie wyciągnęli pistoletów. Stacey skoczył, by własnym ciałem osłonić Charlotte. Lord Falconer spokojnie stał w miejscu. Cecil rzucił się do ucieczki, sir Roland natychmiast poszedł w jego ślady.

- Stać, bo strzelam! - ryknął za nimi Gerard.

Nie posłuchali, więc wypalił, ale celował pod nogi. Stanęli jak wryci. Dwóch ludzi ze Straży Ochrony Wybrzeża przyprowadziło ich z powrotem, pozostali otoczyli czterech maryna-



rzy, którzy nie zdążyli wrócić do łodzi. Reszta wiosłowała najszybciej jak mogła, bo kule świstały im nad głowami.

- Mamy wszystkich? - zapytał Gerard.

- Nie - odparł Stacey. - Brakuje Augustusa Spike'a. Nie widziałem go przez cały wieczór.

- Och, Stacey - szepnęła Charlotte. - Nie sądzisz, że on może mieć Julię?

- Boże, jeśli ją złapał, to go zabiję. - Rozejrzał się rozpaczliwie dokoła, ale nigdzie nie dostrzegł nawet śladu konia ani jeźdźca. Ani Spike'a. - Idź do domu z lordem Falconerem i zostaw to mnie. Znajdę ją.

- Jeśli pan sądzi, że jestem w to zamieszany, to bardzo się pan myli - oświadczył lord Falconer gniewnie, bo porucznik Tarrent próbował dołączyć go do pozostałych więźniów. Dopiero po chwili rozkojarzona Charlotte interweniowała.

- To mój cioteczny dziadek, lord Falconer - wyjaśniła kapitanowi Tophamowi. - Przyjechał mnie odwiedzić.

- Dlaczego znalazła się pani na plaży, milady? - zainteresował się Gerard, dając znak porucznikowi, by wypuścił rozdrażnionego arystokratę.

- Córka wicehrabiego Dartona zaginęła. Szukaliśmy jej. Błagam, niech pan nam pomoże ją znaleźć.

Gerard spojrział na Staceya, który kiwnął głową.

- Będę wdzięczny za pomoc, kapitanie.

Pojmani zostali otoczeni i popędzeni ścieżką do czekającego na górze klifu wozu do transportu więźniów. Była to zamknięta paka z wąskimi szparami zamiast okien, ciągniona przez cztery ciężkie konie. Wepchnięto ich do środka, a na straży pozostał jeden człowiek, reszta natomiast włączyła się do poszukiwań zaginionej dziewczynki. Stacey poszedł z nimi, zo-

stawiając Charlotte z dziadkiem, którzy mieli wrócić do Bocianego Gniazda.

Pod domem czekała ich kolejna niespodzianka. Na podwórzu stał osiodłany koń Stacey z luźno puszczonej wodzą i spokojnie skubał trawę.

- Ivor! - zawołała Charlotte i skoczyła do przodu. - Julia wróciła. Dzięki Bogu!

Podbiegła do drzwi, które ustąpiły pod lekkim dotykiem, choć powinny być zaryglowane. Jak tylko przestąpiła próg, jakaś ręka zasłoniła jej usta, drzwi zostały z hukiem zatrzasknięte, a ochrypły głos oznajmił:

- Ani słowa, jeśli ci życie miłe. Mam broń i nie zawaham się jej użyć. - To był Augustus Spike.

Bez powodzenia próbowała mu się wyrwać, zastanawiając się równocześnie, dlaczego dziadek nie wszedł za nią do domu.

- Spokój, milady, bo pożałujesz.

Gdy popchnął ją na krzesło przy stole, zauważyła pobladłe z przerażenia twarze panny Quinn, Betsy i Julii, których oczy prosiły, by zaprzestała walki.

- Nie może pan zastrzelić nas wszystkich - zdołała wykrztusić, choć była równie przerażona jak one.

- A więc jedną po drugiej. - Uśmiechnął się szeroko. - Która pierwsza?

- A dlaczego miałyby pan nas zabijać? Nie zrobiliśmy panu nic złego.

- Nic, poza ściąganiem tych psów z Ochrony Wybrzeża. Ostrzegałem Cecila, że jeśli spróbuje czegoś głupiego, to pani za to zapłaci, ale najwyraźniej nie cenił pani życia tak wysoko, jak sądziłem.

- Czego pan ode mnie chce?
- Chcę podstawionego pod drzwi zaprzęzonego powozu. Potem wybierzemy się na małą przejażdżkę.
- Nie zdołamy zaprząć koni. - Ukryła ręce w fałdach spódnicy, by nie dostrzegł ich drżenia.
- Wy nie, ale wasi ludzie.
- Nie ma ich tutaj. Nadal szukają panny Darton.
- Tej pannicy? - Uśmiechnął się do Julii. - Muszę przyznać, że niezły z niej numer. Walczyła jak dzika kotka. Ciekawe, kto ją nauczył tak jeździć?
- Mój dziadek, hrabia Malcomby - powiedziała Julia buntowniczym tonem. - I jak mu o wszystkim powiem, to już on sobie z panem porozmawia. I mój tata też.
- Wicehrabia Darton! - Wycelował broń prosto w głowę Julii. Wszystkie kobiety głośno wciągnęły powietrze. Oczy Julii wypełniły się łzami, ale nie odważyła się poruszyć. - W takim razie zaczekamy tu sobie na niego, a kiedy przyjdzie, to bardzo szybko zaprzęgnie konie, prawda?
- W takim razie długo pan poczeka- oświadczyła Charlotte spokojnie, zastanawiając się równocześnie, co się stało z lordem Falconerem. Augustus Spike nie mógł wiedzieć o jego obecności, bo nie zatrzasnąłby mu drzwi przed nosem, ale dlaczego dziadek nie zapukał, by go wpuszczono? Może wiedział, że działo się tu coś złego? - Nie podejrzewa, że jego córka nie śpi sobie spokojnie w łóżeczku, a ma sporo roboty na plaży. Pomaga strażnikom chwycić pańskich kamratów. Dlaczego miałyby tu wrócić?
- Spike roześmiał się, nie odejmując broni od głowy Julii.
- Nie będzie się mógł oprzeć pragnieniu spotkania ze swą najdroższą, przyleci cały napalony, przekonany, że ma nas wszystkich za kratkami. Nie spodziewa się, że mnie tu zastanie...

Nagle rozległo się głośne kołatanie do drzwi. Augustus odwrócił się nieco, ale nadal celował w Julię. Żadna z kobiet nie odważyła się nawet drgnąć, by go nie prowokować.

- Otwórz drzwi - polecił Charlotte. - I ani słowa, jeśli nie chcesz zarobić kulki w plecy.

Wstała i odsunęła zasuwkę. Bardzo powoli zwolniła klamkę. To nie Stacey, a jej cioteczny dziadek stał na progu. Nie dostrzegła nikogo więcej.

- Wpuść mnie, Charlotte - powiedział.

- Nie mogę.

- Wpuść tego człowieka - rozkazał Augustus.

Charlotte szeroko otworzyła drzwi i jego lordowska mość wszedł do pułapki. Nie był zdziwiony tym, co zastał, natomiast Augustus był wyraźnie zaskoczony. Spodziewał się zobaczyć Stacey, a miał przed sobą obcego człowieka.

- Kim pan jest? - zapytał.

- Lord Falconer. A pan? Co pan robi w domu mojej wnuczki?

- Pańskiej wnuczki? - Spike zaśmiał się ochryple i przesunął broń z Julii na Charlotte. - Jeśli zależy panu na jej życiu, to zrobi pan to, co powiem. Chcę, by oddano do mojej dyspozycji zaprzężony powóz. Jak pan widzi, mam pistolet. Naładowany i sprawny.

- Mogę w takim razie zaoferować panu swój powóz. Stoi przed drzwiami. - Mówił z niezwykłym spokojem, czym wzbudził podziw Charlotte.

- Pokaż. - Poprowadził go ku drzwiom. Augustus złapał go i wykorzystał jako żywą tarczę, kiedy wyszedł za próg, by się rozejrzeć, ale na dziedzińcu nie było nikogo poza wspaniałym powozem i zaprzęgniętymi do niego czterema pięknymi końmi. Charlotte chciała pośpieszyć za nimi, ale panna Quinn ją

zatrzymała. Zasłoniła ręką usta i patrzyła bezsilnie, jak Spike popycha lorda pistoletem w stronę powozu, wolną ręką otwierając drzwi. - Wsiadaj, zastąpisz wnuczkę. Przecież nikt nie ośmieli się zatrzymać lorda Falconera.

Scandalous

## Rozdział jedenasty

Charlotte, która podeszła do kuchennych drzwi, dostrzegła, że jej dziadek nagle uchyla się na bok, a z wnętrza karety wyskakuje mężczyzna i powala Augustusa na ziemię. To było czyste szaleństwo, zważywszy na to, że maniak trzymał w dłoni pistolet! Serce podeszło jej do gardła. Nagle pistolet potoczył się przez podwórze. Lord Falconer wyjątkowo sprawnie jak na swój wiek podniósł go z ziemi, nie mógł jednak zrobić z niego użytku, ponieważ dwaj mężczyźni, Augustus Spike i Stacey, zmagali się w pyle spleceni ze sobą. Raz jeden był górą, raz drugi.

Inni mężczyźni wysypali się na podwórze z za domu, stajni, wozowni, wśród nich również Jem i Jenkins. Utworzyli krąg wokół walczących, gotowi w razie potrzeby przyjść wicehramu z pomocą, ale na razie obserwowali walkę. Stacey był rozjuszony i koniecznie chciał ukarać nikczemnika, zanim zostanie oddany w ręce prawa. Bił go za to, że przeraził Julię, za to, co zrobił Charlotte, w jego spokojnych zazwyczaj oczach płonąła dzika furia. Nie oznaczało to jednak, że robił, co chciał, jego przeciwnik bowiem nie należał do tych, którzy się poddają bez walki. Rżenie koni, ciężkie uderzenia o ziemię

i męskie głosy wywabiły na dwór również pozostałe kobiety. Julia podbiegła do drzwi i z fascynacją i przerażeniem obserwowała widowisko. Wreszcie, kiedy Augustus leżał już na ziemi jak zmięty łachman, Stacey przerwał walkę i dość niepewnie stanął na nogach.

- Zabierzcie go - powiedział do Gerarda, otrzepując się z kurzu.

Augustus został zawleczony do więźniarki, gdzie dołączył do swych towarzyszy, a Stacey zaczął się rozglądać za Charlotte i Julią. Stały ramię przy ramieniu w drzwiach kuchennych. Charlotte obejmowała jego córkę, która przyłgnęła do niej kurczowo, blada, z szeroko otwartymi oczami, choć przerażenie ustąpiło miejsca podnieceniu i dumie z odwagi ojca.

Wyciągnął do niej ramiona, w które rzuciła się bez namysłu.

- Och, tato! Tato! Nie jesteś ranny?

- Nie, kochanie, zarobiłem najwyżej parę siniaków.

- On groził, że mnie zabije.

- Cóż, teraz na pewno tego nie zrobi. - Ponad głową córki spojrzął na Charlotte. Patrzyła na niego niepewnie. Przypominał sobie, że kiedy widzieli się ostatnio na plaży, do której przybijali właśnie przemytnicy, odezwał się do niej bardzo ostro, choć wcale nie chciał, by to tak zabrzmiało. Chyba zdawała sobie z tego sprawę? Uśmiechnął się i wyciągnął do niej rękę. - Charlotte?

Wsunęła się w jego rozpostarte ramiona obok Julii. Miał je obie przy sobie i wreszcie mógł odetchnąć z ulgą. Były bezpieczne, jego dwie kobiety. I jeśli wszystko pójdzie po jego myśli, już nigdy się z nimi nie rozstanie.

- Już po wszystkim - powiedział cicho. - Jesteście bezpieczne.

Gerard kaszlnął cicho za plecami Stacey, by mu przypomnieć, że ma widownię. Odsunął je delikatnie od siebie.

- Czas do łóżka, Julio. Rano porozmawiamy.

- Nie jesteś na mnie zły?

Kusiło go, by powiedzieć, że nigdy w życiu nie był tak wściekły, lecz nagle się uśmiechnął. Jakoś chyba wspólnie zdolają ją okiełznać, on i lady Hobart. Wyrośnie na piękną młodą kobietę, pozbawioną egoizmu i, jak Charlotte, pełną współczucia dla tych, których los mniej szczerze obdarował. Miał jednak nadzieję, że córka nigdy nie straci swego ducha.

- A nie sądzisz, że powinienem? - zapytał spokojnie.

- No tak, ale strasznie cię przepraszam i obiecuję, że już nigdy nie będę nieposłuszna!

Roześmiał się pogodnie.

- Nie składaj obietnic, których nie będziesz w stanie dotrzymać, kochanie. No, idź już do łóżka. Zobaczymy się rano.

- Już jest rano. - Wskazała wschodni horyzont zabarwiony na koralowo.

- Rzeczywiście. Byłaś na nogach przez całą noc. A więc do łóżka. Jak się obudzisz, już tu będę. - Gdy odeszła z ociąganiem, spojrzął na Charlotte. - Ty też, kochanie.

Podniosła ku niemu twarz. Włosy opadły mu na oczy, pod jednym z nich zaczynał już formować się siniak, a na brodzie widniało niewielkie rozcięcie. Kostki rąk również nabrawły czarnej barwy.

- Nadal jesteś na mnie zły?

- Nigdy nie byłem.

- W twoim głosie słyszałam gniew.

- Przepraszam, kochana. Szalałem z niepokoju i mówiłem bez zastanowienia. Proszę, idź do łóżka i postaraj się zasnąć. Jesteś wyczerpana, a czeka nas długa rozmowa. Mamy sobie sporo do wyjaśnienia, ale najpierw powinnaś wypocząć. Ja jeszcze pożegniam się z kapitanem Tophamem i zamienię kil-



ka słów z jego lordowską mością. Obawiam się, że w pierwszej chwili nie zrobiłem na nim najlepszego wrażenia.

Charlotte spojrzała na ciotecznego dziadka, który obserwował ich z wyraźnym niedowierzaniem. Tyle było do powiedzenia, tyle do wyjaśnienia, tyle pytań do zadania. Dlaczego pojawił się właśnie w tym momencie? Jak przygotowali pułapkę na Augustusa? Co sobie powiedzieli? Co będzie w przyszłości z nią i jej szkołą, z Easterley Manor, z ujętymi przemytnikami, a w szczególności z Cecilem? Była jednak tak zmęczona, że nie potrafiła ubrać tych pytań w słowa.

Gdy Stacey podniósł do ust jej dłoń, zatęskniła za jego ramionami, ale obserwował ich co najmniej tuzin mężczyzn, nie wspominając już o Betsy i panie Quinn, które się uśmiechały jak koty z Cheshire.

- Dobranoc - szepnęła. - Wrócisz szybko, prawda?

- Nic mnie nie powstrzyma.

Weszła do kuchni.

- Czy Julia położyła się już do łóżka? - zapytała pannę Quinn.

- Tak, ale upierała się, że nie zaśnie, dopóki pani do niej nie zajrzy.

- Idę do niej. Wy już się kładźcie.

- Nie warto, milady. Za godzinę trzeba wstawać i szykować śniadanie - stwierdziła Betsy.

- Racja - powiedziała panna Quinn. - Lizzie i Fanny wkrótce zaczną się kręcić. Proszę iść na górę. My wszystkiego dopilnujemy.

- Wiem, ale jest jeszcze lord Falconer. Trzeba przygotować mu pokój. - Odwróciła się ku niemu. Siedział przy stole i pałaszował ciasto, które postawiła przed nim Betsy. - Przepraszam, milordzie, że okazałam się taką marną gospodynią.

- Nieważne. Idź do łóżka. Później porozmawiamy.
- Dobrze. - Ponownie zwróciła się do służących. - Zawołajcie mnie, gdy przyjdzie lord Darton, dobrze?

Uśmiechnęły się znacząco i zapewniły, że nie omieszkają tego zrobić. Charlotte weszła po schodach do pokoju Julii. Była pewna, że zastanie dziewczynkę pogrążoną we śnie, okazało się jednak, że czekała na nią. Charlotte przysiadła na krawędzi łóżka i pogładziła ją po policzku.

- Musisz spać, Julio. Z pewnością jesteś bardzo zmęczona.
- Nie mogłam zasnąć, dopóki pani nie przeproszę. Nie powinnam wziąć Ivora.

- Rzeczywiście, nie powinnaś. Napędziłaś nam wszystkim strachu, ale jesteś już bezpieczna, a to najważniejsze. O reszcie porozmawiamy jutro, kiedy przyjdzie twój tata.

- Będzie wściekły.
- Możliwie. Tej nocy kręciło się w okolicy wielu złych ludzi, dlatego nie chciałam, byśmy wychodziły z domu.

- Był bardzo dzielny, prawda?
- Tak.
- Wcale nie zamierzałam stąd uciec, chciałam tylko trochę pojeździć. Naprawdę tylko trochę, ale nie umiałam znaleźć zejścia na plażę. Pojechałam skrajem lasu do wsi i dotarłam do pochylni, której używają rybacy do spuszczenia łodzi. A potem pogalopowałam brzegiem morza i było cudownie.

- Szukaliśmy cię, dlaczego nikt z nas cię nie widział?
- Pojechałam inną drogą. Myślałam, że wrócę, zanim odkryjecie moją nieobecność, ale tak wspaniale było siedzieć na końskim grzbiecie, a Ivor cieszył się z tej przejażdżki tak samo jak ja, że zostałam trochę za długo. A potem, kiedy byłam już prawie pod domem, usłyszałam jakiś tumult na plaży i strzały,

i nagle spomiędzy drzew wyskoczył tamten straszny człowiek i chwycił Ivora za uzdę. Ściągnął mnie na ziemię...

- Nieważne - powiedziała Charlotte uspokajającym tonem. - Już o tym nie myśl.

Dziewczynka roześmiała się.

- Chciał ukraść konia, ale jak tylko wgramolił się na siodło, Ivor go zrzucił. Nie pozwala nikomu na sobie jeździć, tylko tacie. I mnie.

- Wiesz, czasami zwierzęta są mądrzejsze od ludzi.

- Ten pan wyciągnął pistolet i kazał mi zaprowadzić Ivora do domu. Byłam okropnie przerażona i...

- Wykazałaś się dużą odwagą.

- Przepraszam, naprawdę przepraszam. Już nigdy tego nie zrobię, obiecuję.

- Dobrze. - Charlotte okryła ją po szyję i pochyliła się, żeby ją pocałować w czoło. - A teraz już śpij. Kiedy się obudzisz, będzie tu twój tata.

- Jeśli będzie się gniewał, niech mu pani powie, że już będę grzeczna. Niech mu pani powie, że nie chcę stąd wyjeżdżać do jakiejś okropnej szkoły.

- Skąd wiesz, że będzie okropna?

- Na pewno będzie. Wszystkie były okropne. Chcę zostać z wami. Będę grzeczna... - Powieki jej opadły i zasnęła w środku zdania.

Charlotte wreszcie mogła się położyć. Za parę godzin będzie musiała stawić czoła Staceyowi i jakoś się wytłumaczyć. Niestety, nie mogła być tak pewna wybaczenia jak Julia, a bez tego nie było szansy dla niej i Stacey. A tak cudownie było słyszeć skierowane do siebie słowo „kochanie”...

Niestety zasłużyła na jego gniew. Zaniedbała swe obowiązki w skandaliczny sposób, dopuściła, by jej uczennica naraziła

się na niebezpieczeństwo. Nawet gdyby Stacey jej to wybaczył, sama sobie nie wybaczy nigdy. Mieli rację ci, którzy twierdzili, że nie nadawała się do prowadzenia szkoły. Nie będzie miała do Stacey pretensji, jeśli zabierze stąd córkę...

Obudziła się w promieniach słońca wpadających przez okno i usłyszała, że zegar w holu wybija południe. I jak zasypiała z myślą o Staceyu, tak obudziła się z nią. Wygramoliła się z łóżka i stwierdziła, że panna Quinn po cichu szykuje jej ubranie. Przez ramię przerzuciła gołębioszara suknię z bufiastymi rękawami wykończoną niebieską koronką pod biustem i na dole. Okragłe wycięcie pod szyją wypełniała podobna koronka.

- Dłaczego ją wyjąłś, Quinnie? Jestem jeszcze w żałobie.

- Nie, milady. Obliczyłam, że okres żałoby już minął. Może pani przejść do lekkiej żałoby lub ubierać się normalnie. Jego lordowska mość zmarł przed trzema miesiącami, a przecież nie był pani rodzonym ojcem.

- Kochałam go.

- Kochała pani również sir Grenville'a, ale obaj chcieliby na pewno, by była pani szczęśliwa.

- Czy jest już lord Darton?

- Przyjechał, gdy pani spała, lecz zabronił panią budzić. Powiedział, że wróci później. Wydaje mi się, że pojechał do wioski z lordem Falconerem. Słyszałam, jak mówili coś o mężczyznych zebranych na plebanii.

Pośpiesznie dokonała toalety i pół godziny później siedziała już w bawialni nad filiżanką herbaty, bo nie miała ochoty na śniadanie. Tam zastał ją Stacey. Wstała na jego powitanie, onieśmielona jak pensjonarka. Był taki wysoki i przystojny,

pomimo okropnego siniaka na twarzy i drobnego rozcięcia na brodzie.

Stał w progu, upajając się jej widokiem. Jej różowe, kuszące wargi uśmiechały się nieśmiało. Kochał ją i wiedział, że ta miłość będzie trwała aż do śmierci.

- Milordzie. - Chciała wykonać przepisowy ukłon, ale nie najręczniejszej jej to wyszło, bo nagle poczuła dziwną słabość w kolanach.

- Co za formalne powitanie, Charlotte! Wczoraj byłem dla ciebie Staceyem.

- Wczorajsza noc to co innego.

Podszedł do niej, położył jej ręce na ramionach i spojrzał w uniesioną ku niemu twarz.

- Dlaczego „co innego”?

- Byłam kompletnie wytrącona z równowagi.

- Czy to znaczy, że możesz mi mówić po imieniu tylko w chwilach zdenerwowania?

- Nie, oczywiście, że nie! Och, już sama nie wiem, co mówię. Pewnie jesteś na mnie wściekły i wcale się temu nie dziwię. Jak mogłam być tak zarozumiała, by wyobrażać sobie, że mogę opiekować się cudzymi dziećmi? Sama nie wiem.

- Ależ, najdroższa, jesteś matką i pragniesz matkować każdemu napotkanemu dziecku. To cudowne! I wcale nie jestem wściekły. Jak mógłbym się gniewać? Zbyt wiele od ciebie żądałem. Julia...

- Proszę, nie gniewaj się na nią. Jest jej naprawdę bardzo przykro i z pewnością nigdy więcej czegoś podobnego nie zrobi. Przeżyła chwile prawdziwej grozy.

- Ty również, i to jej powiedziałem.

- Chyba nie krzyczałeś na nią?

- Odbyliśmy długą rozmowę.

- Kiedy?
- Jak spałaś. Nie była to reprimenda, no, może trochę..., ale przede wszystkim poważna rozmowa o przyszłości.
- Tak? I jak będzie wyglądała nasza przyszłość?
- To zależy od ciebie, moja kochana. - Poprowadził ją do sofy. - Jesteś moją miłością, chyba o tym wiesz?
- Jestem? - powtórzyła z rozmarzeniem.
- Tak, na zawsze. Wiedziałem o tym już podczas naszego pierwszego spotkania i dlatego, kiedy John Hardacre opowiedział mi o twoich kłopotach z nieszczęsnym Cecilem i tamtymi dwoma łotrami, poczułem, że muszę cię chronić. Martwiłem się również o Julię, więc przywiozłem ją do ciebie, do twojej szkoły. Wówczas nic jeszcze nie wiedziałem o planowanym przemyśle.
- Niewiele zdołałam ją nauczyć.
- Nauczyła się tu bardzo dużo, co sama przyznaje. - Roześmiała się. - I nie da powiedzieć o tobie złego słowa. Błagała, żebym się na ciebie nie gniewał, zapewniała, że to wszystko jej wina, i prosiła, bym pozwolił jej zostać z tobą.
- Tutaj?
- Gdziekolwiek będziesz. Powiedziałem jej, że cię kocham i zamierzam poprosić cię o rękę...
- O rękę? - Nie śmiała wierzyć własnym uszom. Naprawdę ją kochał? - Mówisz serio?
- Nigdy w życiu nie mówiłem bardziej serio.
- Przecież nie możesz pragnąć się ze mną ożenić!
- Dlaczego nie? Kocham cię. Oboje jesteśmy wolni. Chyba że w tobie ta perspektywa budzi wstręt.
- Oczywiście, że nie! Chodzi o to...
- Mów dalej.
- Jestem za stara, by dać ci dziedzica.

Wybuchnął śmiechem.

- To wszystko?

- Przecież to na pewno ma dla ciebie ogromne znaczenie.

- Nie, nie ma. Jesteś w kwiecie wieku i jeśli Bóg pobłogosławi nas potomstwem, to będę bardzo szczęśliwy, ale jeśli nie, to na pewno nie będzie mi to spędzało snu z powiek. Kocham cię i pragnę cię mieć za żonę, nawet gdybyśmy nie mieli więcej dzieci. W końcu mamy już trójkę.

- Same dziewczynki.

- I to jakie! Po prostu zachwycające. Charlotte, wbij sobie wreszcie do głowy, że życie bez ciebie będzie dla mnie nie do zniesienia. - Zamilkł na chwilę, by dać jej czas na oswojenie się z tym, co powiedział. Podniósł jej dłoń do ust. - Najpierw jednak muszę ci jeszcze coś wyznać. Lord Falconer uważa, że to konieczne i jestem skłonny przyznać mu rację, choć pewnie mnie za to znienawidzisz. Chociaż nie, przecież w twoim sercu nie ma miejsca na nienawiść.

- Mów dalej.

- Kiedy odegrałem twoją biżuterię od sir Rolanda i Augustusa Spike'a, zamierzałem ci ją po prostu zwrócić, ale kiedy się okazało, że postanowiłaś ją sprzedać, uznałem, iż nie mogę do tego dopuścić. Wsiadłem w dyliżans do Londynu i odwiedziłem Johna Hardacre'a. - Zamilkł, niepewny, czy Charlotte go słucha. Miała taki wyraz oczu, jakby widziała coś w oddali, czego jego oczy dotychczas nie potrafiły dostrzec. - Charlotte, proszę, posłuchaj uważnie.

- Słucham. Pojechałeś do pana Hardacre'a, a wtedy on nagle znalazł dla mnie pieniądze, o których jeszcze niedawno nie miał pojęcia. Pomyślałam, że to dziwne, bo Grenville na pewno poinformowałby mnie o tym funduszu zaraz po jego ustanowieniu, zresztą nigdy nie uważałam pana Hardacre'a

za niekompetentnego prawnika. Wiem, że się o mnie marwił i początkowo sądziłam, że to jego pieniądze, później jednak uznałam, że choć jest zamożny, to jednak nie na tyle, by mógł pozbyć się tak znacznej sumy. Potem przyszło mi do głowy, że fundatorem jest mój stryjeczny dziadek, ale odrzuciłam ten pomysł, bo niby czemu miałyby nagle troszczyć się o mnie po tylu latach, i to w dodatku w tajemnicy? Kiedy rozmawiałam z nim wczoraj, stało się jasne, że nie miał pojęcia o tych pieniądzach, bo pan Hardacre napisał do niego, że potrzebuję pomocy. Właśnie dlatego przyjechał. Kiedy dziś się obudziłam, wszystko nagle stało się dla mnie jasne. To musiałeś być ty.

- Och.

- Cieszę się, że mi o tym powiedziałaś. Ale dlaczego to zrobiłaś?

- Bo już wiedziałem, że cię kocham, a było za wcześnie, by ci o tym powiedzieć. No i chciałem, byście się z Julią poznały. W żaden inny sposób nie mogłbym tego przeprowadzić.

- Stacey...

- A więc znowu jestem Staceyem?

- Tak. Nie wiem, co powiedzieć.

- Powiedz, że mnie kochasz i że za mnie wyjdiesz. Wszyscy uważają, że to znakomity pomysł.

- Wszyscy?

- Julia i jego lordowska mość, choć nieźle musiałem się nartudzić, by go przekonać, że nie jestem ulepiony z tej samej gliny co Cecil i tamci łajdacy, że nie jestem hazardzistą...

- Przecież jesteś! - roześmiała się Charlotte.

- Nie jestem. Nauczyłem się grać w karty w wojsku i okazało się, że jestem w tym dobry, ale nigdy nie stawiałem więcej, niż mogłem stracić, już ci o tym mówiłem. Cecil jest w gorą-



cej wodzie kapany i nigdy nie będzie dobrym graczem, natomiast ja mogę już nigdy nie siadać do stolika..

- A co z tą rozgrywką, na którą umawialiście się dzisiaj? A może wczoraj? Już tracę poczucie czasu.

- Hobart nie jest w stanie wywiązać się ze zobowiązań. - Starał się być cierpliwy, choć pragnął, by wreszcie przestała zadawać pytania i oświadczyła, że zostanie jego żoną. Pragnął ją całować, musiała o tym wiedzieć. - Jest obecnie w drodze do Indii, a wszelkie jego długi zostały spłacone.

- Jak to możliwe? Mówił, że jest kompletnie spłukany. - Zamilkła i nagle roześmiała się. - Spłaciłeś je?

- Kochana, jak mógłbym to zrobić, skoro najwięcej przegrał do mnie.

- Dom! Tylko to mu pozostało. Stacey, czy jesteś teraz właścicielem Easterley Manor?

- Tak, moja kochana. Pomyślałem, że zanim odziedziczę naszą rodzową posiadłość, Easterley Manor będzie dla nas doskonałą siedzibą, a ty nadal będziesz mogła uczyć wiejskie dzieci, jeśli zechcesz. Niczego bardziej nie chciałabyś robić, prawda?

- Och, Stacey! - Jej oczy rozbłysły.

- Więc wyjdiesz za mnie?

- Staceyu Dartonie - odezwała się surowo - czyżbyś sądził, że możliwość powrotu do Easterley Manor będzie miała jakikolwiek wpływ na to, czy zgodzę się zostać twoją żoną? Kocham ten stary dom, ale ciebie kocham znacznie bardziej...

Porwał ją w ramiona, całował jej czoło, policzki, różowe usta. Całowali się tak długo, aż zabrakło im tchu.

- Czy teraz powiesz wreszcie tak?

- Tak, och, tak! Proszę! - Przyłgnęła do niego i zaczęła mu oddawać pocałunki z namiętnością, od której przeszył go

dreszcz. Takiej kobiety szukał przez całe dorosłe życie, nigdy nie pozwoli jej odejść!

W końcu musieli jednak wrócić do rzeczywistości, bo pod drzwiami kręcili się ludzie, rozlegały się jakieś hałasy, głosy. Wreszcie ktoś zapukał. Charlotte usiadła prosto, starając się wygładzić suknię. Stacey wstał i podszedł do okna, udając, że spogląda na klif.

- Proszę - powiedziała.

- Lord Falconer, milady - zaanonsowała Betsy, zerkając na swoją zarumienioną i nieco zażenowaną panią, z włosami w nieładzie i obrzmiałymi od pocałunków wargami, a potem na wicehrabiego, który wyglądał przez okno z udawaną nonszalancją, jakby stał tam przez cały czas, a nie całował się z milady na kanapie.

Stary lord wszedł do pokoju, kapelusz i rękawiczki położył na stoliku.

- No? Mogę wam pogratulować?

- Och, dziadku, oczywiście! - wykrzyknęła Charlotte. - Ty dowiadujesz się o tym pierwszy.

Betsy pognała przekazać wiadomość innym.

- Już wszystko uzgodnione - powiedział Stacey. - Po ślubie zamieszkamy w Easterley Manor.

- To dobrze. - Ujął dłonie Charlotte, potem pocałował ją w policzek. - Bądź szczęśliwa - szepnął. - Masz moje błogosławieństwo. Pisz do mnie często. Mamy wiele do nadrobienia.

- Obiecuję.

- Gdybyś była chłopcem, dziedziczyłabyś wszystko po mnie. Wiedziałaś o tym?

- Nie, milordzie. Nie masz rodziny?

- Miałem syna, ale zmarł trzy lata temu. Doszedłem wte-

dy do wniosku, że muszę odnaleźć bratanicę i nawiązać z nią kontakt.

- Mama zmarła dziesięć lat temu.

- Dowiedziałem się o tym, kiedy pojechałem do Portsmouth, ostatniego znanego mi miejsca jej zamieszkania. Dowiedziałem się również, że miała córkę, ale nikt nie wiedział, co się z nią stało. Dopiero dzięki listowi pana Hardacre'a poznałem twoje obecne nazwisko i miejsce zamieszkania.

- I wreszcie mnie odnalazłeś. - Uśmiechnęła się do niego. Był naprawdę przemiłym człowiekiem, nie żadnym ogrem, jak go sobie zawsze wyobrażała. - A także Lizzie i Fanny.

- Naturalnie. Kto wie, może mi jeszcze zafundujesz męskiego potomka.

Charlotte usłyszała chrząknięcie Stacey, ale powstrzymała się od komentarza. Powiedzieli już wszystko, co powinno być powiedziane na ten temat.

- Milordzie, skąd wiedziałeś, że pan Spike zażąda powozu? Starszy pan zachichotał.

- On nie zdawał sobie sprawy, że szedłem za tobą. Chciałem zapukać i zażądać, by mnie wpuszczono, ale tyle dziwnych rzeczy wydarzyło się tej nocy, że pomyślałem, iż musiałeś wpaść w pułapkę. Dzięki Bogu, że nie powiedziałaś o mnie temu typowi. Zakradłem się pod okno, które było odrobinę uchylone, i wszystko usłyszałem. Potem pozostało mi tylko odnaleźć wicehrabiego.

- Więc zaaprobowaleś go? - Nie pytała poważnie, bo z góry znała odpowiedź, ale Stacey wstrzymał na chwilę oddech.

Uśmiechnął się.

- A jeśli nie, czy miałoby to jakiegokolwiek znaczenie?

- Nie, ale chciałabym wierzyć, że wszyscy będziemy razem żyć w zgodzie.

- Nie wątpię. Cóż, jestem starym człowiekiem i takie gwałtowne przeżycia trochę mnie męczą. Potrzebuję własnego łóżka, a te wążiutkie drewniane deseczki, które nazywasz łóżkami, są piekielnie twarde.

- Bardzo przepraszam. Zostały kupione dla dzieci. Ale przyjedziesz na ślub?

- Nie, nie zaryzykuję następnej nocy w tym łóżku. Oczekuję, że wyprawisz wesele w Falcon Court, naszym rodzinnym gnieździe.

Spojrzała na Stacey, pytająco unosząc brew.

- Jeśli sobie tego życzysz, kochana, to oczywiście.

- W takim razie, dziadku, dam ci znać, jak tylko ustalimy datę.

- W najbliższym czasie, kochanie? - zapytał natychmiast Stacey.

- Kiedy tylko zechcesz - odparła z uszczęśliwioną miną.

- Gdyby to ode mnie zależało, to wybrałbym jutro - zawołał Stacey, po czym dodał z westchnieniem: - Przypuszczam jednak, że niezbędne będą jakieś przygotowania.

- A co będzie z tym domem? - zapytała Charlotte, która przypomniła sobie umowę z kapitanem MacArthurem. - Mam być tu dozorczynią do czasu powrotu kapitana MacArthura.

- Błagam, tylko mi nie mów, że mam czekać jedenaście miesięcy!

- Nie, jeśli uda mi się namówić Jenkinsa, żeby przeniósł się tu na stałe. Mieszkając w Easterley Manor, będziemy na tyle blisko, by bez problemu mieć oko na dom.

- Już z nim o tym rozmawiałem, kochana. I wyraził zgodę.

- Och, ty draniu! Umiesz czytać w moich myślach?

- Chciałbym umieć - odparł z westchnieniem. - Więc powiedz mi wreszcie, kiedy się pobierzemy?

- Za sześć tygodni. Tyle czasu wystarczy na wszelkie przygotowania, a ty musisz zabrać Julię do domu i poinformować hrabiego. Jak sądzisz, będzie miał jakieś obiekcje?

- Nie, będzie zachwycony. - Nie miał co do tego najmniejszych wątpliwości. Ojciec marzył, by syn powtórnie się ożenił a nie mógł mieć żadnych zastrzeżeń do wnuczki lorda Falconera.

Dziadek położył jej ręce na ramionach, spojrzał w jej twarz.

- Zupełnie jak mama - powiedział. - Wiesz, kochałem ją. - Ucałował ją w oba policzki, uściśnął dłoń Stacey i wziął ze stolika kapelusz, rękawiczki i laskę. - Oczekuję was w Falcon Court za cztery tygodnie.

Odprowadzili go do drzwi i patrzyli, jak wsiada do powozu i odjeżdża. Potem wrócili do bawialni, by kontynuować to, co im przerwał. Nie na długo jednak, bo do pokoju z ogromnym hałasem wpadły Lizzie, Fanny i Julia.

- Mamo! - krzyknęła Lizzie i zamilkła na moment, widząc ramię lorda Dartona obejmujące kibić jej matki. Po czym nabrała głęboko powietrza i wyrzuciła z siebie: - Julia mówi, że zamierzasz wyjść za męża za jej tatę. To prawda?

Charlotte spojrzała na Stacey i uśmiechnęła się, po czym objęła obie córki.

- Tak, to prawda. Macie coś przeciwko temu? - Nie wiedziała, jak by postąpiła, gdyby natrafiła na ich wrogość, ale jeśli udało się zdobyć przychylność Julii, to chyba jej córki nie zaczynają sprawiać problemów?

- Nie, ja go nawet lubię - stwierdziła Lizzie.

- Ja też. Potrafi być całkiem miły - oświadczyła Fanny.

Stacey odrzucił głowę do tyłu i wybuchnął śmiechem. Nigdy żadne dziecko tak o nim nie mówiło, nawet własna córka. I odkrył nagle, że sprawiło mu to niekłamana przyjemność.

- A ja lubię was. Was wszystkie.

Szeroko otworzył ramiona i trzy dziewczynki rzuciły się w nie bez wahania.

Charlotte obserwowała to z uśmiechem.

- Skąd ci przyszło do głowy, że nie lubisz dzieci? - mruknęła pod nosem.

Był jednak zbyt zajęty odpowiadaniem na pytania dziewczynek, by to usłyszeć.

W sześć tygodni później Charlotte poślubiła Staceyę w niewielkim kościółku na terenie należącym do Falconerów. Miała na sobie białoniebiską suknię z satyny, a towarzyszyły jej trzy pękające z dumy młode damy w identycznych różowych kreacjach. Nie była to tłumna ceremonia, ale żadne z nich sobie tego nie życzyło. Kościół wypełniała rodzina i przyjaciele, niektórzy przybyli aż z Parson's End, w tym pastor Fuller, który odprawił mszę wraz z kapelanem lorda Falconera.

Stary lord, który od śmierci żony i syna był samotny, z radością został głową całkiem licznej rodziny, choć złożonej wyłącznie z dziewczynek. Przyjdą jeszcze kolejne dzieci, pocieszał się, a wśród nich może i chłopiec. Ależ dziedzictwo na niego czekało! Stracił szansę uczestniczenia w dorastaniu Charlotte - jakże żałował swego uporu! - zamierzał jednak to nadrobić. Chwilowo go nie potrzebowała. Jej oczy błyszczały szczęściem, gdy spoglądała na świeżo poślubionego małżonka i obejmowała córeczki, wszystkie trzy, bo Julia, która nigdy nie miała matki, była bardzo przejęta, że wreszcie i ona mogła do kogoś mówić „mamo”.

Dziewczynki miały wrócić z hrabiostwem do Malcomby Hall na czas krótkiej podróży poślubnej Charlotte i Staceyę do Londynu, gdzie zamierzali uczestniczyć w zakończeniu sezo-

nu. Chciał się nią pochwalić przed światem i znowu ją zabrać na bal. Tym razem nie zakończy się on łzami.

- Och, Stacey, jestem taka szczęśliwa - powiedziała, kiedy ich powóz ruszył, odprowadzany okrzykami i najlepszymi życzeniami gości weselnych, którzy wyszli na źwirowany dziedziniec przed pałacem jego lordowskiej mości, by pomachać im na pożegnanie.

- Ja również, moja miłości. - Przyciągnął ją do siebie, strącając jej przy tym z głowy czepek, ale żadne z nich tego nie zauważyło, bo zatracili się w pocałunku.

Jem uśmiechnął się na koźle. I tak pewnie będzie przez całą drogę do Londynu, pomyślał.